


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ELIZA ORZESZKOWA

JĘDZA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Siłą przyzwyczajenia o pierwszym brzasku dnia obudzona, otworzyła oczy i tak przeleżała się, że nieprzytomnym jeszcze od senności głosem wybełkotała:

– Co to? co to? co to?

Istotnie, co tam takiego stoi w szarym świetle zimowego świtu przy dużym i ciężkim stole umieszczonym pośrodku pokoju, którego podłoga znika prawie pod mnóstwem małych, różnokolorowych szmatek, strzępów, skrawków? Widmo, nie widmo! Wyraźna, wysoka postać kobiety z wydatnymi kształtami i w nowiuteńkiej, eleganckiej sukni, ale bez głowy! Falbany, tunika, pasek Directoire, kołnierz Marie Stuart, rękawy gigot, bardzo wypukła turniura, wszystko jest, tylko nad kołnierzem głowy, a u rękawów rąk wcale nie ma! Wytworna jakaż dama, według ostatniej mody ubrana, ale bez rąk i bez głowy, w dodatku zaś trupio sztywna i nieruchoma. Ta trupia sztywność i nieruchomość, obok wyrazistości i pełności kształtów, najbardziej jej nadają w szarym świetle świtu pozór fantastycznego i zupełnie nadprzyrodzonego zjawiska. Biały odbłask leżącego za oknem śniegu słabo migoce w zdobiących jej suknię złotawych paciorkach, a okrywające podłogę strzępki i skrawki wyglądają jakby ścielące się jej do stóp, dziwaczne, powiędłe, klinowate, podłużne lub zupełnie bezkształtne kwiaty.

Jednak obudzona dziewczyna przez trwanie paru zaledwie sekund przeleżoną się czuła tym fantastycznym zjawiskiem, wytwornie ubranym a trupio sztywnym, zaopatrzoną w turniurę a nie mającą głowy. Sennym głosem wybełkotała: „Co to? co to? co to?” uśmiechnęła się zaraz i przecierając oczy, które jeszcze bardzo spać chciały, wymówiła:

– Jakaż ja jestem głupia!

Głupią może nie była, ale wczoraj do godziny drugiej po północy wykończyła haft ze złotawych paciorków, który teraz słabo migotał na sukni widma, co sprawiło, że położywszy się późno, spała twardo, zbyt krótko i obudziła się nieprzytomnie; dlatego nie poznała od razu przedmiotu, który od lat już siedmiu był nie tylko jej nierozłącznym towarzyszem, ale niejako symbolem jej życia. On, to jest ten manekin do przymierzania sukien służący a z drucianej siatki utworzony i drugi jeszcze przedmiot: maszyna do szycia, której korba i koło słabo połykiwały nad stołem środek pokoju zajmującym, była to para jej nieodłącznych towarzyszy, chlebobawców i dobroczyńców z jednej strony, a z drugiej katów i więziennych stróżów.

Głęboką ciszę wczesnego poranku przerywały tylko dwa monotonne i nieustanne głosy: tętent wiszącego na ścianie, malowanym bukietem ozdobionego zegara i chrapanie kogoś śpiącego za cienką, drewnianą ścianą, w przyległym pokoju, od którego drzwi, wąskie i niskie, były na wpół otwarte. Cienka, drewniana ściana była w istocie tylko przepierzeniem, a dwa pokoje jedną obszerną izbą na dwie nierówne części przedzieloną.

Senne, różowymi obwódkami otoczone oczy dziewczyny zwróciły się ku zegarowi i jakby sprężyną podrzuciona, usiadła ona na łóżku.

– Późno już! – zaszeptała – ach, jak późno! Zaspałam! Bardzo śpiesznie wstawać z pościeli i ubierać się zaczęła, a gdy to czyniła, ruchy jej zdradzały naturę żywą, nerwową i którą jakiś bicz życia do nieustannego pośpiechu przyzwyczaił. Nie zastanawiała się ani chwili nad wynoszonymi i dziurawymi bucikami, w które wsunęła małe i zgrabnie utoczone stopy; nie lubowała się długością i połyskiem swoich ciemnopłowych włosów, które nad czołom gładko zaczesawszy w gruby warkocz, z tyłu głowy zwinęła; od łóżka do glinianej miednicy z wodą i od miednicy do wiszącego na ścianie lusterka przebiegała żwawo, cicho, na żadne przerwy, spoczynki, rozmyślenia nie pozwalając sobie albo potrzeby ich nie czując. Wzrost miała dość wysoki, ruchy zgrabne, włosy piękne, ręce i stopy małe i kształtne, ale wielkie wychudzenie i żółtawa bladość ciała nadawały jej pozór mizerny i zwiędły. Kości jej łopatek ostro sterczały

nad opadającą z nich czystą, lecz grubą i wszelkich ozdób pozbawioną koszulą, a ramiona miały także zgięcia ostre i na całej swej długości cienkość jednostajną. Tak chuda będąc, najlepiej nawet przez naturę stworzona kobieta ładną być nie może. Ale ona, w tej chwili przynajmniej, nie myślała wcale o tym, czy jest ładną. Zajmowały ją nade wszystko, pochłaniały całkowicie wdzięki wytwornej damy bez głowy, przy dużym stole w trupiej nieruchomości stojącej. Myjąc się, czesząc, wrzucając na siebie szarą, wełnianą spódniczkę, wciąż rzucała na nią spieszne, ale uważne spojrzenia, aż nie skończywszy jeszcze zapinać szarego stanika na swojej zgrabnej, ale zbyt cienkiej kibici, podbiegła ku niej i pochylając się, prostując, zbliżając się, odchodząc, przyglądając się jej zaczęła.

– Żle! – szepnęła – zupełnie źle!

W mgnieniu oka otworzyła stojące na stole pudełko i jedną ręką zapinając jeszcze guziki stanika, drugą poczęła prędko, prędko z podłużnego papieru wysuwać szpilki i do ust je wkładać. Była to manipulacja dość dziwna, ale z którą ona doskonale oswojoną była. Bo kiedy człowiek obie ręce zajęte ma robotą, gdzie umieścić on może szpilki, których co sekundę do tej roboty potrzebuje? Naturalnie w ustach; ustawiczne bowiem chwytnie ich ze stołu lub stołka zabierałoby wiele czasu i co gorsza, zbyt daleko rękę usuwałoby od roboty. Jest to kwestia krawieckiego mechanizmu, w którym ona była widocznie biegłą. Z pękiem szpilek w bladych, drobnych wargach przyklęła i zaczęła przerabiać upięcie sukni wytwornej damy.

– Oj, ta nocna roboto! – sarknęła z cicha. W nocy, przy świetle lampy, wydawało się jej, że zrobiła to bardzo ładnie; teraz zaś w układzie i sposobie opuszczania się draperii spostrzegła różne krzywizny i niedokładności. Prostowała, poprawiała, podnosiła, opuszczała, na klęczkach dokoła obchodziła wytworną damę, prawa jej ręka co chwilę nadzwyczaj szybkim ruchem sięgała do ust po szpilkę, zgrabna głowa z ciężkim warkoczem medytacyjnie i badawczo przechylała się w różne strony, z daleka i z bliska przypatrując się dokonywanemu dziełu. Gdy tak w zajęciu swoim pogrążona była, za oknem, kędyś w pobliżu, ozwało się silne stukanie i gruby głos ludzki w sposób gwałtowny i grubiański do kogoś przemawiający. Nie zdziwiło to jej wcale. Wiedziała, że to jeden z licznych jej sąsiadów, szewc Jerzy, po całonocnej hulance pijany wraca do domu i w ten hałaśliwy sposób dobija się do drzwi swego mieszkania. Stukanie to trwa zazwyczaj długo i towarzyszą mu coraz głośniejsze krzyki i łajania, bo żona szewca, przełęczona a więcej jeszcze rozgniewana, drzwi otworzyć nie chce i nawet z wnętrza mieszkania cienkim, ale piskliwym i donośnym głosem wzajemnie męża łajając zaczyna. Wszystko to nie jest zupełnie podobnym do śpiewu ptasząt, przy którym do dnia niewinności i szczęścia budzą się niewinni i szczęśliwi tego świata. Toteż czoło dziewczyny klęczącej przed wytworną i trupio sztywną damą bez głowy nabiera trochę ponurego wyrazu; pomiędzy brwiami powstaje na nim zmarszczka i przebiega je parę drgnień gniewu czy niecierpliwości. Od paru już lat, parę razy na tydzień słyszy ona hałaśliwe i grubiańskie kłótnie szewca i jego żony, a potem znowu wysłuchiwać musi płaczliwych, piskliwych, nieskończenie długich wyrzekań i lamentów tej ostatniej, a dotąd jeszcze oswoić się nie może z widokiem mizernego, niskiego, brudnego życia tych ludzi. Jest w niej coś, jakiś instynkt porządku, jakieś zamiłowanie fizycznej zarówno jak moralnej czystości, które widoki takie czyni jej nieznośnymi. A teraz nad nią, nad niewysokim sufitem pokoju, w którym pracowała, rozległ się przeraźliwy wrzask dwojga czy trojga dzieci, które jednocześnie znać obudziły się i jednocześnie płakać zaczęły. Oznajmiało to znowu powstawanie ze snu nocnego licznej rodziny Lei kramarki, która niedaleko stąd miała kramik z drobnymi wiktuałami, a której mąż od rana do wieczora nad Talmudem siedział i oprócz tego nic więcej nie robił. Ci nie kłócili się z sobą, tak jak owe o kilkanaście kroków mieszkające szewcowstwo, ale w zamian mieli strasznie wrzaskliwe dzieci i mieszkali dosłownie w kupie śmiecia, z której wyciekające, brudne jakieś ciecze tworzyły często obrzydliwe plamy na suficie jej mieszkania. Skarżyła się na to przed właścicielem domu, ale był to człowiek bogaty, a psycholog mierny, który na żaden sposób zrozumieć nie mógł, co komu szkodzić mogą dziecinne wrzaski nad sufitem i mokre, ciemne

plamy na suficie. On sam wprawdzie ani jednych, ani drugich znieść by nie mógł, ale był bogatym; ażeby zaś ubogim ludziom przykrość one sprawiać mogły, tego zupełnie nie pojmował. Panna Jadwiga Szyszkówna była panienką ubogą, więc rzeczy te i daleko jeszcze gorsze znosić mogła wybornie. Powiedział jej to nawet wyraźnie, co ją tak zabolalo i oburzyło, że z twarzą w ogniu oświadczyła mu wzajemnie, iż jest gburem, człowiekiem bez wychowania i serca, a odchodząc z całej siły trzasnęła drzwiami. Postępuku tego nie tylko nie wyrzucała sobie, ale owszem, ilekroć o tym myślała, żałowała, że obrzydliwemu spekulantowi temu nie nagadała daleko gorszych rzeczy i że drzwiami jego nie trzasnęła tak, aby z nich duże, przezroczyste, kosztowne szyby z prawdziwego czeskiego szkła wyleciały i na szczątki się potłukły. Bo jakie on miał prawo wyrzucać jej ubóstwo? Płaci mu przecież ona za mieszkanie z regularnością zegarkową, ręki po jałmużnę nie wyciąga i od nikogo nic nie potrzebuje. Czy to ubogi człowiek jest psem, aby wszystko znosić musiał i aby każdy ubliżać mu miał prawo! I teraz jeszcze myśląc o tej rozmowie z właścicielem domu zawrzała tak, że aż rumieńce wybiły się jej na twarz i dotkliwie ukłuła się szpilką w palec. Syknęła, ale nie z bólu, tylko z gniewu na samą siebie. Zarazem wstała z klęczek i po starannym obejrzeniu znowu ze stron wszystkich wytwornej damy uznała, że draperie jej sukni były tym razem zupełnie dobrze upięte. Trzeba je będzie jeszcze przymocować nićmi, ale to już uczyni później, a teraz wykończy tę różową, dziecinną sukienkę, która wisi na ścianie zupełnie uszyta, tylko jeszcze drobnych przyozdobień potrzebująca.

Gdy szła ku ścianie po dziecinną sukienkę, machinalnie spojrzała w okno i zobaczyła zwolna sunącą po śniegim usłanym dziedzińcu kobietę w strasznie obłoconej u dołu sukni i wielkiej, podartej chustce na głowie. Z grubych zwojów podartej i żadnej już barwy nie mającej chustki wyglądała twarz dość młoda jeszcze, ale niezmiernie blada, chuda i wyrazem przejmującego smutku uderzająca. I o tej kobiecie wiedziała ona dobrze, kim jest i czego teraz w skórzanych pantoflach i obłoconej spódnicy sennym, słabym, leniwym krokiem sunie się przez dziedziniec. Jest to żona krawca Mendla, który w tym samym domu, wkrótce po jej przybyciu tutaj, zamieszkał, a miał żonę, czworo dzieci, powoli rozwijające się suchoty i wieczny brak zarobku. Sunie zaś ona, ta żona Mendla, której na imię Ruchla, ku sklepionej i prowadzącej na ulicę bramie dziedzińca, aby w niej stanąć i każdego z przechodniów, którego tylko o potrzebę sporządzania jakiegokolwiek odzieży posądzać może, do swego męża krawca werbować. Z rana, w południe, przed wieczorem, latem, jesienią i zimą, o każdej, słowem, porze dnia i roku widzieć można Ruchlę przypartą do rogu bramy i głęboko zapadłymi, czarnymi oczyma wodzącą po przytykającym do niej chodniku. Czasem, gdy nogi zabolą ją od stania, przysiada na niskiej schodce znajdującej się u drzwi mieszkania stróża i z łokciami na kolanach a brodą opartą na obu rękach siedzi jak posąg; lecz niech tylko spostrzeże idącego chodnikiem lub wchodzącego do bramy kogoś z zawinięciem lub kawałkiem jakiej materii w rękę, natychmiast zrywa się, podbiega i z ukłonami, z błagalnymi wejrzeniami, z tysięcznymi przyrzeczeniami taniości i doskonałości roboty do siebie zapraszać go zaczyna. Z sennej, leniwej, nieustannie i, zda się, śmiertelnie smutnej kobiety przemienia się ona wtedy na Demostenesa w obłoconej spódnicy, a po części też na baletnicę, tak staje się wymowną i takich gibkich, zwawych, sprężystych nabiera ruchów. Tłumnie, bezprzestannie, gorączkowo wyrazy tłoczą się na jej kształtnych, cienkich, żółkłych wargach; błagalnie, gorączkowo, z wyrazem niepokoju, przymilenia i żądzy w twarz przechodnia z zawinięciem spoglądają jej głęboko zapadłe, jak noc czarne oczy. I dość często udaje się jej celu swego dopiąć; dość często przechodzień zwabiony jej spojrzeniami, ukłonami i obietnicami skierowuje się w stronę jej mieszkania omijając drzwi Jadwigi Szyszkówny i drugiej szwaczki, która na złość Jadwidze i aby pomścić się na niej za jakąś stoczoną z nią kłótnię, na tym samym dziedzińcu zamieszkała, i trzeciej jeszcze szwaczki, która także tu mieszka, ale której Jadwiga nie zna i znać nie chce z powodu kawalerów, z którymi ta lekkomyślna dziewczyna przechadza się po ulicach i których nawet u siebie dość często przyjmuje. Że jednak obie te szwaczki niewiele są znane w

mieście i daleko mniejszą od niej biegłość w krawiectwie posiadają, więc też Ruchla swoim przejmowaniem w bramie krawieckiej klienteli najczęstsze szkody wyrządza Jadwidze. Boże! ile też zrazu miała ona z tą kobietą zajść i przykrości! Zaczęła od tego, że uprzejmię i poważnie przedstawiała jej całą niewłaściwość i nawet nieuczciwość takiego podstępного postępowania i odbierania przez nie zarobku innym, którzy także żyć potrzebują. Na przedstawienia te Ruchla ani gniewu, ani wstydu nie okazując odpowiadała: „A co robić, kiedy u nas chleba nie ma?” Niechby Mendel tak dobrze suknie robił, aby przez to zdobył sobie wziętość, a wtedy nikt by mu jej za złe brać, ani zazdrościć nie miał prawa; ale tak w bramie stać i ludzi chwytać, namawiać, od innych drzwi odprowadzać, to nieładnie i nieuczciwie. Ruchla swoim cichym, monotonnym, od stania na zimnie ochryłym głosem znowu odpowiedziała: „A co robić? kiedy u nas chleba nie ma!” Stopniowo, uporem Żydówki i kilku poniesionymi stratami podrażniona, Jadwiga coraz ostrzejsze wymówki Ruchli czynić zaczęła i przy każdym spotkaniu okazywała jej swoją pogardę, bo też istotnie oprócz żalu nad straconym zarobkiem własnym czuła ku podobnemu sposobowi zdobywania go obrzydzenie głębokie. Ona, gdyby z głodu umierała, jeszcze by pewnie nie stanęła w bramie, aby w taki żebraczy i dla innych szkodliwy sposób przyciągać ku sobie klientelę. Raz też, przechodząc obok Ruchli, która jej przed paru dniami jedną z najcenniejszych klientek odebrała, zagotowała się cała od gniewu i głośno, ostro do niej zawołała: „Oj, wy, Żydy! czy wy już ani za grosz honoru i wstydu w oczach nie macie!” I jak zwykle, gdy gniew ją ogarniał, z ogniem na policzkach i drżącymi trochę rękami dodała: „Brudasy!” Wymówiła więc wyraz z całego swego dykcjonarza najgorszy, bo „brudas”, czyli człowiek fizycznie lub moralnie brudny, był dla niej tym, czym najnamiętniej brzydziła się na świecie. Ale Ruchla, ramieniem o róg bramy oparta, bez gniewu ani wstydu, bez żadnego poruszenia ciała lub duszy, odpowiedziała: „A co robić? kiedy u nas chleba nie ma!” Przez lat parę Jadwiga uczuwała dla tej fizycznie i moralnie brudnej kobiety urazę i pogardę, które stopniowo wzrastały we wstręt i nienawiść; jakież tedy było jej zdziwienie i obrzydzenie, gdy dnia pewnego Ruchla, nie w bramie już, ale na dziedzińcu z opuszczonymi rękoma i splekaną twarzą stojąca, ujrawszy ją rzuciła się ku niej, rękę jej pochwyciła i pocałunkami okrywać ją zaczęła! Płakała przy tym i bełkotała, że jedno z dzieci jej zachorowało, a ona nie ma czym doktora i apteki opłacić, że w tych czasach właśnie Mendel żadnego zarobku nie miał, że może panienska zlituje się nad jej chorym dzieckiem, nad nimi wszystkimi i pożycz im choć rubla, choć jednego rubla... na doktora i lekarstwo! Jadwigę prośba ta oburzyła. „Ja wam, ja wam pożyczyc! Dwa lata dołki pode mną kopią i o tym tylko myślą, aby mię chleba pozbawić, a teraz jeszcze mojej pomocy żądają! Albo to prawda, że wy tacy biedni! Czy tacy, jak wy, brudaszy mogą być biedni!” Ruchla odpowiedziała: „Niech panienska zobaczy i przekona się! Niech panienska do nas wejdzie!” Powiedziała to w taki sposób i tak jakoś rozpacznie ją ku swemu mieszkaniu pociągnęła, że rozgniewana, ale trochę też zaciekawiona Jadwiga za nią poszła. W mieszkaniu krawca spędziła prawie kwadrans, a gdy je opuściła, miała twarz zamyśloną i smutny wyraz oczu. Jakkolwiek patrzyła już teraz na bruk dziedzińca i wysokie ściany kamienicy, zamiast nich widziała nieustannie drobną, ładną, rumieńcami gorączki płonąca twarz dziecka i drugą jeszcze, tak prawie jak papier białą, rozżarzonymi oczami świecąca, suchotniczą twarz ojca tego dziecka. Widziała jeszcze okropną izbę, z której przed chwilą wyszła, i z tymi obrazami w oczach do mieszkania swego wbiegła, a wnet zeń znowu wybiegłszy, czekającej na nią Ruchli papierową szmatkę w rękę wcisnęła. Doprawdy, nie była ona wcale bogatą, ale do utrzymania miała tylko siebie i jedną jeszcze osobę, a ten biały, smutny, przymusowo beczynny człowiek miał ich aż pięć. Posiadała w tej chwili trzy ruble, z których jednego oddała teraz żonie krawca, a tego samego dnia odnosząc uszytą suknię żonie doktora, której była stałą krawczynią, tak gorąco prosiła, aby pan doktor odwiedził chore dziecko Mendla i Ruchli, że aż doktorową w rękę pocałowała. W ogóle nie była wcale skłonna do całowania rąk ludziach, tym razem jednak uczyniła to gorąco, i nie bez skutku. Mały jej sąsiad bezpłatnie i dobrze leczony wyzdrowiał wkrótce, a jednocześnie w

sercu Jadwigi nieprzyjaźń względem obłoconej i podstępnej Ruchli zgasła bez śladu. Nie wiedziała sama, jak i dlaczego się to stało, ale faktem było, że parę razy, przez dziedziniec przechodząc, pogłaskała kędzierzawą głowę dziecka, w którego uratowaniu niejaki przyjął udział, a z matką jego, która, tak jak i wprzód, w bramie domu nieustanną trzymała wartę, od czasu do czasu zamieniała kilka życzliwych, nawet poufnych wyrazów.

I teraz także spostrzegłszy przez okno Ruchlę na zwykłe swe stanowisko dążącą, uśmiechnęła się tylko żartobliwie.

– Głupia Ruchla! Zmarznie w bramie jak kość, a nikogo nie złapie! Przecież to wilia Bożego Narodzenia...

Zdjęła ze ściany dziecinną sukienkę i poczęła ją na wszystkie strony obracać i oglądać. Bardzo ładna! Zrobiła takich trzy, dla trojga małego rodzeństwa, i dziś ją odniesie, tylko tę jedną wykończyć jeszcze trzeba. Odwróciła się ku stołowi i nagle aż zatrzęsła się cała z gniewu. Jedna szyba nisko nad ziemią umieszczonego okna zajęta została w zupełności przez twarz kobiety dużą, czerwoną, garniowaniem wielkiego kaptura otoczoną, a małymi, świecącymi, ciekawymi oczkami chciwie w głąb pokoju spoglądającą. Twarz ta należała do niemłodej, barczystej kobiety, która w dość mizernej salopie i z grubą książką do nabożeństwa w ręku za oknem przystanąwszy, mieszkanie za tym oknem znajdujące się swymi świecącymi i ciekawymi oczkami formalnie prześwidrować na wskroś usiłowała.

– Znowu! – krzyknęła Jadwiga i z błyskawiczną szybkością ku oknu poskoczywszy twarzy do szyby przyklejonej język pokazała.

Twarz z przedziwnym grymasem gniewu i przedrzeźniania zniknęła, a Jadwiga popędliwym ruchem przy maszynie do szycia usiadłszy, trochę drżącymi palcami układała i zszywała różową kokardkę. Nie jest to ładnie język komuś pokazywać, ale ona wcale tego postępkowi swego nie żałuje. Te dewotki w rogu dziedzińca mieszkające tak jej już swoim podpatrywaniem i podsłuchiowaniem dokuczyły! Jest ich trzy, mieszkają razem, ale po osobno, żyją z drobnych emerytunek i oszczędności, i przez dnię całe z książkami do nabożeństwa po dziedzińcu się włóczą; a co która przewlecze się, to w jej okno twarz wsadzi i patrzy: czy nie zobaczy tu czego, co by po mieście na języku roznosić mogła. Żeby sto lat patrzyła, nic takiego nie zobaczy, to pewna; ale taka niedelikatność i nieprzyjaźń oburza i boli. Tylko co była jedna, szła na prymarię i do jej okna zajrzała, zaraz iść będzie druga, a potem trzecia, i to samo robią. Ale ona plecami do okna usiadła i ani razu nie obejrzy się najpewniej, aby znowu nie zobaczył której z tych dużych, czerwonych twarzy (wszystkie trzy mają one duże, czerwone twarze), bo gdyby się to stało, czuje, że nie wytrzymałaby i znowu pokazałaby język. Myślała już o tym, aby dolne szyby firanką zasłonić, ale światła znowu do roboty miała by za mało i przy wyszywaniu sukien sznurkami lub paciorkami albo przy szyciu przodów do męskich koszul musiałaby wzrok wyteżać, a i bez tego już od jakiegoś czasu oczy ją trochę boją. Po czternaście albo i po szesnaście godzin na dobę szyje i szyje. Bierze ona do szycia nie tylko suknie, ale także, gdy zdarzy się, i bieliznę taką, która wybornego i delikatnego obrobienia potrzebuje. Trudno byłoby utrzymać się z roboty samych sukien, zwłaszcza że współzawodnictwo na tej drodze jest ogromnym i ciągle wzrasta; trzeba więc korzystać z każdej sposobności zarobku, z każdej umiejętności własnej.

Ze sześć już kokardek do różowej dziecinnej sukienki zrobiła i robić zaczęła siódmą, gdy zza przepierzenia dał się słyszeć głos nieprzyjemnie brzmiący, bo tak chropawy, że do przesuwania się piły po drzewie podobny.

– Jadwisia, czy ty znów o tej porze przy robocie siedzisz?

– Już! – syknęła do siebie Jadwiga – zaczynają się przyjemności!

Głośno zaś odpowiedziała:

– Siedzę, mamó!

Głos za przepierzeniem tonem gderliwej przekory ozwał się znowu:

– A położyłaś się spać znów o trzeciej?

Coraz prędzej, prędzej zszywając kokardkę, odpowiedziała:

– O trzeciej, mamo!

Za przepierzeniem chrypliwie, niecierpliwie, z gorzką i gniewną wymówką zajęczało:

– Skaranie boże! plaga egipska! śmierć! zginienie! wieczne nieszczęście! Co z tego będzie? no, i co z tego będzie? Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się Ty nad nami!

I ucichło, a w zamian rozpoczęło się głuche, monotonne stukanie, dla okurzenia czy innej jakiej przyczyny, silnie uderzanych o siebie trzewików. Klap! klap! klap! długo stukwały za przepierzeniem uderzane o siebie stare, lecz grube podeszwy, a potem stary, chrypliwy, gderliwy głos zaczął znowu:

– Co z tego będzie? Powiedz tylko sama, co z tego będzie? Do czego ty sama siebie doprowadzisz? Czyż ty nie rozumiesz, do czego siebie doprowadzisz? Jezus, Maria! Sama zginięsz i matkę zgubisz! Albo ty tego nie rozumiesz? Oho! Nie taka ty głupia, żebyś rozumieć i wiedzieć nie miała! Rozum masz! ojej! więcej niż trzeba, a serca tylko mało, mało, mało! Jezus, Maria! Żebyś miała serce, to byś pomyślała o tym, co by stało się z matką, gdybyś ty zachorowała albo, broń Boże, i co gorszego jeszcze... Ale czy ty kiedy o tym pomyślisz? Czy ty o matkę dbasz? Czy ty taka córka, żebyś matki spokojność szanowała? Pracować! pracować! pracować! To bardzo ładnie i możesz chwalić się przed całym światem, że z własnej pracy siebie i matkę utrzymujesz! Tobie tylko o to idzie, ażeby chwalić się: „Od nikogo nie potrzebuję! Matkę utrzymuję! Synowie ją opuścili, a ja córka, słaba dziewczyna, nie opuściłam. Dniami i nocami pracuję, a siebie i matkę ze swojej pracy utrzymuję! Bracia podli, a ja szlachetna! Ot, widzicie, jaka ja!” Tak, tak! Masz prawo chwalić się, a na braci wygadawać! Oni opuścili, a ty nie opuściłaś! Masz prawo! masz! Choć bywa na świecie i tak: że ten, kto wygląda na złego, jest lepszym od tego, który wygląda na dobrego. Ale ja do ciebie tego nie mówię: ty dobra, najlepsza. Boże, zmiłuj się, oj, Boże, zmiłuj się!

Przez cały czas tej mowy Jadwiga milczała i tylko coraz niżej nad robotą pochylała głowę, ale kiedy głos za przepierzeniem wyraził filozoficzne zdanie o tym, że często ten, który wygląda na złego, lepszym jest od tego, który wygląda na dobrego, blade jej palce drżeć zaczęły i wypuściły na szarą suknię wijącą się strugę różowej wstążeczki. Rozumiała ona dobrze, do kogo odnosiły się te słowa, a zawierająca się w nich niesprawiedliwość rzuciła jej znowu do policzków gorące rumieńce. Nie podnosząc głowy, przytłumionym głosem kogoś z całej siły żal i gniew swój hamujące, odpowiedziała:

– Ja bardzo dobrze wiem o tym, że dla mamy Władys i Józio zawsze ode mnie lepsi. Gdybym ja gwiazdy z nieba zdejmowała, a oni w błocie po uszy siedzieli, zawsze byłabym od nich gorszą...

– Gwiazdy! – z ironicznym, ochryplym śmiechem powtórzył głos za przepierzeniem. – Gwiazdy! gwiazdy! Jezus, Maria! Skończenie świata! Ja chcę, żeby ona dla mnie gwiazdy z nieba zdejmowała! No, słyszeliście moi państwo? Ja ją proszę, błagam, na rany Chrystusa, na popioły ojca zaklinam, aby zdrowie swoje szanowała, po nocach nie szyła, o świecie nie wstała, ja o nią tylko troszczę się, o nią drzę, nad nią trzęsę się, a ona mi wymawia, że gwiazdy dla mnie z nieba zdejmuje! A gdzież te gwiazdy? jakież te gwiazdy! Śliczne gwiazdy! Jezus, Maria! Zginienie zdrowia i życia! Nędzny kawałek chleba, zgryzotą posmarowany!

– Niech mama będzie przekonaną – głośniej nieco jak wprzód przerwała Jadwiga – że gdybym miała marcepany, sama bym ich nie jadła, ale mamę bym nimi karmiła. Cóż, kiedy mię na nic innego prócz tego nędznego kawałka chleba nie stać!

Głos za przepierzeniem zaskrzypiał:

– Masz tobie! Skończenie świata! Teraz o marcepanach gadać zaczęła! Jezus, Maria! Nieszczęście wieczne! Czy ja kiedy od ciebie marcepanów wymagałam? Niczego ja od ciebie nie wymagam. Talerz krupniku albo parę kartofli z solą, aż nadto dla mnie dobre! Jednej rzeczy od ciebie wymagam, o jedno proszę, błagam i ubłagać nie mogę, abyś tak nie zabijała się robotą... Ale czy ty taka, aby tobie serce nad matką i jej niespokojnością zabolalo... To prawda,

że synowie wyrzekli się mnie, zapomnieli, opuścili, a córka mię utrzymuje, ale za to oni mię i nie gryzą, nie martwią, nie sprzeciwiają się na każdym kroku...

– Trudno, aby na każdym kroku sprzeciwiali się, kiedy o sto mil mieszkają! – sarknęła Jadwiga i szybko końcem palca otarła dobywającą się na powiekę kroplę, bo zlekła się, aby ona nie splamiła różowej wstążeczki. Spiesznie, z wielką uwagą mnóstwo kokardek do dziecinnej sukienki przymocowywała, a za przepierzeniem rozlegały się teraz odgłosy, w których rozpoznać można było energiczne wytrzępywanie z pyłu spódnicy. Szast, szast! szast! fruwała w powietrzu wytrzępywana spódnica, a odgłosowi temu wtórowało głośne mruczenie:

– Co z tego będzie? I co z tego będzie? Śmierć, niedola, zgryzota, nieszczęście! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się Ty nad nami!

Mnóstwem kokardek sukienkę dziecinną już przystroiwszy, Jadwiga z igłą i nićmi podeszła teraz do wytwornej damy bez głowy, znowu u stóp jej przyklękła, i dość głośno, aby za przepierzeniem być słyszaną, zawołała:

– Może mama będzie łaskawą samowar nastawi i herbatę zrobi, bo ja czasu nie mam!

Zza przepierzenia doszła ją odpowiedź:

– Zaraz, natychmiast, w ten moment, do usług! Nie krzycz już tylko! Idę, biegnę, lecę! tylko nie krzycz!

Przykre, nerwowe drganie przebiegło po palcach i twarzy Jadwigi.

– Ależ moja mamo, ja wcale nie krzyczałam, tylko prosiłam! – odpowiedziała; a z cicha do siebie syknęła:

– Oj, cierpliwości! cierpliwości! cierpliwości! Czują zapewne, że cierpliwość ją opuszcza, i przyzywała ją ku sobie drżącym, namiętym szeptem. Za przepierzeniem zaś dało się słyszeć klapanie po podłodze znoszonych trzewików i przyciszone, ale wyraźne mruczenie:

– A czemuż nie masz krzyczeć! Masz prawo krzyczeć! Ty tu pani! Ja z twojej łaski żyję! Czemu nie masz krzyczeć na niegodziwą matkę, którą rodzeni synowie opuścili, a ty jedna nie opuściłaś i utrzymujesz! Zaraz będzie samowar, i herbata, i ogień w piecu zapalony, i wszystko! Zaraz, natychmiast, w ten moment! Jezus, Maria! Służę, służę!

Przy ostatnim wyrazie drzwi jakieś mocno stuknęły i wszystko umilkło. Jadwiga upinała jeszcze draperie na sukni wytwornej damy, a gdy czynić to skończyła i dzieło rąk swoich ze wszystkich stron obejrzawszy nic już w nim do poprawienia nie znalazła, ku oknu podeszła, cienkie ramiona swoje, jak ktoś zmęczony czy niewyspany, wysoko nad głowę wyciągnęła i z dłońmi na włosach złożonymi nieruchomo przez chwilę stojąc na rozściełający się za oknem, śniegiem okryty dziedziniec patrzała.

Dziedziniec to był obszerny, czworokątny i ze wszystkich czterech stron otoczony wysokimi ścianami, których rażącą białością przerzynały cztery rzędy równoległe osadzonych, zupełnie jednostajnych okien. W górze, na białawym dziś tle nieba, jaskrawo odbijał dach z czerwonej blachy, z mnóstwem wyżej i niżej umieszczonych kominów; w dole, nad samą ziemią, ciemno zarysowywało się pomiędzy oknami mnóstwo drzwi do oddzielnych mieszkań prowadzących. Bo te cztery wysokie gmachy, tworzące dokoła dużego dziedzińca regularny czworobok, zawierały w sobie tylko małe, tanie, dla ludzi ubogich przeznaczone mieszkania. Żyło w nich rodzin kilkadziesiąt, a osób kilkaset. Samo ubóstwo: drobni rzemieślnicy, drobni kramarze, gdzieś tam też drobni urzędnicy, tanie nauczycielki, szwaczki, starszankowie z drobnych emerytur żyjący, mężczyźni i kobiety, chrześcijanie i żydzi. Prawdziwy kocioł z przegródkami, z których w każdej gotowały się cokolwiek odmienne, ale w gruncie podobne do siebie potrawy; grunt ten stanowiły troski, zgryzoty i ciężka praca, a tylko w jednej przegródce było pół, w drugiej jedna, w trzeciej zaś parę szczypt drogiej przyprawy weśłości, miłości i nadziei. Pełną garścią nikt ich tu sobie do życia nie sypał, choćby dlatego, że czasu na to nie było; jednak posiadała jej sporo ta oto na przykład młoda, wysoka, przystojna kobiecina, w którą teraz patrząca przez okno Jadwiga wlepiała swoje chmurne, zmęczone oczy. W zgrabnym, watomanym paltocie (futra tu były rzadkością), w żółtawej, włócz-

kowej chustce, zalotnie na czarnych włosach zawiązanej, z koszykiem na ramieniu, wybiegła ze swego mieszkania i odwróciwszy się ku drzwiom, ku komuś niewidzialnemu głową jakby na pożegnanie kiwać zaczęła, przy czym uśmiechała się tak szczerze, że rząd białych zębów zza różowych warg ukazywała. Ale ten, z którym tak żegnała się, że, zda się, pożegnać się nie mogła, musiał także rozstawać się z nią nie bez trudności, bo w drzwiach otwartych ukazał się i na progu stanął: młody mężczyzna, krępy, silny, muskularny, z ciemnymi włosami rozczochranymi nad okrągłą, rumianą, wąsatą twarzą. Stoi na mrozie bez surduta i ani czuje, że mu plecy tylko kamizelka, a ramiona rękawy koszuli osłaniają. Ku odchodzącej kobiecie kiwa też głową i uśmiecha się do niej tak, że aż rząd białych zębów spod ciemnych wąsów ukazuje. Jadwiga zna tych ludzi z widzenia, a nawet i rozmawiała z nimi nieraz. On jest ślusarzem, który od paru lat zaledwie pracuje na własną rękę; ona była służącą, a teraz zarobek męża zwiększa przez swój, który praniem bielizny zdobywa. Ma nie więcej jak lat dwadzieścia parę, a że jest brunetką, bardzo jej do twarzy w żółtawej chusteczce. Żwawo i zgrabnie ku bramie pobiegła, ale on ją przywołał jeszcze, a gdy wracała, sam na jej spotkanie szerokim i ciężkim krokiem fizycznie pracujących ludzi postąpił. Parę minut stali na śniegu i rozmawiali żywo. On wskazywał na kosz u ramienia jej wiszący i coś na palcach liczył; ona głową robiła zaprzeczające lub potwierdzające ruchy. Podali sobie ręce i widać było, jak ścisnęły się one mocno, mocno; po czym ona znowu ku bramie odbiegła, lecz raz jeszcze stanęła, odwróciła się i tak głośno, że każde jej słowo wyraźnie do Jadwigi doszło, zawołała:

– Michał! Michał! a pilnujże dobrze dziecka!

Mieli jedno dotąd, dwuletnie dziecko, które raz, zeszłej jesieni, Jadwiga przez dziedziniec przechodząc na ręce wzięła, i bawiła się z nim przez chwilę, w błękitne, śmiejące się jego oczy z uśmiechem patrząc.

– Skąd ten malec wziął takie błękitne oczy, kiedy państwo oboje jesteście bruneci? – żartobliwie zapytała sąsiadki, która z wysoko zawiniętymi rękawami i rękami pieniącymi się od mydlin obok niej stała.

– Broń Boże! Michał nie brunet! Pani nie przypatrzyła się tylko, że u niego włosy „szaten”, a oczy błękitne! – z niejakim oburzeniem na popełnioną przez nią omyłkę zawołała ślusarzowa.

Ona z dziwnym zamyśleniem w oczach powiedziała wtedy:

– Tak zgodnie państwo z sobą żyjecie i tacy zawsze jesteście weseli, że aż miło na was patrzeć.

Teraz, kiedy żółtawa chusteczka ślusarzowej zniknęła w bramie, Jadwiga spostrzegła ciągnącą się zwolna przez dziedziniec barczystą kobietę w wielkim futrzanym kołnierzu i z dużą, czerwoną twarzą, otoczoną garniowaniem kaptura. Była to siostra tej, której dziś, przed godziną lub nieco więcej, język pokazała. Z kolei sunęła ona do kościoła i do miasta, a wkrótce sunąć będzie jeszcze trzecia. Ale teraz ominął ją szybko i ku bramie podążył młody mężczyzna w zgrabnym, chociaż wytartym futerku i z zapalonym papierosem w palcach, z bladawą twarzą i jasnym wąsikiem. Znała i tego. Urzędnik pocztowy, małą pensję otrzymujący, uczciwy, łagodny i przystojny chłopak. Przed trzema laty, kiedy na tym dziedzińcu zamieszkał, starał się bardzo zabrać z nią bliższą znajomość, przy każdym spotkaniu kłaniał się jej pośpiesznie i z uszanowaniem, przy każdej sposobności oddawał jej drobne sąsiedzkie przysługi, aż pewnego dnia nieśmiało zapytał, czy pozwoli, aby ją kiedykolwiek odwiedził. Pozwoliła, przyszedł, a dla niej – pamięta to dobrze – odwiedziny te niemiłymi nie były; ale właśnie, aby zadowolenia swego zbyt wiele nie okazać i aby on jej o chęć kokietowania go i łapanie nie posądził, i jeszcze dlatego, że nieprzyzwyczajoną była do przyjmowania gości, a zwłaszcza do rozmawiania z mężczyznami, taką okazała się nieuprzejmą, sztywną, niezręczną, surową, że prędko odszedł i więcej nie przyszedł już nigdy. Wiedziała nawet, iż przed tym i owym mówił nieraz, że z początku panna Szyszkówna bardzo się mu podobała, ale że przy bliższym poznaniu sympatię do niej stracił. Od tego czasu kłaniali się sobie tylko

z daleka i byłaby nawet zupełnie zapomniała, że kiedyś podobała się mu była i on się jej podobał, gdyby jej tego w domu nie przypominano... Teraz także stojąc przy oknie nie patrzy nawet za znikającym w bramie młodym sąsiadem, ale machinalnie ścigając wzrokiem ciężki lot wrony unoszącej się nad dziedzińcem, myśli o tym, że trzeba jej jeszcze wyprasować te trzy dziecinne sukienki, przejrzeć sześć świeżo uszytych męskich koszul, a potem wszystko to w zawinięcia ułożywszy, iść z nimi do miasta, właścicielom poodnosić, zapłatę odebrać i na wigilijną wieczerzę do domu powrócić. Surowo więc w myśli karci samą siebie za to, że nie wiedzieć czego jak słup stanęła i jak gawron gapi się przez okno nic nie robiąc...

W chwili właśnie, kiedy przestając być „gawronem” odwróciła się od okna, w drzwiach przepierzenia ukazała się stara kobieta, w jednym ręku szklankę z herbatą, a w drugim koszyk druciany z chlebem i sucharkami niosąca. Poranny negliż jej składał się z poplamionej spódnicy i podartego kaftana; włosy, gęste i czarne, jak posępna chmura opadały jej na ciemne bardzo pomarszczone czoło; gdy szła, znoszone i źle włożone trzewiki klapały o podłogę. Zresztą, niewysoka, trochę krępa, z ostrymi rysami twarzy, nie miała w sobie nic osobliwego i co by ją w szczególności od innych starych kobiet odróżniało: nic oprócz ponurej sprzecznosci czarnych włosów z zestarzałą twarzą i oczu wypukłych, wielkich, napełnionych wyrazem tak ogromnego bólu, że nie podobna go było od pierwszego zaraz spojrzenia nie spostrzec. Przez te oczy, pod gęstymi brwiami i pomarszczonym czołem osadzone, patrzył zawód jakiś nigdy zapomnieć się nie dający, żal nieprzeplakany, wciąż krwawiąca się rana serdeczna. Spiczasta linia nosa i wklęsłe, zacięte usta zdradzały gniewliwość, złośliwość, wieczne i zgryźliwe z całego świata niezadowolenie. Szklankę i koszyk na stole postawiwszy, nie odeszła, ale przed córką stanęła z oczami w nią wlepionymi, zamkniętymi wargami to w prawo, to w lewo szybko poruszała. Wydawała się gwałtownie, ale dwojako wzruszoną: w poruszaniu się warg, które także i spiczasty nos w ruch wprawiało, widać było zjadliwy gniew, a w oczach nieruchomych ogromny smutek. Na koniec przytłumionym od gniewu głosem zaczęła:

– A ty nie śmieję mówić, że oni w błocie po uszy siedzą! Kara boska! Zginienie wieczne! Trzeba za grosz serca nie mieć, aby tak na rodzonych braci wygadywać! Skąd ty wiesz, że oni w błocie siedzą? A! Jezus, Maria! Skąd ty to wiedzieć możesz? Czy tobie kto powiedział o nich cokolwiek, nagadał, napaplał? A?

Aż zadrzała od widocznego niepokoju.

Jadwiga łyżeczkę, którą herbatę do ust niosła, z palców wypuściła i szeroko otwartymi oczami na mówiącą patrzyła.

– Ja mówiłam, że oni po uszy w błocie siedzą! Ależ ja tego nie mówiłam wcale!

– Plaga egipska! śmierć! nieszczęście! – zawołała stara, a ręce jej trzęsły się jak w febrze i trudno było tylko powiedzieć, czy od złości poruszającej wciąż jej wargami i nosem, czy od trwogi, którą wyrażały oczy – jak to nie mówiłaś? Jezus, Maria! Mówiłaś przecie, że ty gwiazdy z nieba zdejmujesz, a oni w błocie po uszy siedzą! Nie mówiłaś tego? A? Śmieję zaprzeczyć, że nie mówiłaś!

– Ależ moja mamó! jakże ja mogłam mówić o sobie, że gwiazdy zdejmuję! To było tylko przypuszczenie... tak samo o Władku i Józiu... Cóż ja mogę wiedzieć, gdzie oni siedzą i co robią? Mama wie sama, że nic o nich nie wiem...

– Nie wiesz! – wybuchnęła stara i choć rozgniewała się jeszcze bardziej, trwoga z oczu jej zniknęła. – Nie wiesz! Nikt przed tobą niczego na nich me nagadał! Jezus, Maria! To i czegoż językiem mlełaś? Komedia! zgryzota! Zginienie zdrowia i życia! Umyślnie mnie przestraszyłaś! Umyślnie! umyślnie! Niech stara matka myśli sobie, że jej synowie w błocie po uszy siedzą! Przecież pięć lat ani d u d u o nich nie słyhać! Niech matka myśli, że zmarnowali się oni, rozłajdaczyli się, marnie przepadli. Ja za to przy niej jestem, ja, córka, pocziwa, dobra, perła, brylant, złoto najczystsze...

– Cierpliwości, cierpliwości, Boże mój, cierpliwości! – załamując ręce syknęła Jadwiga.

Ale stara syknienia tego nie słyszała, czy nie zwróciła na nie uwagi. Drepcząc dokoła stołu i podnosząc z ziemi skrawki materii mówiła i wykrzykiwała dalej:

– Czy ty taka siostra, żebyś za braćmi zatęskniła? Czy ty taka córka, żebyś matkę z smutku i niespokojności pocieszyła, utuliła? Jezus, Maria! Ty i kontenta, że pochłubić się możesz przed światem: „Ot, jacy moi bracia, a jaka ja! patrzajcie!...”

Z głośnym brzękiem łyżeczka z palców Jadwigi na ziemię upadła; jednocześnie ona sama jak struna porwała się z krzesła.

– O Boże mój! – zawołała – za co ja te wszystkie wymówki i te wszystkie męczarnie znośzę? Co ja mamie złego zrobiłam? Czy to moja wina, że Władek i Józio tak o nas zapomnieli, jakby nas wcale na świecie nie było?...

– Zapomnieli! – krzyknęła stara – męka! zgryzota! niedola! A skądże ty wiesz, że zapomnieli? Jezus, Maria! A nuż przypomną sobie jeszcze, napiszą, przyjadą, a? Co wtedy będzie? Wstyd będzie siostrzyczce, która tak już na pewno tryumfuje i językiem mieje: „Zapomnieli! zapomnieli!”

– Ja ani tryumfuję, ani językiem o nich nie miałem! Ja sama niemało nagryzłam się i napłakałam przez to, że oni tacy...

– Jacy? jacy? Jezus, Maria! jacyż oni? jacy?

– Ale przez to, że oni tacy, mama mnie zniecierpiała i na mnie gniew swój spędza! Nigdy ja od mamy dobrego słowa nie słyszę! nigdy my z sobą jak matka z córką, jak przyjaciółki, nie porozmawiamy! Co tylko zrobię, źle; co powiem, źle – i wszystkiemu ja winna...

– Jezus, Maria! Skaranie boskie! Ot, rozgadała się! ot, rozpuściła języczek! ot, jęcza!

– Znośę i znośę! milczę i milczę! ale czasem już wytrzymać nie mogę! Dziś, na przykład, od samiuteńkiego obudzenia się mama dokuczać mi zaczęła, a ja bardzo dobrze wiem dlaczego. Dlatego, że święta nadchodzi, a jak tylko jakie święta czy imieniny, czy tam coś takiego nadchodzi, mama zawsze spodziewa się, że Władek i Józio napiszą, odezwą się, powinszują, i kiedy się to nie stanie, na mnie cały swój gniew i cały swój żal wylewa...

– Nie stanie się! nie stanie się! Jezus, Maria! A skądże ty wiesz, że już tak na pewno nie stanie się? A jeżeli stanie się, jeżeli napiszą, to co? Wstyd będzie miłej siostrzyczce, a?

– Nie napiszą...

– Otóż napiszą, napiszą, napiszą! Dziś listy od nich będą... Jak wrócisz z miasta, zaraz ci pokażę... Zyg, zyg, marchewka! zyg, zyg, marchewka! Jezus, Maria!

– Pięć lat już nie pisali i teraz nie napiszą...

– Stul buzię i złego nie przepowiadaj, a kiedy pocieszyć mię nie możesz, to przynajmniej nie gryź! Plaga egipska! śmierć! nieszczęście! zginienie zdrowia i życia!

Chodziły, a raczej krążyły obie po pokoju, same nie wiedząc po co; z rozbłyśniętymi oczami i rozmiotanymi ramionami stawały czasem przed sobą albo pochylały się i podnosiły z ziemi szmatki materii. Głosy ich, z których jeden stary był, gruby, ochrypy, a drugi dość przyjemnie zrazu brzmiący, lecz coraz więcej nabierający tonów cienkich i piskliwych, przepełniały pokój i przez okno wydostawały się na zewnątrz ku wielkiemu ukontentowaniu trzeciej siostry-dewotki, która w wysoko garniowanym kapturze i z książką do nabożeństwa w ręku z kolei przez dziedziniec przechodząc kłótnię w mieszkaniu sąsiadek usłyszała i od cichego chichotu swoją dużą, czerwoną twarz do połowy prawie w wielki futrzany kołnierz wtuliła. Wtem tuż prawie nad ich głowami i uszami, za samą ścianą ich mieszkania, rozległy się jakieś głośne i kilka razy powtórzone łaskoty i wybuchnął jednocześnie ogłuszający wrzask kilku, a może i kilkunastu dojrzałych i dziecinnych głosów.

– Święci pańscy, ratujcie! Pożar czy rozbójnik!? – krzyknęła stara i złęknioma przez małą sionkę na dziedziniec wyskoczyła.

Ale Jadwiga ani drgnęła, mogło się zdawać, że rozlegających się za ścianą przeraźliwych łaskotów, wrzasków, pisków nie słyszała wcale. W gruncie rzeczy, czuła się w tej chwili tak nieszczęśliwą, że ani pożar, ani rozbójnicy, ani żadne klęski tego świata przestraszyć by jej

nie mogły. W tej chwili, gdyby ogromny jaki kamień spadał na nią, nie umknęłyby głowy, przynajmniej świadomie nie uczyniłyby tego. Owszem, niech spada, niech ją zdruzgoce! niech już wszystkiemu koniec będzie!

– Piekło, nie życie! – stając znowu u okna syknęła, i zrazu nic nie widzącymi oczami, lecz potem z budzącą się i coraz więcej rozbudzoną uwagą patrzeć zaczęła na dwie przez dziedzi-
niec idące, a teraz właśnie ku jej oknu zbliżające się osoby.

Były to dwie kobiety: jedna staruszka niskiego wzrostu, dość otyła, z laską, którą widocznie drogi przed sobą szukała, w rękę; z rumianą twarzą, przy której uderzająco odbijały ciemne, wielkie okulary i wydobywające się spod czarnego kapelusza srebrzyście siwe włosy; druga wysoka, niemłoda, ale jeszcze bardzo piękna, bardzo zgrabna, coś wyniosłego i surowego w całej postaci swej mająca. Dość było jednego rzutu oka, aby odgadnąć, że pierwsza z tych kobiet była zupełnie ślepą i że druga prowadziła ją z uwagą i pieczołowitością, które pięknym i dumą napiętnowanym jej rysom nadawały wyraz nabożnego prawie skupienia. Jadwiga zresztą wiedziała dobrze, kim były te dwie jej sąsiadki. Starsza to wdowa po obywatelu wiejskim, która przez nieszczęśliwe wypadki jednocześnie prawie utraciła męża, wzrok i majątek; druga – jedyna jej córka, od lat już kilkunastu lekcjami muzyki i języków ciężko na życie zarabiająca. Były niegdyś bogate i nosiły piękne szlacheckie nazwisko; teraz, ubogie i osamotnione, nie zapomniały jednak, kim były, i prowadziły życie ściśle od otaczającej je ludności wyosobnione. W zamian, dość było trochę tylko na nie popatrzeć, aby poznać, że same dla siebie stanowiły nawzajem świat i szczęście. Rumiana twarz staruszki, pomimo oceniających ją okularów, tak łagodną i pogodną była, jak gdyby dla niej jaśniało wiecznie najczystsze słońce; w twarzy jej córki ślady cierpień przebytych lub jeszcze przebywanych zmniejszał i całkiem prawie zasłaniał wyraz spokoju, a także tego głębokiego, rozrzuwnionego prawie skupienia, z jakim strzegła każdego poruszenia istoty, którą ramieniem swym obejmowała, i słuchała każdego z ust jej wychodzącego słowa. Tak ścieżką śród śniegu wydeptaną szły zwolna, ściśle do siebie przytulone i z cicha nieustannie z sobą rozmawiające. Tak od lat już wielu dwa razy dziennie przechadzały się one po tym dziedzińcu po pół godziny lub dłużej. Staruszka miała apoplektyczną kompleksję, potrzebującą świeżego powietrza i ruchu; toteż dnia każdego, przed wyjściem na lekcje i po powrocie z nich, córka wyprowadzała ją na te przechadzki. Jadwiga często bardzo patrzyła na nie przez okno i zdawało się, że nigdy dosyć napatrzeć się nie mogła. Było w nich coś, co ją pocieszało, i rzecz dziwna, zarazem martwiło czy też własne zmartwienia jej przypominało. Teraz także oczy jej, w czasie kłótni z matką suche i stalowo rozbłyśnięte, miękkie, łagodniały i nabierały wilgotnych połysków. Zawsze pragnęła zapoznać się bliżej z tą panną Karoliną i choć niekiedy spędzić trochę czasu w towarzystwie jej i jej matki. Wyobrażała sobie, że stałaby się lepszą, cierpliwszą, rozumniejszą, gdyby z tymi kobietami choć część życia spędzać mogła. Starła się o to; pannę Karolinę kilka razy najuprzejmiej, jak tylko umiała, na dziedzińcu rozmową zaczęła; pewnego dnia nawet pospiesznie podbiegła, aby podnieść z ziemi upuszczoną przez matkę jej chustkę, a innym razem w upalny dzień letni spostrzegłszy, że staruszka zmęczyła się przechadzką, z mieszkania swego wyniosła dwa krzesła i poprosiła, aby panie te posiedziały nieco przed jej drzwiami, gdzie w tej chwili najwięcej było cienia. Ale one bardzo grzecznym, ale i bardzo chłodnym obejściem się okazały, że bliższej znajomości zawierać z nią nie chcą, zarówno zresztą jak z nikim spomiędzy licznych mieszkańców tego dziedzińca. Nie obraziła się na nie za to, nie wzięła im tego za złe, nie przezywała ich, jak to czyniły trzy dewotki, arystokratkami i nadętymi indyczkami, ale nigdy już więcej ich nie zaczęła i śmiertelną, gryzącą urazę czuła do Pauliny, tej szwaczki, co to z kawalerami włóczyła się po ulicach, którą podejrzewała, o której nawet pewną była, że ją przed tymi paniami ogadała. Ona jedna bowiem z całego dziedzińca miała u nich wstęp i łaski. Nastęrczyła im się sama do szycia sukien, a była tak wesoła, gadatliwa, śmiechulska, umizgalska, że podobać się im i zapewne w osamotnieniu i monotonii ich życia bawić, rozrywać je umiała. Ona, Jadwiga, za nic w świecie nie potrafi-

łaby mizdrzyć się do nikogo ani też dla niczyjej zabawy, tak jak Paulina, chichotać i niestworzone historie wymyślać. Uraza, którą za ogadanie jej przed tymi paniami względem towarzyski uczuwała, jednym więcej ziarnkiem pieprzu, a niemożność zbliżenia się do jedynych osób, które się jej podobały, jedną więcej łzą osiadły w jej sercu. Teraz wszakże patrzy ona na nie miękkim, przyjaznym wzrokiem i widzi, jak panna Karolina, z twarzą nad głową matki pochyloną, mówi do niej o czymś z cicha dość długo i z uśmiechem, który przywiędłym i surowym jej ustom nadaje wyraz cichego wdzięku. Musiała coś miłego czy rozweselającego powiedzieć, bo staruszka serdecznie śmiać się zaczyna i jedną ręką laskę w śnieg pograżając, drugą pieszczotliwie i po kilka razy głaszcze ramię córki. Jest to widok bardzo prosty i naturalny, drobnostka, jedno nic; a przecież oczy Jadwigi, mające tę własność, że barwa ich zmienia się stosownie do natury wzruszeń, których ona doświadcza, świecą czystym, turkusowym błękitem, który powoli znika pod szklistą powłoką, aż na koniec kilka grubych łez stacza się po jej policzkach i spada na szary stanik... Przywiązanie i szanowanie się wzajemne, słodycz obejścia się, zgoda, ufność – Boże! jakież to w nieszczęściu nawet wielkie, niewysłowione, dla niej prawie niepojęte szczęście!

Wkrótce jednak żywo od okna odskoczyła i płótno, na którym prasować miała dziecinne sukienki, spieszenie na stole rozpostarła. Drugi już raz dnia tego surowo skarciła się w myśli za bezczynne gapienie się przez okno i żelazko pełne rozpalonych węgli z kuchni przyniosłszy, tak gorliwie prasować zaczęła, jakby nie tylko czas stracony wynagrodzić, ale i sumienie swoje uspokoić chciała. Głośnie stuknięcie drzwiami oznajmiło jej powrót matki z dziedzińca.

– Cóż tam takiego stało się na wschodach? – oczu znad roboty nie podnosząc zapytała.

– A to bachury tej kramarki jedno przez drugie ze wschodów zlatywały, a matka, ojciec, starsze siostry podnosili je i wniebogłose wrzeszczeli! Plaga egipska! choroba! złość! nieszczęście! W takim sąsiedztwie żyć, to lepiej nie żyć! Oj, mieszkanie, Jezus Maria! żeby poczciwi ludzie takiego nie znali! Za te pieniądze można byłoby lepsze mieć, ale czy ty taka, żebyś po mieście pochodziła, popatrziała, postarała się... Co ciebie to obchodzi? Jezus, Maria! Co tobie to szkodzi, że ja tu różne niewygody i nieprzyjemności znosić muszę?

Gderała, sarkała, gniewnie mruzczała, ale zarazem niespokojne wejrzenia rzucać zaczęła na córkę, której twarz pochyloną na kształt mgły zasłaniała para dobywająca się spod żelazka.

– Czemu herbaty nie pijesz? Jezus, Maria! Czy zagłodzić się postanowiłaś? Śpisz tyle, co zając, jedz jeszcze tyle, co wróbel, zdrowa będziesz! Męka! niedola! nieszczęście! Czemuż nie pijesz herbaty? Ostygła! No, to gorącej przyniosę!

Podreptała do kuchni i wróciła zaraz nie tylko ze szklanką świeżo nalanej herbaty, ale także z masielnicą i kawałkiem sera na talerzu.

– Chleba z masłem i sera zjedz! A może mleka chcesz do herbaty? Jezus, Maria! Mam trochę w garnuszku, zaraz przyniosę.

I po mleko znowu podreptała, a gdy po chwili wracając zobaczyła córkę jeszcze w prasowaniu pograżoną, wybuchnęła:

– Co z tego będzie? Powiedz sama, co z tego będzie! Skaranie boskie! plaga egipska! śmierć! niedola! wieczne zginienie! Nie śpisz i nie jesz! Czy ty nie rozumiesz, co z tego wszystkiego wyniknie? Jezus, Maria! dobrze ty to rozumiesz! Rozumu dosyć masz, ojej! aż nadto, tylko serca brakuje, brakuje, brakuje... Bo gdybyś miała serce, pomyślałabyś sobie: co ze starą matką stanie się, jeżeli ty zachorujesz albo, broń Boże, jeszcze i co gorszego...

Kiedy twarz Jadwigi wynurzyła się z mgły dobywającej się spod żelazka, błędził po niej ostry, ironiczny uśmiech. Była pewną, że jeżeli matka troszczy się kiedy o nią, to tylko przez obawę, aby jej pracy i opieki nad sobą nie utracić; toteż troskliwość ta, zamiast łagodzić i rozweselać, zaostrzała i zachmurzała jej rysy. Chmurna, milcząca, ze smugami żółtości pod delikatną skórą policzków i czoła, wypila herbatę, obejrzała raz jeszcze wykończone roboty, starannie ułożyła je w sporym koszu i ubrała się do wyjścia na miasto. Niezmiernie skromne to było ubranie, ale wyglądała w nim ona na zupełnie przyzwoitą i wcale ładną panienkę.

Spod czarnego, skromnego kapelusza wychylał się jej piękny, lśniący, gładko uczesany warkocz, futerko z najtańszych w świecie kotów osłaniając zbytnią chudość jej kibici czyniło ją bardzo zgrabną. Z koszem napełnionym owiniętymi w białe płótno przedmiotami zbliżyła się do drzwi, lecz stanęła jeszcze i obejrzała się na przepierzenie, za którym słychać było znowu trzepanie jakichś spódnic i klepanie starych trzewików.

– Do widzenia, mammo! A o której godzinie będziemy dziś jeść wieczerzę, abym się nie spóźniła?

– O której? o której? – za przepierzeniem ozwała się odpowiedź. – Jezus, Maria! A o której każesz? Ty tu pani...

– Ja nic nie każę i mnie to wszystko jedno, ale nie chciałabym, aby mama długo czekała...

– Jezus, Maria! A dlaczegóż ja czekać nie mogę? Ty to nie możesz! Tobie wszystko w porę być powinno, bo ty tu pani i wszystko tu twoje! A ja co? Sługa pokorna, stary grzyb na nieprzydatny, próchno, które nie wiezieć po co na tym świecie...

Więcej Jadwiga już nie słyszała, bo popędliwie drzwi otworzywszy i z głośnym stukiem za sobą je zamknąwszy na dziedziniec wybiegła.

Na dziedzińcu panna Karolina i jej matka, ściśle do siebie przytulone i ciągle z sobą rozmawiające, powolnietko przechadzały się jeszcze; z przeciwnej strony przemykał pod ścianą młodzik jakiś, hulacką piosnkę pogwizdujący, z wywiędłą twarzą, w czapce z gwiazdką, krzywo na głowę włożonej, w rozpiętym paltocie i z zapalonym papierosem w ręku (był to syn mieszkającego w rogu dziedzińca pokątnego doradcy); naprzeciw zaś Jadwigi z bramy szybko wyszła i prawie biegła para młodych ludzi. Jadwiga chciałaby bardzo parę tę z daleka ominąć, ale było to niepodobnym; po obu stronach wznosiły się prawdziwe wały śniegowe i tą tylko wydeptaną ścieżką przejść było można. Toteż mała, fertyczna, wystrojona, z rumianą buzią i zadartym noskiem szwaczka Paulina, obok której siedł ów młody, przystojny urzędnik pocztowy, spotkała się z nią oko w oko i przystanąwszy zaszczębiotała:

– Oho! panna Jadwiga pełniuteńki kosz roboty odnosi! A u mnie już z miesiąc wcale żadnej nie było!

Mówiła to tak swobodnie i nawet wesoło, jak gdyby brak roboty nie był dla biednej szwaczki żadnym nieszczęściem ani nawet zmartwieniem.

– Nie winszuję – odrzuciła Jadwiga i chciała iść dalej, ale Paulina drogę jej sobą zagrażała.

– Czego mnie pani nie winszuje? – białe ząbki wyszczerzając szczębiotała dalej – czy tego, że roboty nie mam? Ej, to nic! Za to wesoło sobie po świecie bujam!

Młody urzędnik na śnieg patrzył, jasnego wąsika pokręcał i uśmiechał się. Jadwigę drażnił ten uśmiech, bo widziała w nim wyraźne szyderskie oczekiwanie na zabawną kłótnię kobiecą.

– Dobrego tylko końca temu bujaniu życzyć! – odpowiedziała.

Paulina zaśmiała się głośno i srebrzyście.

– Już jaki tam będzie koniec, to będzie, ale przynajmniej teraz do cytryny nie jestem podobną...

Oczy Jadwigi stalowo błysnęły, brwi i palce jej zadrgały.

– Proszę mi pozwolić przejść! – zawołała i poruszeniem ręki usuwając z drogi natrętą przeszkodę dodała:

– Wolę być żółtą jak cytryna niż brudną jak ścierka!

I poszła, ale odchodząc usłyszała za sobą srebrny głosik Pauliny wymawiający:

– Ot, jędza!

Odpowiedzi młodego urzędnika nie dosłyszała, ale raz jeszcze doszły ją słowa Pauliny:

– A przecież to dawny pana ideał!

Kilkanaście kroków uszedłszy, obejrzała się. Młoda para szła środkiem białego dziedzińca żwawo, wesoło. Oboje nieśli w rękach jakieś paczki i zawinięcia, przysmaki zapewne na dzisiejszą wieczerzę przeznaczone, rozmawiali z sobą ciągle, w oczy sobie zaglądali często. Biły

od nich młodość, wesołość, swoboda. Jadwiga patrzyła. Ot, jak! Ot, jak trzeba żyć, aby dobrze było na świecie! Ta dziewczyna leniwą jest, roztrzepaną, lekkomyślną, a zarazem świeżą jak róża, wesołą jak szczygieł i co najwięcej, przez wszystkich lubianą. Mężczyźni szczególnie przepadają za nią i ten także od kilku już miesięcy jak piesek przy niej biega. Jest on już trzecim czy czwartym jej kochankiem, ale kto wie, czy nareszcie nie zostanie mężem! Złapie go sobie pewno na męża i będzie miała dom, rodzinę, szacunek ludzki, przyszłość pewną, wszystko. Teraz zjada przysmaki przez niego kupowane; potem jeść będzie chleb przez niego zapracowany, i dobrze! I nigdy, a przynajmniej bardzo długo, nie straci swojej różowej cery, swoich fertycznych ruchów i swojej dziecinnej wesołości!

Tak myślała, aż przewinęło się przez myśl jej pytanie:

„Czy ona nie jest czasem sto razy ode mnie rozumniejszą?”

Raz tylko zapytała o to siebie i wyprostowała się, głowę w tył nieco odrzuciła, brwi jej ściągnęły się, oczy błysnęły. Nie, nie! Stanowczo woli być żółtą jak cytryna niż brudną jak ścierka! Pracować o ile tylko można najmniej, kokietować mężczyzn, mizdrzyć się do wszystkich, żyć zawsze czyimś kosztem, śmiać się zawsze nie wiedzieć z czego, skakać po świecie jak wróbel po grzędzie – za nic! Ją od tego wszystkiego spaliłby wstyd, tylko przed samą sobą doświadczały! Szybko zwróciła się ku bramie, lecz zaledwie kilkanaście kroków uszła, oko w oko spotkała się znowu z dużą, czerwoną twarzą, w wysokim garniowaniu kaptura wyrastającą z wielkiego futrzanego kołnierza. Niestety! była to twarz ta sama, której dziś z rana język pokazała. Toteż czerwiejsza jeszcze niż wprzódy, świecące, siwe oczy w nią wlepiając, twarz ta wnet przemówiła:

– A! Panna Szyszkówna dobrodziejka! Moje uszanowanie pani! moje uszanowanie! A czy to pięknie ludziom język pokazywać?

– Bardzo niepięknie! ale jeszcze niepiękniej w cudze okna zaglądać! – nie zatrzymując się odrzuciła Jadwiga.

Poszła i usłyszała za sobą sycząco wymówiony wyraz:

– Jędza!

II

Krótki dzień zimowy zbliżał się ku końcowi, gdy Jadwiga dążyła ku trzeciemu już z domów, w których dziś sprawy do załatwienia miała. W dwóch pierwszych zatrzymano ją długo, bo przymierzanie sukien zawsze sporo czasu zabiera, ale o to mniejsza; dziś, w wigilię świąt, nie potrzebuje śpieszyć do pracy, a nie oczekują też na nią żadne przyjemności i zabawy. Gorszym nad długie zabawienie w tych miejscach było to, że nie otrzymała w nich całej należnej sobie zapłaty. Ta pani, do której należała owa suknia, bogatym szlakiem z pacioremk przyozdobiona, była doprawdy nad wiek swój żywą i wesołą. Czterdzieści lat miała pewno, dzieci kilkoro, a szczebiotała, śmiała się i podskakiwała ciągle jak piętnastoletnia panienka. Włożywszy tę od dawna upragnioną i wymarzoną suknię kręciła się czas jakiś przed zwierciadłem, a potem z radości jak ptak roztrzepotana, Jadwidze na szyję się rzuciła. „Moja panno Jadwigo, jakże pani tę suknię ślicznie zrobiłaś! Ach, moja panno Jadwigo, prawdziwa artystka z pani! Ach, panno Jadwigo, jakież pani masz złote rączki!” W oba policzki ją wycalowała, do męża, aby jemu tę śliczność ukazać, pobiegła, dzieci zwołała, słowem, ruch w domu powstał, gwar, klaskanie w ręce, cieszenie się takie, jakby nagle wszystkie błogosławieństwa niebios i ziemi na dom ten się posypały. Było to tak zabawne i tak zaraźliwe, że Jadwiga śmiała się też z całego serca, a to wdzięczne i pochlebne przyjęcie jej roboty sprawiło jej zadowolenie wielkie. Oprócz zadowolenia jednak czuła trochę niepokoju, bo znając dom ten od lat paru, wiedziała, że po tym wesołym początku nastąpić może dość smutny koniec. Nie omyliła się. Wesoła pani, z ręki jej wzięwszy kartkę papieru z kilku wypisanymi cyframi, posmutniała i wtedy dopiero na czole jej spostrzec się dały wypływające spod filuternych loczków cieniutkie wprawdzie zmarszczki. Posmutniała, lecz grzeczną i serdeczną dla Jadwigi być nie przestała. Owszem, po raz drugi wycalowała ją w oba policzki i gorącymi słowy przepraszać zaczęła, że dziś całej tej cyfry wypłacić nie może, więc oto połowa tylko... ale za dwa tygodnie pewno... pewno... Przeprosiny i obietnice były zarówno żywe, z głębi serca widocznie płynące. Jadwiga mimo woli dotknęła aksamitnej kanapki, na której ją w przystępie powszechnej radości posadzono, i spojrzała na widzialną przez drzwi otwarte choinkę, dziecinnymi zabawkami ostawioną i błyskotkami owieszoną; wszystko to razem wzięte nie zgadzało się z jej przekonaniem i niejaką krzywdę jej sprawiało; ale z drugiej strony greczność i serdeczność nieprzewyciężenie za serce ją brały. Za greczność, dobroć, serdeczność pozwoliłaby sobie bez oporu na drugi koniec świata zaprowadzić. Żadnego też niezadowolenia nie okazując, zakłopotaną, ale zawsze uprzejmą panią uprzejmie pożegnała, dzieci, które czepiając się rąk jej i szyi, za śliczną sukienkę mamy dziękowały, ze szczerym śmiechem wycalowała i poszła. Za dwa tygodnie wróci tam znowu i może dług odbierze, a jeżeli nie odbierze, to cóż robić? Nie zginie przez to i do sądu państwa tych nie pociągnie. Dobrzy ludzie! Niech zdrowi bawią się, kiedy im na świecie tak wesoło!

W drugim domu spotkała ją inna znowu historia. Te dziecinnie sukienki, które z prawdziwym zamilowaniem i najgorliwszym staraniem wypracowała, wypieściła, wystroiła, okazały się po przymierzeniu niezupełnie dobrze zrobionymi. Kilka osób do rodziny tej należących, a wielkiemu aktowi przymierzania asystujących, po całogodzinnym obracaniu trojga dzieci we wszystkie strony zgodnie uznało, że trzeba tu było koniecznie jedno zwęzić, drugie rozszerzyć, trzecie skrócić, czwarte przydłużyć, słowem, niech panna Jadwiga tymczasem sukienki te tu zostawi – bo są na święta niezbędnie potrzebne – a po przejściu świąt przyjdzie znowu o nich pogadać i zapewne je przerobić. W potrzebę tych poprawek i przerabiania ona ani trochę nie wierzyła; znała się na tym wybornie i wiedziała, że wszystko zupełnie dobrze było zrobionym. Rozumiała też przyczynę tych niesłusznych zarzutów i wymagań. Za robotę nie cał-

kiem jeszcze wykonaną całkowitej zapłaty wymagać nie można. Ci państwo z powodu świąt tak znaczne wydatki mieć musieli, że na jej opłacenie im nie starczyło. Tak myślała, ale nie powiedziała i nie okazała nic. Dom ten był jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych w mieście; poróżnienie się z nim naraziłoby ją na utratę znacznej części wziętości i zarobku. Silnie więc zacisnąwszy usta, aby żadne niepotrzebne słowo wyjść z nich nie mogło, ofiarowaną jej małą zaliczkę przyjęła i obojętnie pożegnana, z obojętnym ukłonem wyszła.

Teraz także, gdy rozmijając się z mnóstwem ludzi, szybko szła chodnikiem ulicy, brwi miała schmurzone i usta zacisnięte, co na ściągłe i delikatne rysy jej twarzy rzucało wyraz ponury i złośliwy. Nie o tej jednak niesprawiedliwości, której tylko co doświadczyła, myślała; gniew przez nią obudzony był niczym w porównaniu z tą przykrością, z jaką wejść musiała do trzeciego jeszcze domu. Ten niemłody, pulchny, rumiany jegomość, któremu przed kilku tygodniami sześć webowych, bardzo wytwornych koszul uszyła była i odniosła, tak wtedy dziwnie zza swoich okularów jej się przypatrywał i mówiąc do niej tak pociesznie usta wydymał, że byłaby śmiechem parsknęła, gdyby się jej jakoś straszno i nieprzyjemnie nie zrobiło. Zdawać się mogło, że oczami wypić, a ustami wsiąknąć ją w siebie pragnął. Nic niegrzecznego ani takiego, za co obrazić by się mogła, jej nie powiedział; ale ten szczególny umizg, który na twarzy miał, był dla niej po prostu wstrętnym. Czego on od niej chce może? Zapewne nic; zapewne jest to zwykły jego sposób patrzenia, uśmiechania się i mówienia; jednak ona wolałaby, o! jakżeby wolała wcale do niego nie iść! Cóż, kiedy zarekomendowaną mu jako szwaczka została przez pewną panią; która była dla niej zawsze dobrą i dobrze jej za robotę płaciła; on także wręczył jej natychmiast umówioną zapłatę, a ta, którą teraz otrzymać ma od niego, stanowi dla niej sumę poważną, po tamtych szczególnie dwóch zawodach, które jej sprawiono, bardzo poważną i konieczną. Musi więc iść, robotę oddać i zapłatę odebrać; żeby nie wiedzieć jak nie chciała, musi! Zresztą, nie miała żadnego wyraźnego i rozsądnego powodu nie iść do tego pana. Nie podobał się jej jego sposób patrzenia i mówienia; na myśl o nowym spotkaniu się z nim czuła jakąś niejasną i niezrozumiałą dla niej samej bojaźń! Wielkie rzeczy! Alboż ona ma prawo i możliwość dogadzania swoim sympatiom i antypatiom lub ulegania jakimś nierozsądnym strachom?

– Co trzeba, to trzeba!

Weszła na wschody ładnej kamienicy i przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka; a kiedy drzwi otworzyły się przed nią, przyjazny, prawie wesoły uśmiech, jak dziwna niespodzianka, twarz jej, przed chwilą ponurą i złośliwą, rozpozgodził. Że też zupełnie zapomniała była o tym Ignasiu, który tu za lokaja służy, a jest jej dawnym i dobrym znajomym! Syn ubogiej praczki, na tym samym, co ona, dziedzińcu mieszkającej, wzrósł on wśród jego mieszkańców, wszystkim po trochu usługując i przez wszystkich po trochu żywiony i hodowany. Ona też w tym żywieniu i hodowaniu znaczny udział przyjmować musiała, bo na jej widok ten siedemnastoletni wyrostek, w starą surducinę i wykrzywione buty ubrany, aż zatrząsał się cały z radości.

– Panienka! a moja złota panienka! Ot, nie spodziewał się człowiek, komu drzwi otworzy! Ot, siurpryza!

W obie ręce ją całował. Nigdy zapomnieć nie mógł o smacznych porcjach chleba z masłem, którymi go ona przez lat kilka obdarzała, ani też o tym, że ona to nauczyła go czytać, co teraz wśród takich, jak on, lokajczyków do osiągnięcia zaszczytnego stanowiska znacznie dopomagało. Jadwiga w głowę go pocałowała i z ręką na rękawie jego surduta złożoną śpiesznie mówiła:

– Mój Ignasiu, mój drogi! zrób ty mi łaskę! Ja tu na wschodach zostanę i poczekam, a ty zanieś ten kosz z moją robotą do pana i powiedz, aby przez ciebie pieniądze, które mi się należą, przysłał. Kosz mi odnieś i pieniądze przynieś, a ja tu poczekam... Powiedz panu, że czasu nie mam... że bardzo śpieszę się... mój drogi!...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy on z usługomością wielką kosz z ręki jej pochwycił i ku wnętrzu mieszkania się zwrócił.

– Zaraz! w moment! ajaj! dlaczegoż nie?

Po paru minutach wrócił, ale bez kosza.

– Pan prosi, aby panienka była łaskawa wejść...

– Mówiłeś, że czasu nie mam?

– Mówiłem, ale koniecznie prosi.

Może także cokolwiek do poprawienia w robocie jej znalazł? Cóż? Najmniejszej, rozsądnej przyczyny nie ma do odmawiania chwili rozmowy człowiekowi, który zarobku jej dostarcza; jeżeli zresztą zawróci się i odejdzie, jakimże sposobem odbierze należną jej zapłatę? Wprawdzie jakiś niewytłumaczony strach i wstyd wciąż ją ogarnia, ale jest to dzieciństwo, kaprys, którym przecież zapanować nad sobą nie pozwoli. Co trzeba, to trzeba! Prędko w przedpokoju zdjęła kalosze i z rękami wsuniętymi w rękawy futerka, sztywna, z brwią namarszczoną, do ładnego, kawalerskiego saloniku weszła. Pośrodku saloniku stał niemłody, niewysoki, pulchny, rumiany, mocno łysy jegomość, w okularach i z jedną ręką okrytą rękawiczką, którą właśnie zapinać kończył. Zapewne kędyś na wigilijną wieczerzę był zaproszonym i już miał z domu wychodzić, bo na stole okrytym pięknym dywanem stał elegancki kapelus, a z eleganckiego też, wyświeżonego jego ubrania bił zapach perfum. Zaledwie Jadwiga próg saloniku przestąpiła, spojrzenie tego wytwornego pana pobiegło zza okularów, rzecz szczególna! wprost ku jej nogom. Dwa razy przedtem już ją widział i za każdym razem spozstrzegał, że ma ona drobną i śliczną nóżkę, że zaś, brzydząc się błotem, gdy chodziła po mieście, wysoko zwykle podnosiła suknię, więc i teraz także ta śliczna nóżka doskonale była widzialną.

– Proszę panią bliżej! Niech pani będzie łaskawa! Ale niechże pani będzie łaskawa, usiądzie, odpocznie!

Do połowy prawie naprzód wygięty, wzrokiem obejmował on teraz jej wysmukłą kibić i eleganckim gestem jeden z otaczających stół fotelów ukazywał. Grzecznym był nieopisanie, aż do pokory prawie grzecznym, tylko zza okularów świeciły mu te dwie iskry, a pąsowe, mięsiste wargi tworzyły ten przymilny i jakby do pocałunku sposobiący się umizg, który na Jadwigę takie wywierał wrażenie, że zupełnie pomimo woli i bezwiednie powieki spuścić musiała. Ze spuszczonej powiekami i przytłumionym głosem krótko odpowiedziała:

– Przepraszam, czasu nie mam.

On zbliżył się ku niej i w samą twarz jej patrząc, słodko, czule mówić zaczął:

– Ale po cóż tak śpieszyć się? Dlaczego nie posiedzieć, nie odpocząć, nie pogawędzić trochę? Szkoda takich oczek dla wiecznej pracy! Szkoda takich rączek...

– Niech pan będzie łaskaw odda mi moją należność, bo do domu śpieszyć muszę! – przerwała głosem daleko silniejszym i więcej stanowczym niż wprzód, bo gniew przytłumił w niej to uczucie bojaźni, którego nie rozumiejąc dobrze, przed chwilą jednak doświadczała.

– A jakże! a naturalnie! Natychmiast! Za chwilę, za chwileczkę! – z nieporównaną galanterią wykrzyknął greczny i woniejący jegomość, przy czym paru podskokami przeniósł się do przyległego pokoju, z którego mniej niż w minutę powrócił. W rękę ociągniętym glansowaną rękawiczką niósł kilka barwnych papierków, które podał jej z tą samą zawsze grzecznością, pulchne jego ciało na dwie połowy przeginającą, a jednocześnie ręką bez rękawiczki jej rękę ujął.

– Widzi pani, jak akuratnym jestem! Ale co mnie za to? Co mnie będzie za to?

– Jak to! Za co? – wyrwijając rękę i ze stalowym błyskiem oczu zawołała, czyniąc zarazem poruszenie ku drzwiom.

Ale teraz ręka w rękawiczce znalazła się tak blisko jej kibici, że przez futro dotknięcie jej uczuła, a ręka bez rękawiczki przyciągnąć ją usiłowała ku tużurkowi bijącemu wonią perfum i olśniewającemu białością sztywnemu przodowi koszuli. Prędzej niż się to da wypowiedzieć rumiany, pulchny policzek tuż przy swojej twarzy, a mięsiste, wilgotne wargi przy swoich ustach uczuła.

– A toż co? Jak pan śmie... – krzyknęła i nie powiedziała więcej nic, tylko po pokoju rozległ się suchy, donośny trzask od uderzenia w policzek pochodzący. Ręka, która dźwięk ten wywołała, małą była, ale nerwową i ogromnym gniewem uniesioną, więc dźwięk był silny, usłyszał go za niezupełnie zamkniętymi drzwiami przedpokoju Ignas i tak rozweselonym się uczuł, że aż na ziemi przysiadł i obie ręce do ust przycisnął, a z szeroko wytrzeszczonymi oczami szeptał i chichotał:

– A to, to, to! Chi, chi, chi, chi! A to, to, to, to! Człowiek pęknie chyba od śmiechu! Chi, chi, chi, chi! A to, to, to!

Skromny ten poklask czynowi jej udzielony nie pocieszył wcale Jadwigi, nie słyszała go nawet, jak i następnie głosu lokajczyka, który na wschody za nią wybiegłszy wołał:

– Kosz odniosę. Niech panienka będzie spokojną! Moja złota panienko, jutro odniosę, pewno nie zapomnę.

Jak wiatr, jak huragan ze wschodów zleciała i na ulicę wybiegła. Nie było w niej ani jednego najcieńszego mięśnia, ani jednego najgrubszego nerwu, który by nie drżał z gniewu i rozżalenia. Biegła, a z nią razem, w uszach jej szumiąc i w piersi kołacząc, biegł rój czarnych myśli. Jak on śmiał, jak on śmiał tak jej ubliżyć! Za kogóż ją brał? Kimże była, aby pierwszy lepszy próbował obejmować ją i całować? Dobrze trafił! jak raz ona to do rozrzucania całusów po świecie usposobiona! Gdyby nie była tak ubogą i samotną, nikt nie ośmieliłby się z nią tak postąpić. Gdzież są bracia jej, którzy by powinni od podobnych obelg osłaniać ją i bronić? Dlaczego przed tą, której tylko co doznała, nie osłoniła jej matka? A mogła to uczynić! bo przeczuwając w tym panu coś niedobrego, prosiła przecież wczoraj, aby ją matka w odniesieniu roboty do jego mieszkania wyręczyła. I jakąż otrzymała odpowiedź? „Naturalnie, że pójdę, pobiegnę, polecę! A jakże! Ty tu pani i masz prawo matce rozkazywać! Nędza! niedola! choroba! śmierć! utrapienie! Jezus, Maria! pobiegnę, polecę!...” Jadwiga dosyć już dokazała, że tej miłej odpowiedzi wysłuchała w milczeniu, lecz naturalnie, aby matka do tego pana szła, o tym więcej już mowy nie było. Poszła sama, i oto co ją spotkało!

Sama też wprawdzie obroniła się i pomściła. Doskonale rozumie, że ludzi w twarzę bić nie jest rzeczą ładną, ale cóż począć miała? i przy tym takie oburzenie ją zdjęło, że nie wiedziała sama, co czyni. Jednej osobie dziś język pokazała, z drugą na dziedzińcu pokłóciła się, trzecią w twarz uderzyła. Trzy razy też dnia tego nazwano ją jędzą. Ślicznie! Jednak żadnego z tych postępów swoich w najmniejszym stopniu nie żałuje. Nie jest przecież krzywym drzewem, po którym by wszystkie kozy bezpiecznie skakać mogły, ani takim cielęcym, które wtedy nawet, gdy je rzną, nie zabeczy! Tylko ciężko jej, ach, jak ciężko i smutno! Czuje, że dłużej iść nie może. Bardzo wczesnie dziś wstała, od samego rana była wciąż czymś zgryzioną i zirytowaną, wiele chodziła, teraz jak strzała prędko przebiegła spory kawał drogi; bok i ramiona bolą ją od popychania licznych przechodniów, serce mocno bije, nogi drżą, przez chwilę odpocząć musi. O róg jakiejś kamienicy ramieniem wsparta staje i tą samą ręką, którą przed chwilą aktu samoobrony dokonała, łzy z rozognionego policzka ociera. W myśli surowo samą siebie łaje za to, że sił jej zabrakło i że łez wstrzymać nie może. Bałwanem i mazgajem samą siebie w myśli nazywa. Jednocześnie przecież i tłumaczy się przed samą sobą, że pewno, pewno każdą inną drogą postępując, choćby najciemniejszą, nie stawałaby jak bałwan i nie beczalaby jak mazgaj, gdyby ją w domu cokolwiek, cokolwiek miłego oczekiwało, gdyby wiedziała, że z tej ciężkiej wędrówki po mieście wracając, gdy głodna, zziębła, zmartwiona, upokorzona otworzy drzwi tego ubogiego, ciasnego domu swego, głos jakikolwiek przyjaźnie, łagodnie, po ludzku do niej przemówi, ręka czyjokolwiek z serdecznym powitaniem ku niej się wyciągnie. Gdyby chociaż spotykała ją tam cisza i witała chłodna, ale spokojna samotność. Ale wiedziała dobrze, co ją czeka.

Ot, jak to jednak na świecie bywa! Na pozór, zdaje się, cóż lepszego? Córka po dniu pracy wraca do matki, która na nią w domu oczekuje. Witają się pocałunkiem i uściskiem, opowiadają sobie, co robiły i czego doświadczyły, pocieszają się wzajem, gawędzą, wspólnie odpo-

czywają. Jakże to błogo, poetycznie, idealnie! Matka! najśłodsze w mowie ludzkiej imię, najbliższa w świecie istota, najpewniejsza i najpobłażliwsza przyjaciółka! Mówią i opisują ludzi, że tak jest na świecie, ale ona wie, że bywa też i inaczej, inaczej! A choć komu wcale jest inaczej i ktoś nie chce, o, jak nie chce wracać do domu i do matki, jednak na ulicy długo stać nie może, bo zimno dokucza i przechodnie popychają, a co gorsza przypatrywać się i w twarz mu zaglądać zaczynają z ciekawości: co to za bałwan taki stanął tu i drogę ludziom zagradza wtedy, gdy oni do rodzinnej, świątecznej uczty śpieszą? Więc trzeba iść dalej. Nie można sobie na kaprysy i mazgajenie się pozwalać. Trzeba iść. Co trzeba, to trzeba!

Poszła, wolniej nieco niż wprzód, a idąc myślała, że jednak matka jej nie była zawsze taką, jak teraz. Zawsze wprawdzie miała ona charakter gniewliwy i popędliwy, którą to popędliwość ona, Jadwiga, od niej może w dziedzictwie wzięła. Ale dopóki ojciec żył, wszystko szło nieźle. Bracia do szkół, ona na pensję chodziła. Ale gdy ojciec umarł, zmieniło się wszystko; oni do szkół chodzić przestali, a ona z pensji przeniosła się do krawieckiej pracowni, aż w osiemnastym roku życia na własną rękę pracować zaczęła. Osiem lat prawie od tej pory upłynęło, a przed sześciu ona z matką tu przyjechała, bo w rodzinnym mieście z igły utrzymać się było nie podobna. Obce tu są, krewnych ani dawnych znajomych nie mają wcale, a odkąd Władysław i Józio pisywać nawet do nich przestali, w domu taka już zrobiła się bieda, taki wieczny kwas zapanował, że czasem i wytrzymać było trudno. Cóż jednak robić? Nie topić się, ani ręce bezczynnie założyć i lamentować! Topić się pomimo wszystko nie ma ochoty, a bezczynnie lamentować nie może, choćby dlatego, że lamentem nie podobna ani na jeść się, ani przyodziać, ani w piecu wypalić. Więc trzeba iść naprzód. Co trzeba, to trzeba! Poszła, ale ujrzawszy Ruchlę o róg bramy opartą i jak posąg wśród zmroku stojącą, przystanąła znowu.

– Moja Ruchlo – ozwała się – czego ty tu stoisz i daremnie marzniesz? Przecież to wigilia świąt i do tego już wieczór! Któż teraz myśli o chodzeniu do krawców?

Żydówka powoli wzniosła w górę ramiona.

– Już ja tak przywykła – odpowiedziała.

– Jakże twój mąż ma się teraz?

– A nic; chwala Bogu troszkę lepiej.

– Robotę ma?

– Troszkę ma.

Zdawało się, że Jadwiga coś powiedziec, o coś zapytać chciała, ale wahała się chwilę. Na koniec zaczęła.

– Czy pocztylion tu nie przychodził i nam listu nie przyniósł?

Ruchla z wolna odpowiedziała:

– Nie, jego tu nie było. Ja ciągle tu stała i pewno mówię, że jego tu nie było.

– Naturalnie! – szepnęła do siebie Jadwiga. Widocznym było, że miała trochę nadziei i jak tyle już razy, zawiedziona została, bo twarz pomimo woli na dłoń opuściła i zamyśliła się. Nie odchodziła, bo strasznie jej się nie chciało do domu powracać. Znowu Boże Narodzenie nadeszło, a żaden z nich nie odezwał się, nie napisał. Będą tam w domu dzieć się śliczne rzeczy! Miły wieczór ją oczekuje! Ruchla schyliła się nieco nad zamyśloną i z cicha, z przyjazną żartobliwością zapytała:

– A od kogo to panienka takiego miłego listu czeka, że tak często pyta się mnie, czy był pocztylion? Pewno ten pan bardzo miły, kiedy panienka tak listu od niego czeka? Daj Boże! daj Boże panience szczęście, bo panienka jest dobra! Jak to! była więc na ziemi istota ludzka, która ją dobrą nazywała! Może wrażenie przez nazwę tę wywarło sprawiło, że łagodnie i nawet poufale odpowiedziała:

– Nie ma na świecie, moja Ruchlo, takiego pana, od którego bym ja listu czekała. Nikt na całym świecie nie myśli i nie dba o mnie. Od braci listów, ja i matka, czekamy, czekamy i doczekać się nie możemy...

– A gdzie oni są? – zapytała Żydówka. Wymieniła nazwę rodzinnego swego miasta.
– Jeden w biurze, a drugi w wojsku służy... – objaśniła jeszcze i z nagłym postanowieniem, aby już iść do domu, Żydówce na pożegnanie głową skinęła.
– Dobranoc, Ruchlo! Idźże do domu, bo zmarzniesz tylko i zachorować możesz, a dziś już pewno nic tu nie wystoisz...

– Już ja tak przywykła. Dobranoc panience! Daj Boże szczęście!

Jaką ta Żydówka dziwną, dziką myśl miała, że ona od jakiegoś miłego pana listu oczekuje! Zdarza się na świecie, i nierzadko, że dziewczęta od miłych sobie ludzi miłe listy otrzymują; ale ją nie spotkało to nigdy i pewno nie spotka. Nikt na ziemi nie myśli o niej i o nią nie dba! Dla niej są tylko takie amory, jak tego pachnącego jegomości, któremu dziś w twarz dała. Przy wspomnieniu o tych amatorach wzdrygnęła się i tak prędko znowu iść zaczęła, że prawie w mgnieniu oka znalazła się u drzwi swego mieszkania. Nie zaraz jednak weszła. Z ręką na kłamce drzwi obejrzała się po dziedzińcu. Święto! Okna żydowskich mieszkań słabo, jak zwykle, połyskują od małych lampek, ale u chrześcijan wielkie, uroczyste, wesołe święto! Wszędzie, na piętrze najwyższym, niżej i jeszcze niżej, poprzedzielane ciemnymi żydowskimi oknami, tu dwa, tam trzy, tam cztery okna jaśnieją rześnistym światłem, a za nimi widać festony skromnych zapewne, lecz świeżo upranych i ułożonych firanek i przesuwają się sylwetki ożywionych ludzkich postaci i twarzy. U ślusarza ktoś na harmonijce rznie zamaszystego obertasa i słychać srebrny, donośny śmiech kobiecy; u Pauliny rysują się na szybie dwie bardzo ku sobie przybliżone głowy, z których jedna cała w lokach i we wstążkach, a druga z małym wąsikiem i dużą czupryną; Jadwidze zaś zdaje się, że do ucha jej dolatuje szczebiot wesołej szwaczki i barytonowy, sympatycznie brzmiący głos pocztowego urzędnika. Panna Karolina za jasno oświetlonymi i w wazony przyozdobionymi oknami na fortepianie gra, zapewne przed wigilijną wieczerzą w sposób ten rozrywa ślepą swą matkę i siebie. Trzy dewotki formalną iluminację u siebie urządziły, a ponieważ mieszkają nisko, więc wybornie widzieć można, jak w białych, świeżutkich czepekach, barczyste i ciężkie, zwinnie jednak krążą dokoła nakrytego stołu, przy którym siedzi już siwiutki, ładny staruszek, zapewne przyjaciel lub krewny, na świętą wieczerzę zaproszony. Daleko weselej jeszcze dzieje się u pokątnego doradcy, w samym rogu dziedzińca mieszkającego. Tam jedno okno zajęła całkiem choinka z mnóstwem zapalonych świeczek i uwieszonych do jej gałęzi pozłacanych orzechów i cukierków. Dokoła zaś tego drzewka, wyżej i niżej, unosi się prawdziwy deszcz dziecinnych główek. Jest ich, że sześcioro pouczepiały się snać okna, powłaziły na krzesła i wszystkie śmieją się, z różowymi od szczęścia buziami, z rękami ku gałęziom rajskiego drzewka wyciągniętymi. Jakkolwiek Jadwiga wie dobrze, że pokątny doradca jest bardzo złym człowiekiem, myśli jednak teraz, że dzieci jego podobnymi są bardzo do malowanych na obrazach aniołków, a śmiechy ich głośnie, radosne w jeden chór zlewają się w jej uchu z harmonijką ślusarza i śmiechem jego żony, z fortepianem panny Karoliny i szczebiotem lekkomyślnej szwaczki, z basowym głosem ładnego staruszka, który siedzi u stołu dewotek, z brzękiem talerzy i szklanek rozlegającym się w mieszkaniu szewca Jerzego, który teraz nie stuka już i nie hałasuje po pijanemu, ale u samego okna siedząc, poważnie i zamaszystymi gestami przed kimś we wnętrzu mieszkania znajdującym się, peroruje. Wszystko to razem nie tworzy wcale hałasu, tylko łagodny szmer, zda się, uroczystością wielkiego święta przytłumiony, z różnych przegródek tego kotła wyciekający na dziedziniec obszerny, śniegiem usłany, czterema wysokimi ścianami otoczony, a jako dach mający ciemne niebo wieczorne, na które zaczynają występować gwiazdy... Widać i słychać, że w przegródki tego kotła, warzące zwykle pieprz ciężkiej pracy i ocet ubóstwa, wpłynęło dziś po kilka kropel oliwy spoczynku i miodu radości.

Przez dwa okna mieszkania Jadwigi, nisko nad ziemią umieszczone, widać także stół do połowy białą serwetą nakryty; na jednym jego końcu bieleją dwa talerze i paczka opłatków; na drugim stoi rogato wyglądająca maszyna do szycia. W świetle dużej lampy, tej samej, przy której zwykle szyje Jadwiga, wyraźnie zobaczyć można stojące pod ścianami szafy, komody,

krzesła i w kąt pokoju wsunięty szkielet człowieczy głowy i ramion tylko pozbawiony. To manekin, który rozebrany z sukni wygląda zupełnie jak biały i suchy szkielet. Jasno tu tak jak i gdzie indziej, tylko pusto i cicho.

Jadwiga wchodziła właśnie do tej jasno oświetlonej, ale pustej i cichej izby, gdy w drzwiach od przepierzenia, z parą łyżek, noży i widelców w ręku, ukazała się jej matka. Ubranie jej inne wcale było niż z rana. Przez uszanowanie dla święta, ze starego zwyczaju zresztą, ogarnęła się i podstroiła. Miała na sobie suknię kawowego koloru z luźnym, lecz zgrabnie ręką jej córki uszytym kaftanem, starannie ogarniowany biały czepek i świecąca broszkę u płóciennego kołnierza. Trzewiki jej nie klapały o podłogę, czarne włosy dwoma gładkimi pasmami opuszczały się na ciemne, głęboko zbruzdzone czoło. W ubraniu tym miała z daleka pozór pogodny i przyjemny; z bliska jednak łatwo było dostrzec, że płakała dziś wiele, tak wiele, że łzy wyryły na jej policzkach dwie chropowate, czerwone bruzdy. Oczy też jej pełnymi były przepaścistszego jeszcze niż przedtem smutku, a zaciśnięte wargi poruszały się nieustannie to w prawo, to w lewo, od czego poruszał się także nos, od płaczu opuchły i zaczerwieniony. Nie powitała wchodzącej córki ani jednym słowem, ani choćby skinieniem głowy; Jadwiga także nie wymówiła pozdrowienia żadnego. Zwyczaj witania się, po dłużej lub krócej trwającym rozłączeniu, znać był od dawna ze stosunku ich wykluczonym.

– Cóż tam? pieniądze pooddawali? – łyżki i noże obok talerzy kładąc i na talerze patrząc odezwała się na koniec Szyszkowa.

– Nie wszyscy – odpowiedziała Jadwiga. – W jednym miejscu oddano mi połowę, w drugim część...

O trzecim zamilczała. Zdejmowała prędko kapelusz i futro; mówiła spokojnie.

– Jezus, Maria! Czemuż nie upominałaś się! Trzeba było upominać się, wymagać! Cóż to, Jezus, Maria? Darmo dla nich pracować będziesz? Plaga egipska! śmierć! cierpienie! nieszczęście! Oczy wyślepiasz, nie dosypiasz, jak wół pracujesz, a za to nędzę jeść będziesz i matkę nędzą karmić? Ale czy ty taka, aby umieć za siebie ująć się, przy swoim stanąć, nie dać sobie krzywdy wyrządzić! Nie dali, to i nie dali! Jeszcze im pewno pięknie dygnęłaś za to! Ot, cieleń na niedzielę!

Większej nad przezwanie ją cieleciem obelgi dla Jadwigi być nie mogło; toteż ręce jej starannie składające kapelusz w szufladzie komody drgnęły; ale zapanowała nad sobą i tylko drżącym nieco głosem rzekła:

– Zdaje się, moja mamó, że dotąd jeszcze ani ja, ani mama nie potrzebowaliśmy karmić się nędzą.

– Jezus, Maria! Naturalnie, że w bogactwie żyjemy! We wszystko opływamy! Apartamenty mamy, stroje, przysmaki, bale! Skaranie boże, męka, zgryzota! Przepraszam, że ośmielałam się zrobić uwagę! Bardzo przepraszam! Ty sama najlepiej wszystko wiesz i umiesz! Jezus, Maria! Rozumu masz dosyć, ajej! aż nadto... aby serca tyle...

Do kuchni poszła, Jadwiga zaś obejrzała się po pokoju. Prawie wcale nie był on dziś wymiatanym. Ze środka podłogi tylko zniknęły szmatki różnych materii, ale pod ścianami bieleły szlaki pyłu, który też okrywał szafy i komody. Poskoczyła, płóciennym fartuchem od szyi do stóp suknię okryła i szczotkę pochwycawszy, żwawo, starannie rozpoczęła robotę wymiatania i oczyszczania pokoju. W chwili właśnie gdy nisko schylona szczotką wydobywała spod sprzętów sporą kupę śmiecia, Szyszkowa, z chlebem i solniczką w ręku, znowu w drzwiach przepierzenia stanęła.

– A toż co? A toż na co? Jezus, Maria! zamiotłam dziś przecież mieszkanie, uprzątnęłam, pyły starłam, a ty znowu zamiatasz! Śmierć, utrapienie, nieszczęście, zguba! Po cóż ty to robisz? I po cóż ty to robisz? No, i dlaczego ty to robisz? Dlaczego? dlaczego?

– Dlatego, moja mamó, że nie lubię brudów w mieszkaniu!

– Nie dlatego! Wcale nie dlatego! Jezus, Maria! Nie jestem ja taką idiotką, aby nie rozumieć, dlaczego ty to robisz! Brudów żadnych nie ma. Sama wymiotłam i sprzątnęłam. Plaga egipska, nędza, utrapienie, wstyd, męka, zginienie zdrowia i życia! ty to dlatego robisz, aby matce pokazać, że ona nic już porządnie zrobić nie może, że ona już do niczego, że chleb twój darmo zjada, że próchno już z niej tylko, zawalidroga, stary grzyb daremnie miejsce na świecie zabierający...

– Ależ moja mammo... – coraz prędzej kupę śmiecia ku drzwiom od sieni ciągnąc zaczęła Jadwiga, ale stara głos podniosła:

– Dlatego! dlatego ty to robisz! Jezus, Maria! Oho! Umiesz ty dobrze dokuczyć; kiedy tylko zechcesz, to i nic nie mówiąc potrafisz dobrze matce dokuczyć! Czystość lubisz, porządek lubisz, brudów w mieszkaniu nie lubisz! To bardzo pięknie! Jezus, Maria! Każdy o tobie powie: „Jaka porządna panna!” Bardzo pięknie... tylko oprócz porządku i serca troszkę mieć trzeba, a u ciebie serca mało, mało, mało...

– Mama tak często brak serca mi zarzuca, że doprawdy sama wkrótce czuć je w sobie przestanę – na ziemi u progu siedząc i śmiecie na żelazną szuflę skrzydłem zmiatając sarknęła Jadwiga.

– A cóż – wykrzyknęła Szyszkowa – może ty masz serce? może masz? Jezus, Maria! A gdzie ono? Ot, przyszłaś z miasta i ani nawet zapytałaś się, czy list od braci jest! Co to ciebie obchodzi? Czy ciebie to obchodzi, gdzie oni, jacy oni, co z nimi dzieje się? I owszem! Niech giną i przepadają! Ty o to nie dbasz! Nie zapytasz się nawet, czy list był od nich! Złość, nieszczęście, zgryzota, męka! Czy spytałaś się o list od braci?

– Nie pytałam się, bo wiedziałam, że go nie ma...

– Wiedziałaś! wiedziałaś! Tak już na pewno wiedziałaś! Jezus, Maria! A skądże już taka pewność? Dziś nie ma, ale jutro być może! Nie tacy już oni niegodziwi, jak ty sobie myślisz. W błocie po uszy nie siedzą, jak ty o nich językiem bluzgasz! Dziś nie napisali, jutro napiszą! W tym roku nie napisali, na przyszły rok napiszą!

– Daj Boże!

– Daj Boże! jakim ty tonem to „daj Boże!” mówisz? Jezus, Maria! Ty tak mówisz, jakby kto inny powiedział: „Niech ich diabli wezmą!” Złość, choroba, męczarnia! Na kolana tobie upaść, ręce złożyć i z płaczem modlić się, aby Pan Bóg ich serca nam przywrócić raczył. Na kolana padnij! Na kolana...

– Dosyć już ja o to przed Bogiem na kolana padałam i dosyć przez to nocy przeplakałam! Nie tylko od szycia oczy mię boła, ale i od płakania. Gdybym mogła cała roztopić się w łyzy i ze świata zniknąć, niech mama będzie pewna, że zrobiłabym to natychmiast, tak mi na świecie dobrze!

– Niedobrze! Niedobrze! Jezus, Maria! a któż temu winien, że tobie na świecie niedobrze? Miałaś przecież konkurenta, porządnego, przystojnego, młodego człowieka, mogłaś być za mąż wyjść, o nic nie dbać, tak jak i inne szczęśliwą być! Ale czy ty taka jak inne! Skaranie boskie nieszczęście! Czy ty tak jak inne potrafisz dobrocią, łagodnością, grzecznością ująć, podobać się, kogoś do siebie przywiązać? Jezus, Maria! Czy ty taka? Nadełaś się na niego, naindyczyłaś, jednego miłego słowa powiedzieć mu nie chciałaś i zraziłaś go, zraziłaś... Uciek! Chorągiewkę zwinął i uciek! Zyg, zyg, marchewka, zyg, zyg, marchewka, jaśnie oświeconej pannie pokazał... i uciek!

– A niechaj sobie choć na drugi koniec świata ucieka! Dbam ja o niego jak o śnieg przeszłoroczny. Nie pierwszy to już raz mama mi tym utraconym konkurentem oczy wypieka...

– A wypiekam! Jezus, Maria! Wypiekam! bo o twoje szczęście, o twoją przyszłość troszczę się...

– Dziękuję za taką troskliwość...

W tej chwili rozległ się w powietrzu, za oknami, przeraźliwy i długi gwizd nadlatującego do miasta pociągu kolei żelaznej, ale one go nawet nie usłyszały.

Głosy dwóch kobiet, jeden stary i chrapowaty, drugi dźwięczny, lecz w coraz ostrzejsze tony wpadający, podniosły się, napełniły sobą ściany pokoju i wydobywały się na dziedzińiec, gdzie w szmer złożony z dźwięków harmonijki i fortepianu, śmiechów kobiecych i dziecińczych, brzęków szkła i fajansu wpływały strugą nie oliwy i miodu, lecz żółci i kwasu. Na koniec Jadwiga z szuflą pełną śmieci do sieni wyszła, a gdy wróciła i fartuch z siebie zdejmowała, matka jej wniosła wazkę z dymiącą zupą i na stole ją postawiwszy, powoli jeden opłatek z leżącej na stole paczki wyjęła. Z opłatkiem w palcach do córki podeszła. Wargi jej były silnie zaciśnięte, a z oczu łzy jak groch sypały się na policzki. Zapomnieć nie mogła, ach! nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że ich, synów jej, tych, których lat tyle namiętnie, bez granic, bałwochwalczo kochała, przy wigilijnym stole nie było, że ona z nimi opłatkiem przełamać się nie może, że oni to czynią kędyś daleko od niej, z kimś innym, obcym... Rozdzierająca tęsknota, smutek bezdenne, trawiąca zazdrość względem tych niewiadomych, nieznanym, z którymi oni w tej chwili zapewne opłatkiem się łamali, odbierały jej siłę, mowę i prawie przytomność... Jedną ręką o poręcz krzesła wsparta, bo nogi jej uginały się tak, jakby wnet na klęczki upaść miała, drugą ręką z opłatkiem ku córce wyciągnęła.

– Życzę tobie... życzę tobie, Jadwisiu... – zaczęła i dokończyć nie mogła; wargi jej i ręka z opłatkiem trząść się zaczęły jak liście przez wiatr miotane.

Jadwiga patrzyła na nią nieruchomymi oczami, z których głębi jedna po drugiej wypływały i na rzesach zawieszały się błyszczące w obfitym świetle lampy krople. Palcami dotknęła opłatka i z cicha zaczęła:

– Życzę mamie... życzę kochanej mamie... – i dokończyć nie mogła.

Osunęła się na krzesło twarz obu dłońmi zakrywając. Szyszkowa usiadła także i z głową spuszczoną, z rękami na kolanach splecionymi, ponuro patrzyła w ziemię. Tak obie siedziały przy stole, niedaleko okna, za którym już w tej chwili szmer wszelkich głosów i dźwięków umilkł. Wszyscy już teraz, za owymi dwoma, trzema, czterema jak pochodnie wesela wśród ciemności jaśniejącymi oknami, siedzieli przy stołach rodzinnych i świątecznych tocząc z sobą rodzinne, poufne, niegłośne rozmowy lub po skończonej wieczerzy w cichym spoczynku snuli powolne słowa albo milczące rojenia. Na wielkim, śniegiem zasłanym dziedzińcu panowała ta cisza głęboka i senna, która jest wielkim dziękczynnym głosem od spracowanych a spoczywających bijącym w niebo; niebo zaś, nad czworokątem dachu i nikłymi cieniami kominów ciemną płachtą rozciągnięte, ubrało się w mnóstwo złotych, przyjaźnie i cicho ku uciszzonej ziemi mrugających gwiazd.

Nagle Szyszkowa i Jadwiga, jak sprężyną podrzucone, na równe nogi się zerwały. W tej wielkiej ciszy, pośród której siedziały ze zwieszonymi głowami, tylko w gorzkie własne swe myśli zasłuchane, tuż, tuż za ich oknem, głośno, hucznie, radośnie dwa silne męskie głosy zaśpiewały:

W złobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu
Jezusowi Chrystusowi
Dziś nam narodzonemu?...

Drugi wiersz pieśni nie przebrzmiał jeszcze, gdy Szyszkowa z rozmachanymi ramionami ku oknu przypadła. Przez okno wyraźnie widać było prawie do samych szyb przyklejone dwie męskie, wąsate twarze. Rysy ich zacierały się w ciemności i tylko zaiskrzone oczy błyszczwały.

– Plaga egipska! śmierć, nieszczęście, wstyd, złość, skaranie boskie, zgryzota! A któż to takie żarty z nas sobie stroić pozwala? Niegrzeczność! impertynencja! Jezus, Maria! Łobuzy jakież, łotrzyki, uliczniki, awanturniki... próżniaki...

Za oknem wybuchnął głośny śmiech, dwie twarze zza szyb zniknęły i słychać było dalszy ciąg piosenki:

Pastuszkowie, przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako panu naszemu...

Zarazem dało się słyszeć otwieranie drzwi od dziedzińca i męskie kroki w sieniach.

– Masz tobie! Jezus, Maria! Tu idą! Drzwi nie zamknęłaś, Jadwisiu! Kłęska, niedola, nie-szczęście! Idą tu...łobuzy...

Nie domówiła ostatniego wyrazu, gdy drzwi od sieni otworzyły się szeroko i próg przestąpiwszy stanęli tuż przy drzwiach dwaj wysocy, barczyści młodzi ludzie, w krótkich kożuszkach, wysokich butach i z czapkami w rękach. Stanęli i pełnymi, silnymi głosami huknęli znowu:

My zaś sami z piosneczkami
Za wami śpieszymy,
A tak tego maleńkiego
Niech wszyscy zobaczymy...

– Jezus, Maria!... Łobuzy... uliczniki... łotrzyki... czy to myślicie z nas facecje sobie stroić! cudze domy napadać! kobiety straszyć! Jezus, Maria! Plaga egipska, choroba...

Ale oni śpiewać przestawszy i u drzwi ciągle stojąc, gromkimi głosy obaj razem mówić zaczęli:

– Rekomendujemy się i o gościnne przyjęcie prosimy. Ślusarze jesteśmy, kotlarze, druciarze, nożownik, brązownicy, wszystko, słowem, co się metalu tyczy, to nasze. Zamki i klamki reperować, rondle latać, noże ostrzyć, garnki drutować możemy...

Śmiechem parsknęli, a Szyszkowa z rozpostartymi ramionami formalnie rzuciła się na nich.

– Proszę wyjść! proszę natychmiast wyjść sobie! Jezus, Maria! plaga egipska! Policji zwołam! Policja! policja!

Jadwiga, przeciwnie, stała nieruchoma i w przybytych wpatrywała się tak uparcie i z takim zdziwieniem, jakby ich poznawała, lecz oczom swoim wierzyć nie mogła. Oni też więcej na nią niżeli na starą patrzali, filuternie ku niej mrugając i białe zęby w uśmiechach szczerząc.

– Staś! Oleś! – zawołała w końcu Jadwiga, a oni, jakby tylko tego wykrzyku oczekiwali, ku dwom kobietom poskoczywszy w ręce całować je zaczęli.

– Co to? jak to? Jezus, Maria! Kto to? – domyślając się jakby czegoś, rozpoznając kogoś, ale jeszcze oszołomiona i do siebie przyjść nie mogąca, mówiła Szyszkowa.

– Staś i Oleś, babuniu dobrodziejko! Stanisław i Aleksander Ginejkowie... Staś i Oleś, te malcy, na których babunia kiedyś bardzo łaskawą była, a którzy teraz na takie dęby powyrastali, i przez to miasto przejeżdżając nie mogli wytrzymać, aby na jeden dzień w nim się nie zatrzymać aby babunię i kochaną Jadzię wynaleźć i odwiedzić... Wynaleźli, na wigilijną wieczereź przyszli, nastraszyli, rozgniewali, ale teraz bardzo pięknie za swoją swawolę przeproszą i proszą, aby babunia była łaskawą po macierzyńsku, po dawnemu ich przyjąć, i aby kochana Jadzia także przyjęła ich jak braci, jak krewnych, którzy o niej zawsze mile wspominali i teraz przez te miasto przejeżdżając koniecznie, koniecznie pragnęli zobaczyć ją i po dawnemu, po bratersku ją ucałować...

Wszystko to mówili jednym ciągiem, jednogłośnie, prędko. Gdy jeden na sekundę mówić przestawał, drugi zaczynał, a tamten wnet z wtórem mu przybiegał. Gdy jeden opuszczał ręce Szyszkowej, drugi ku nim z pocałunkami przypadał, a tamten do Jadwigi się przyklejał i znowu na odwrót i znowu. A śmiali się przy tym prawdziwie po młodemu, świeżo, serdecznie, i taka świeżość, serdeczność, wesołość były z grubych i ogorzałych ich twarzy, z żywych

ruchów, z młodzieńczych głosów, że zdawać się mogło, iż nagły błysk słońca nappełnił pokój i spłynął na twarze dwóch kobiet.

– Ginejkowie! Staś i Oleś! Jezus, Maria! To wy... doprawdy wy... Przypomnieliście sobie o nas! Ktoś na świecie przypomniał sobie o nas! Śmierć, utrapienie, męka, zgryzota... poczciwi, kochani chłopcy!...

Ramiona jej w rękawach kawianego koloru objęły szyję Stasia, a ustami, tymi ustami, które od tak dawna zaciskały się tylko od gniewu lub słone łzy z oczu ciekące połykały, przylgnęła do jego czoła. Oleś zaś Jadwigi ręce w swoich trzymając i w oczy jej patrząc zapytywał:

– Czy można po dawnemu Jadzię pocałować? Tyle lat nie widzieliśmy się z sobą, to może już nie można?

Przez chwilę z trochę niepokoju i zawstydzienia patrzyła w jego siwe, serdecznie na nią patrzące oczy.

– Można – rzekła na koniec z uśmiechem i zapłonione czoło do pocałunku mu podała.

III

Wesołość, gwar, rozmowy, wzajemne zapytania, przypomnienia dawnych czasów, słowem, blask słońca i świergot ptaków nagle powstałe w posepnej i głuchej ciemnicy – wszystko to było dobre, piękne, miłe, ale – pozostawała wieczerza! co będzie z wieczerzą, na którą krewnych, jak z nieba spadłych, koniecznie zaprosić trzeba? Gdzie oszczędnie na dwie osoby gotowano, tam cztery nasycić się nie mogą, szczególnie gdy w ich liczbie znajdują się dwaj młodzi, tędzy, przed godziną z wagonu wysiedli chłopcy. Szyszkową chwilowy dobry humor znowu zupełnie opuścił. Ponurymi swymi oczami na ważkę z trochę ostygłej już zupy patrzyła, a zaciśnięte jej usta w prawo i lewo poruszać się zaczynały. Ale przybliżyła się do niej Jadwiga i korzystając z chwili, w której przybyli zdejmowali i na przybitych do ściany wie-szadłach umieszczali swoje kożuszki, prędko szepnęła:

– Niech mama tymczasem zupę do kuchni odniesie, a ja do miasta pobiegnę. Wszystkiego, co trzeba, w żydowskich sklepach dostanę. Samowar niech mama nastawi...

– Śmierć! męka! nędza! zgryzota! – zamruczała stara, po cichu jednak, a Jadwiga do komody podskoczyła i zręcznie, nieznacznie z szuflady papierek trzyrublowy wzięła. Przez głowę jej przemknęło, że znaczny wydatek poniesie, ale wnet potem przybiegła myśl: „Niech tam! niech choć raz w życiu i mnie wesoło będzie! Poczciwi, kochani chłopcy!” Z papierkiem ściśniętym w dłoni prędko futerko na sobie zapinała i na głowie zawiązywała chusteczkę. Ginejkowie obaj ku niej skoczyli.

– Dokąd to? po co? Aha! Wiemy! wiemy! Z k u c j ą (tak w ich stronach nazywała się wigilijna wieczerza) narobiliśmy ambarasu! Ale co prawda, to prawda! Jeść, jak Boga kocham, chce się wściekle...

Aleksander za rękę ją schwycił.

– Nie pozwolę samej jednej iść do miasta... Wieczór ciemny i różni ludzie włóczą się po ulicach...

Jadwiga śmiechem parsknęła.

– Jakiś ty śmieszny, Olesiu! Myślisz, że to dla mnie nowina samej jednej i o różnych porach po mieście chodzić?

– To nic! Musisz chodzić, to i chodzisz! Co trzeba, to trzeba! Ale kiedy my tu jesteśmy, jak Boga kocham, sama nie pójdziesz... Staś! ty z babunią zostań i przepaszaj ją, żeśmy takiego ambarasu narobili! Pamiętaj, abyś przez cały ten czas, dopóki nie powrócimy, babunię przepaszaj! A ja z Jadzią pójdę. Sam jeden poszedłbym, ale naprzód nie wiem ani po co, ani dokąd, a potem, jak Boga kocham, we dwoje przyjemniej...

Już byli za drzwiami i szybkie ich kroki skrzypiały po śniegu dziedzińca, a osamotniony nagle Stanisław na środku pokoju stał. Wolałby on o wiele biec z kuzynką do miasta niżeli babunię przepaszaj, ale z łatwością pogodził się z losem. Babunia z kuchni nie wracała, więc on sam, na palcach, po cichu, skradającym się krokiem wszedł za przepierzenie i do kuchenki, w której paliła się mała lampa, zaglądając nieśmiało, pokornym głosem przemówił:

– Oleś do miasta z Jadzią pobiegł, a mnie kazał babunię przepaszaj za to, żeśmy ambarasu narobili... Czy można?

Szyszkowa z kuchni odpowiedziała:

– Proszę tu nie wchodzić! Jezus, Maria! Tu nieporządek taki! Bieda, męka, wstyd...

– To ja babunieczce uporządkować pomogę... A może w czym dopomóc? wody przynieść? ogień rozpaść? rondle wyszorować? podłogę zamieść? Wszystko potrafię! Jak Boga kocham, potrafię!

Z tymi słowami był już w kuchni i przede wszystkim Szyszkową, która suszone śliwki pośpiesznie gotować zaczynała, w pół objął i nie tylko w ręce, ale w szyję i twarz całował.

– Oleś przepraszać kazał! Przepraszam, babunieczko! za to że narobiliśmy ambarasu... przepraszam, babunieczko...

– A puśćże! a dajże mnie pokój! Jezus, Maria! trzpiocie ty jakiś! będziesz ty mnie jak swoją równą wycalowywał! garnek ze śliwkami łokciem wywrócisz! Jezus, Maria! Złość, trapienie, choroba, bieda!...

Po raz pierwszy od lat wielu pierś jej i wargi nie od gniewu drżały, ale od śmiechu.

– Cóż mam teraz robić, babuniu?

– Drzewa pod maszynkę przyrzuc... bo ogień słaby... Tam, za piecem... narąbane drzewo leży... Jezus, Maria! plaga egipska! Pieca nie widzisz przed sobą czy co? No, za piecem, nie po niemiecku mówię, że za piecem...

Z wiązką polan w ramionach zza pieca się wydobył i przyklęknąwszy ogień żywo rozpalać zaczął.

– Żeby babunia i po niemiecku do mnie mówiła, to bym zrozumiał. Przecież przez trzy lata obaj z Olesiem u majstra Niemca uczyliśmy się ślusarstwa, a potem pieszo obeszliliśmy całą Kurlandię i dobry kawał Prus... Pfu! a pfuu! a pfuuu!

Na ogień dmuchał, który też istotnie, jakby pod tchnieniem potężnego miecha, rozpalił się w wielki płomień. Powstał z klęczek.

– A teraz co robić?

– Jezus, Maria! Zginienie wieczne! Wyjm z szafki talerze i czystą ściereczką powycieraj. Tam ściereczka wisi... ot, tam... na stołku... cóż, nie widzisz? Mówię, że na stołku! Jezus, Maria! to może i po francusku już teraz umiecie? Panicze z was porobili się? a? Śmierć, klęska, niedola...

Panicz talerze ściereczką wycierając odpowiedział:

– Oui, oui, madame, merci, bon jour! Comment vous portez vous! Więcej już nic po francusku nie umiem, ani Oleś! Widzi babunia, ten Niemiec wcale po polsku nie umiał, tośmy u niego ucząc się, a co prawda i wodę mu razem nosząc i drwa rąbiąc, musieli nauczyć się po niemiecku. Ot jak! A po niemieckich krajach chodziliśmy dlatego, że tam rzemiosła kwitną... do różnych fabryk na robotników przystawaliśmy i najmowaliśmy się u różnych majstrów, byle tylko więcej nauczyć się... byle... O Jezus, Maria, Józefie święty! talerz pękł!

Stary i przedtem już nadwreżony talerz w silnych jego rękach rozłamał się na dwoje.

– Męka! zgryzota! utrapienie! To rzućże te skorupy, a drugi wycieraj! Już sześć wytarłeś! Jezus, Maria! jeszcze ze dwa, to i dosyć będzie! A matka wasza żyje? Ojciec za moich jeszcze czasów zmarł... plaga egipska!... z suchot umarł. Kolonijka z wiatrem poszła! Ale matka dobrze jeszcze wyglądała... Cielę na niedzielę z niej było... ale pocziwa... nie ma co mówić! Pocziwa była... Cóż? żyje mama jeszcze? Co ja tobie robić każę? Klęska, choroba, zginienie zdrowia i życia! Samowar nastaw!

– Kiedy ojciec umarł i kolonijka z wiatrem poszła... a gdzie woda, babuniu?... mama przeniosła się do miasta, zamieszkała przy samym rynku i babom, które na rynek przyjeżdżają, zaczęła szyć czepki, kaftany, różne rzeczy... Niech babunia od pieca odstąpi, to węgla nabiorę!... My już wtedy duże chłopcy byli, ale do szkół nie chodziliśmy od lat kilku... Oleś trzy klasy skończył, a ja dwie, kiedy z ojcem taka bieda... Aha! babunia to wie, to za babuni czasów jeszcze było! prawda! zapomniałem! W ostatnich czasach sami już na kolonijce naszej oraliśmy, żęli, kosili i co tam było trzeba... Pchuu! pchuu! a pchuu! (w samowar dmuchał) ...ale w mieście mama pyta się nas: „Co z was będzie?” Spojrzeliśmy po sobie i tak samo jeden drugiego pytamy się... Pchuu! pchuu! pchuuu!... „Co z nas będzie?” Oleś mówi do mamy: „Może by do rzemiosła?” A mama... Pchuuu! pchuuu!... w płacz!... „Nie takiej ja przyszłości spodziewałam się dla was!” Oleś mówi: Pchuuu! pchuuu! ot, choć zgiń, nie chcą węgle rozpalać się!... „Byleby, moja mamu, ta przyszłość pocziwą była i bylebyśmy mogli kie-

dykolwiek przydać się na co mamie i kochanemu naszemu krajowi!”... Pchuuu! pchuuu! pchuuu!... Mama znów rozplakała się i mnie się pyta: „A ty, Staśku?” A ja tak samo, jak Oleś!... Pchuuu! pchuuu!

Drzwi od sieni stuknęły, Stanisław znad samowara się zerwał.

– Wrócili! jak Boga Kocham, już wrócili! Istotnie, wchodzili do mieszkania porobionymi sprawunkami obładowani. Aleksander przede wszystkim jeden duży, a drugi mały dzbanek na stole postawił.

– To piwko i śmietana. Jadzia mówiła, że ser jest u babuni... to bułeczki z makiem i nie wiem, co tam jeszcze Jadzia niesie, bo mnie nie tyle sił, ile rąk do niesienia wszystkiego zabrakło... Nagawędziłem się też z Jadzią... jak Boga Kocham, usta mi się nie zamykały... Wszystko już jej powiedziałem: co jest, co było, co będzie i czego się nie spodziewam... jak w kabale!

W malutkiej kuchni zrobił się wielki ścisk. Stanisław na stałego już pomocnika w gotowaniu do Szyszkowej przystał, ale Jadwiga i Aleksander także w tę sprawę się wdali. Jedno tam piwo na ogniu dla zagrzania stawilo, drugie w równe kosteczki chleb i ser krajało, trzecie przygotowywało śledzie i gotowało w garnku kartofle; Szyszkowa, śliwek pilnując, wyrzekała, że „śmierć, niedoła, męka, zgryzota! młodzi do niczego dopuścić jej nie chcą, a to dla pokazania, że jest już ona niedołągą, próchnem, starym grzybem, który daremnie miejsce” itd. Ale nikt jej bardzo nie słuchał. Ginejkowie około kuchni się zwijając mówili a mówili, Jadwiga zaś z oczami jak turkusy błękitnymi i z zamyślnym uśmiechem na ustach słuchała. Ten błękit w oczach i uśmiech na ustach przyniosła już ona, gdy z Aleksandrem z miasta powróciła, wszystkim, co opowiedział on jej, przejęta i wzruszona. Z tak strasznej biedy, że głodem przymierali często, wygrzebali się ci chłopcy i na takich tęgich ludzi powyrastali. Z dziecinnych lat swoich pamiętała dobrze tę wielką ich biedę, jak też i to, że gdy stary Ginejko chorzeć zaczął, litowała się zawsze nad nimi i bardzo ich lubiła. Historii wygrzebywania się ich z tej biedy w części już dowiedziała się od Aleksandra. Teraz na wyścigi opowiadali oni różne jej urywki. Ale koniec wieńczy dzieło; koniec zaś tu był taki, że jako biegli rzemieślnicy otrzymali oni w jakiejś fabryce wyrobów żelaznych i stalowych miejsca podmajstrzych i do tej fabryki teraz jechali. Droga im wypadła przez to miasto, w którym, jak wiedzieli, babunia i Jadzia zamieszkały. Powiedzieli sobie: „Zajedziemy, zobaczymy się z nimi, za dawne łaski podziękujemy!” I zajechali, ale tylko na dzień jeden. Jutro tu przebawią, a pojutrze raniutko marsz w drogę, bo według umowy z fabryką zawartej dwudziestego ósmego grudnia tam stanąć muszą. Miejsca podmajstrzych w takich fabrykach są bardzo dobre; rękawy wprawdzie wysoko do pracy zawinąć będą musieli i jak Murzyni twarze i ręce sobie uczernić, ale oni do tego przywykli i wcale przed tym strachu nie czują; żyć zaś bez najmniejszego niedostatku będą mieli z czego i gdy tylko trochę osiedzą się na miejscu, matkę do siebie sprowadzą. Z czasem też pewnie, przy zdolności i pilności, wyższe w fabryce miejsca otrzymają.

– Ale my ciągle o sobie mówimy, a ty, Jadziu, milczysz. Jakże tobie powodzi się z robotą, z zarobkiem, ze wszystkim?

Znad sera, który krajała, na pytającego wzrok podniosła.

– Dobrze – odpowiedziała – bardzo dobrze. Przed nikim, nawet przed tym krewnym i towarzyszem dzieciństwa swego, skarżyć się nie mogła i nie chciała, ale gdy z podniesioną twarzą stała przed nim, Aleksander głęboko patrzył w jej trochę chmurne i śmiałe oczy.

– Jak Boga Kocham! – z cicha zaczął – jak dawniej byłaś dla mnie miłą i sympatyczną, tak i teraz jesteś... jeszcze więcej!... Taka z ciebie zrobiła się kobieta... taka jakaś...

– Jakaż? – zaśmiała się.

– Samodzielna! – zawołał i ciszej znowu dodał: – I wyładniałaś!

– Czy taką brzydką byłam wprzód? – śmiejąc się ciągle pytała.

– Nie, nie to! nie byłaś brzydką! ale jakże tu powiedzieć?... Staś! popatrz no na Jadzię! Nieprawdaż, że od czasu, jakeśmy jej nie widzieli, wyładniała? Ale co jej takiego przybyło? No, przypatrz się, przez co ona tak wyładniała?

Teraz już obaj, kuchenne trudy rzuciwszy, osobę jej formalnemu egzaminowi poddawali, a ona coraz prędzej i w coraz nierówniejsze kostki ser i chleb krając, śmiać się i gniewać próbowała, lecz radość i rozrzewnienie były z rumieńców jej i blasku oczów. Jak to? nią, nią właśnie, zajmowano się tak przyjaźnie! jej tak pochlebne słowa mówiono? Działoż się to do prawdy na jawie?

– Już wiem! – zawołał Stanisław. – Jadzia schudła i dlatego wyładniała.

– Pleciesz! – z trochę gniewu odrzucił brat – nie dlatego, że schudła, ale dlatego, że nabrała wyrazu twarzy... I ciągle patrząc na nią poważnie dodał:

– Od razu z twarzy jej poznać można, że dużo biedowała, pracowała i że jest dzielną dziewczyną, która z życiem i losem walkę prowadzić umie.

– To prawda! Ty masz zawsze rację, Olesiu. Widać zaraz, że Jadzia nie jest lałą! a jak Boga kocham, nic na świecie nie ma dla mnie obrzydliwszego jak lale, choćby najładniejsze.

– Staś! – krzyknęła Szyszkowa – wyjmiesz ty z garnka kartofle czy nie wyjmiesz? Złość, choroba, zmarnowanie daru boskiego! Rozgotują się na nic! Jezus, Maria!

A Jadwiga do Aleksandra się zwróciła:

– Nieśże za mną, Olesiu, talerze, a ja poniosę sztućce i szklanki; do stołu nakryjemy.

Białe i suchy szkielet bez głowy, który dziś z rana był wytworną damą, zdawał się w kącie pokoju wyprostowywać ze zdziwienia nad niebywałymi tu dotąd widokami i odgłosami. Przy stole, serwetą z czerwonym szlakiem zasłanym, a zastawionym piwem grzanym, kartoflami, śledziami, bułkami z makiem, rozmowy, śmiechy, dzwonienie łyżek i sztućców ani na chwilę nie ustawały. Dwaj bracia byli bardzo do siebie podobni, jednostajnie prawie mieli wzrosty, jednostajny kolor włosów i oczu, jednostajnie zgrubiałą skórę na twarzach i rękach. Obaj też byli bardzo weseli i ta tylko pomiędzy nimi zachodziła różnica, że Aleksander, który też miał delikatniejsze nieco i prawidłowsze rysy twarzy, mniej często śmiał się, zamyślał się niekiedy i w mowie swej używał wyrazów wyższego rzędu. Widocznie był on umysłowo zdolniejszym od brata, co też ten ostatni z całego serca uznawał, często odwołując się do jego zdania i na każde, które on wyrażał, przystając. Z prawdziwie młodzieńczym apetytem wszystko, co było na stole, zjadając, żywo, obszernie, głośno opowiadali Szyszkowej o wspólnych krewnych i znajomych, o których ona, odkąd strony swe opuściła, nic już nie wiedziała. W powierzchowności i obejściu się tej starej kobiety, gdy wraz z gośćmi do stołu zasiadła, zaszły wielkie zmiany. Przypomniała znać sobie, jak to dawniej, za lepszych czasów, gości przyjmowała i jak ich przyjmować, jak z nimi rozmawiać należy. Uspokoila się, złagodniała i gdy uważnie słuchając tego, co mówiono, z kolei uprzejmym tonem pytania zadawała, znać w niej było kobietę, która niegdyś mogła być całkiem nawet przyzwoitą i przyjemną. Czasem wprawdzie „śmierć, nieszczęście, choroba, zgryzota” i tym podobne uroczne słowa z ust jej się wymykały, ale naprawiał je uprzejmy dźwięk głosu i uśmiech przyjazny. Oczy jej tylko, z ciemną źrenicą i zwiędłą, zapadłą powieką, nie traciły ani na chwilę przepaścistego smutku, który, zda się, na wieki w nich zamieszkał. Kilka razy widocznie chciała gości swych o coś bardzo ją obchodzącego zapytać i już, już pytanie to zaczynała, ale nie dokończyła go ani razu. Można by mniemać, że lękała się albo wstydziła pytanie to zadać. Wieczera miała się już ku końcowi, gdy Aleksander zawołał:

– Jedna tylko szkoda, że naszej mamy tu nie ma! Gdyby ona jeszcze tu była, byłoby nam jak w raju! Ot, cieszyłaby się mama, gdyby babunię widzieć mogła! Nigdy, nigdy ani ona, ani my nie zapomnieliśmy dobroci, jakiej kiedyś doświadczyliśmy od babuni!

– Jaka dobroć! Jezus, Maria! Jaka tam była dobroć! – zaszamotała się na krześle swoim Szyszkowa.

– Jak to jaka! Ileż to razy, kiedy dziadunio Szyszko żył jeszcze i sekretarzem w zarządzie miejskim był, a nasz ojciec tak ciężko zachorował i w domu zrobiła się wielka bieda, babunia i doktorowi, który odwiedzał ojca, zapłacała, i mamie naszej albo nam to to, to owo sprawiała... Ani mama, ani my nie zapomnieliśmy o tym nigdy...

– Klęska! zgryzota! nieszczęście! męka! Jest o czym pamiętać! Jezus, Maria! Widać, że nie macie o czym myśleć, kiedy o takich bzdurstwach myślicie...

– To nie bzdurstwa! Kiedy ja i Staś przyjechaliśmy czasem do miasta, babunia nas żałowała, głaskała i zawsze cokolwiek dla chorego ojca przez nas posłała...

– Przestańcież już! Jezus, Maria! Złość, wstyd, zginienie zdrowia i życia! Ot, mają o czym mleć językami!

Jednak łzy jej do ponurych oczu nabiegały i z żalnym, błagającym prawie spojrzeniem zadała na koniec to pytanie, które dawno gościom swym zadać pragnęła, a wstydziła się czy nie śmiała:

– A widywaliście się tam z Władkiem i z Józiem? a? Jez...

Święte imię, które tak często powtarzała, zdrzało i urwało się na jej ustach. Po twarzach Ginejków przemknął wyraz zmieszania, lecz Staś odpowiedział zaraz:

– Z Władkiem, od czasu jak on biuro porzucił, nie widywaliśmy się wcale!...

– Biuro porzucił! Jezus, Maria! Dlaczego on biuro porzucił? – wykrzyknęła Szyszkowa.

– Jak to! babunia o tym nie wie? Jadwiga pomiędzy dwoma braćmi siedząca obu ich za poły surdutów pociągnęła.

– Wiem! ależ naturalnie, że wiem! Jezus, Maria! żeby ja, matka, nie wiedziała o takiej ważnej rzeczy, że on biuro porzucił! Śmierć, niedola, zgryzota, zginienie...

Ostatnie słowa cicho już wyszeptwała; wargi i ręce jej trząść się zaczęły.

– Cóż on?.. – zaczęła i zacisnąwszy usta milczała chwilę.

– Cóż on?... – zaczęła znowu i nagle, z uniesieniem dokończyła: – Cóż on teraz robi, kiedy biuro porzucił? Śmierć! niedola!

– Pokąt...–zaczynał już Stanisław.

Ale Aleksander bystro na niego spojrział i prędko przerwał:

– Prawnym doradcą został... Interesami zajmuje się, babuniu!

Ze spuszczoneymi powiekami milczała chwilę, a potem bardzo cicho zapytała znowu:

– A Józio?

– Czyż babunia nie wie?... – wyrwał się znów Stanisław, ale Jadwiga znowu za połą surduta go pociągnęła, a Aleksander głośno zagadał:

– Babunia przecież wie, że Józio pięć lat już temu ze swoim pułkiem w dalekie bardzo strony wyszedł...

– W dalekie strony!... wyszedł!... Jezus, Ma... – zabelkotała stara i wnet wyprostowawszy się poprawiać się zaczęła:

– Wiem, a naturalnie, że wiem! Męka, nędza, utrapienie, śmierć, zgryzota! Jakże to może być, abym ja, matka, o takiej rzeczy... z pułkiem w dalekie strony wyszedł!... pięć lat temu! Wiem! Jezus, Maria! Wiem, wiem, wiem, wiem...

Długo ze wzrokiem wbitym w ziemię i silnie splecionymi na kolanach rękami ten jeden wyraz szepotała, aż umilkła, i zacisnięte jej wargi, wraz z końcem nosa, to w prawo, to w lewo nieustannie poruszać się zaczęły. Gdyby nie to poruszenie się warg i nosa, które na twarz jej rzucało wyraz zjadliwy i zarazem rozpaczny, można by mniemać, że skamieniała. Nie czuła, jak po skończonej wieczerzy Jadwiga i Ginejkowie ręce jej całowali, nie widziała, jak wszyscy troje ze sprzątniętym ze stołu naczyniem do kuchni wyszli, nie słyszała wyraźnie tu jednak z kuchni dochodzącej a nieustannej ich rozmowy. Czasem łza jak groch ciężka i gruba spod spuszczonej powieki na splecione ręce jej upadła, czasem z warg zacisniętych wydobyło się mruczenie, w którym dosłyszeć było można: „Śmierć! klęska! wstyd! zgryzota! zginienie zdrowia i życia!” Ale siedziała nieruchoma i nieruchomo, sztywnie stał za nią w kącie pokoju

biały szkielet bez głowy, który był z rana wytwornie ubraną damą. Nie poruszyła się też wcale, a szkielet znowu wyprostował się jakby ze zdziwienia, gdy troje młodych ludzi wróciwszy do pokoju pod ścianą na trzech krzesłach usiadło w ten sposób, że Jadwiga znajdowała się pomiędzy dwoma rześkimi i przystojnymi chłopcami, z których jeden za rękę ją trzymał i często w samą twarz jej spoglądał. Jakby przez uszanowanie dla tej skamieniałej postaci w kawowej sukni i białym czepku przy stole siedzącej, z cicha pomiędzy sobą szepta-
li:

– Pamiętasz, Jadziu, jakeście parę razy do nas na święta na wieś przyjeżdżali? Maleńki był nasz domek. Na pięćdziesięciu morgach gruntu pałacu mieć nie mogliśmy. Ale jak nam wesoło było! Ty byłaś jeszcze małą dziewczynką...

– A ileż wy jesteście ode mnie starsi?

– Ja dwadzieścia pięć lat skończyłem, a Oleś ode mnie o półtora roku starszy...

– Więc tylko rok od Olesia młodszą jestem...

– Wtedy miałaś może lat trzynaście... Obydwaj ojcowie nasi żyli...

– I rady z nami dać nie mogli, takie swawole wyprawialiśmy zawsze, ile razy zebraliśmy się do kupy.

– I ty, Jadziu, byłaś swawolną! Pamiętasz, cośmy w te święta, u nas na wsi, dokazywali...

– A pamiętasz, ileśmy to umieli piosenek różnych... Czy potrafiłabyś jeszcze choć jedną zaśpiewać?

– Potrafiłabym. Pamiętam wszystkie choć już od niepamiętnych czasów nie śpiewałam. Ale często, kiedy w nocy sama jedna przy robocie siedzę, na pamięć mi one przychodzą, wtedy powtarzam je w myśli i o was wspominam...

– Wspominałaś czasem o nas? – w oczy jej patrząc zapytał Aleksander.

– A Stanisław, rozmarzony, z cicha nucić zaczął:

Anioł pasterzom mówił...

Aleksander zawtórował głośniejsze:

Chrystus się nam narodził...

Przy trzecim wierszu z silnymi, barytonowymi ich głosami zmieszał się cienki, ale czysty głos Jadwigi.

Zstąpił Pan chwały wielkiej,
Uniżył się wysoki;
Pałacu kosztownego żadnego
Nie miał zbudowanego.
Pan wszego stworzenia...

Pieśń coraz głośniejsze, coraz raźniej przez trzy głosy wyśpiewywana przepełniła ściany izby i przez okna wydobyła się na duży, cichy dziedziniec, gdzie pomiędzy ziemią usłaną śniegiem a niebem gwiazdami usianym połączyła się z wychodzącymi zza innych okien takimiż samymi dźwiękami. U ślusarza Michała, u szewca Jerzego i w innym jeszcze miejscu, i w innym tę samą pieśń śpiewano, i tę samą, jakby dla wtóru, grała na fortepianie panna Karolina. Wkrótce z tym śpiewnym, przytłumionym szmerem połączył się poważny i w mroźnym powietrzu donośnie rozlegający się dźwięk dzwonów kościelnych.

– Na Pasterkę dzwonią – zauważył Aleksander i ku zdziwieniu swemu spostrzegł, że Jadwiga patrząc na okno parsknęła śmiechem.

Tuż za oknem ukazał się futrzany kołnierzyk, z którego wyrastała wielka twarz, wysokim garniowaniem kaptura otoczona, i zabrzmiał głos na bardzo wysoki ton nastrojony a wyraźnie do pokoju dochodzący:

– Moje uszanowanie pannie Jadwidze! A panna Jadwiga z kawalerami miłe chwile spędza!

– Spędzam! – ku oknu podbiegając z żartobliwą wesołością odkrzyknęła Jadwiga.

– A na służbę bożą nie pospiesza?

– Jutro pospieszę!

– Dziś by trzeba, koniecznie dziś... Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! Niech panna Jadwiga dobrze to sobie pamięta.

– Winszuję pani świąt! – zawołała znowu Jadwiga.

– Na jutro powinszowanie! Teraz pora na służbę bożą spieszyć, nowonarodzone Dzieciątko witać! Biegnę, lecę, a pannie Jadwidze wesołej zabawy życzę! Moje uszanowanie! Moje uszanowanie!

– Dobranoc pani!

Ginejkowie z szeroko otworzonymi od zdziwienia oczami, a przy końcu z tłumionym śmiechem osobliwej rozmowy tej słuchali.

– Co to? kto to? Czego ta pani od ciebie chciała? Jadwiga opowiedziała wszystko o sąsiadkach swoich i o swoim z nimi stosunku, nie wyłączając językowej katastrofy dzisiejszego poranku zaszłej. Usprawiedliwiała się, że tylko ostateczne zniecierpliwienie do podobnego postępuku doprowadzić ją mogło. Ale oni bynajmniej postępkim tym zgorzeleni nie byli, a żywe opowiadanie o nim Jadwigi doprowadziło ich do takiego śmiechu, że aż za boki się trzymali.

– Szkoda, żeś jej jeszcze w dodatku figi nie pokazała! – zawołał Stanisław.

– Sama już to myślałam – śmiejąc się także odpowiedziała Jadwiga – chociaż w gruncie rzeczy nic tak bardzo przeciw tym paniom nie mam, a tylko gdy człowiek ciągle zgryzionym jest i zakłopotanym, mała rzecz do ostatecznej niecierpliwości doprowadzić go może.

Aleksander za rękę ją wziął.

– Więc bywasz często zgryzioną i skłopotaną! A kiedy zapytywałem, jak ci się powodzi, powiedziałaś, że dobrze, bardzo dobrze!

Podniosła na niego wzrok trochę chmurny, ale uśmiechała się filuternie.

– Czy ty, Olesiu, lubisz te katarynki, co to po ulicach jękliwie skrzypią i wieczne lamenty zawodzą?

– Takich, co skrzypią i lamenty zawodzą, nie lubię. Więc cóż?

– To, że takie katarynki są to przedmioty mojej najgłębszej antypatii, do których za nic w świecie nie chciałabym być podobną. Czy rozumiesz teraz?

Zamyślił się, lecz wnet siwe oczy jego trysnęły blaskiem zadowolenia.

– Rozumiem. Jesteś, moja Jadziu, dzielną i hardą dziewczyną. Ja tak samo. Co trzeba, to trzeba. A jękliwą katarynką być, broń mię Boże. Pysznie we wszystkim zgadzamy się ze sobą.

I jakby na zapieczętowanie tego zdania gorąco rękę jej ucałował.

Stanisław zaś uniesieniu brata zawtórzyl szerokim ziewnięciem i słowami:

– Idźmy spać! Oleś, jak Boga kocham, idźmy spać! Już ja żadnej kosteczki w sobie nie czuję, takem zmęczony.

IV

Kiedy po przespaniu się w pierwszym lepszym zajeżdżnym domu Ginejkowie nazajutrz z rana do mieszkania dwóch kobiet weszli, znaleźli już w nim wszystko na przyjęcie ich przygotowane, a Jadwiga spotkała ich u progu w czarnej, świątecznej sukni, wielce zresztą skromnej, ale w której było jej bardzo do twarzy. Sen świąteczny także, dłuższy i spokojniejszy, spędził z jej powiek czerwone obwódki, a z policzków i czoła starł żółtawe smugi. Powitała krewnych wesołym oznajmieniem, że za godzinę najdalej będą oni jej i matce do kościoła towarzyszyć.

– A gdzie babunia? – zapytał Stanisław.

Jakby w odpowiedź na to pytanie za zamkniętymi drzwiami przepierzenia dało się słyszeć klapiące uderzanie jedną o drugą starych podeszew i chrypliwy głos wołający donośnie:

– Jezus, Maria! Boże, zmiłuj się Ty nad nami! Kto tam taki po kuchni łązi?

Z kuchni zaś cienki głosik odchrząknął:

– Do nówek upadam! To ja, Ambrożowa! Panienczka dobrodziejka dziś raniuteńko do mnie przybiegła i na cały dzionek mię umówiła. Do miasteczka po sprawunki już zbiegałam i obiadek teraz gotować zaczynam. Wesoły nam dziś dzionek nastał! Pan Jezus Chrystus w żłóbku ubogieńki, maleńki nam się narodził. Świątek wesoleńkich, mileńkich winszuje!

Stanisław do drzwi zamkniętych podszedł i uchylając je nieco zapytał:

– Czy można babuni dzień dobry powiedzieć?

– Śmierć! zginienie! choroba! nieszczęście! Niechże choć łachman jaki na siebie zarzucę!

– Ja go zarzucić pomogę! Zupełnie za przepierzeniem zniknął.

– Dzień dobry babuni! Świąt winszuję! Proszę mi dać tę spódnicę, bo jak ja ją trzepnę, to będzie dopiero wytrzepana... trzask! trzask! Już czysta! A teraz kaftan trzepać? Nie trzeba! No, to dobrze! Ale garniowanie u czepeczka zgniecione! Zaraz odchucham! Chu, chuu, chu-u! Ot jak tiule powstają! już gładziuteńkie! Czy babunia już uczesana? Nie jeszcze! to proszę grzebuszek dać... Niechże babunia pozwoli! A co? czy źle czeszę! Takie śliczne nioby będą z przodu, a z tyłu warkoczyk splotę... Jaki u babuni jeszcze piękny czarniutki warkoczyk! Ot, już i nioby gotowe... Proszę w lusterko spojrzeć, jaka babunia w nich ładna!... Jak Boga kocham, aż pocałować chce się! Nie można! nic nie szkodzi! Ja jednak pocałuję... Ot, tak! ot, tak! po dawnemu...

Z tym potokiem słów Stanisława łączył się drugi potok mrużenia, łajania, wymieniania wszystkich plag i klęsk tego świata, wychodzący z ust Szyszkowej, a do dwu tych nieustannie gadających za przepierzeniem głosów przyłączał się z kuchenki wychodzący trzeci, piskliwy i głupowaty:

– Oto mileńki, wesoleńki paniczyk! Daj Boże paniczykowi zdrowia, że tak swoją babunię kocha i pieści... Ot, i śmieje się nasza babunia... ot, i rozweseliła się biedulka, o wszystkich swoich zmartwieńkach zapomniawszy!

Jadwiga i Aleksander uśmiechali się także i rozmawiali z cicha:

– Jaki Staś pocziwy, że mamę tak rozweselił! Od lat kilku nie śmiała się tak, jak teraz. Dziś w nocy obudziłam się parę razy i zawsze słyszałam, że nie spała i płakała.

Aleksander niecierpliwym gestem ręką uczynił.

– Oj, jak Boga kocham, dałbym ja Władkowi i Józiowi w skórę za takie postępowanie z matką!...

Jadwiga żywo mówić zaczęła:

– Dlaczego nie chciałeś jasno i wyraźnie mówić, kiedy cię wczoraj kilka razy o nich zapytywałam? Czy już tak źle jest z nimi? Mamy zapewne złymi wiadomościami gorzej jeszcze gryźć nie trzeba, ale ja powinnam wiedzieć o wszystkim.

Ginejko namyślał się chwilę; wyraz strapienia zasępił jego grube i ogorzałe czoło. Resztę herbaty ze szklanki wychylił, a gdy Jadwiga drugą nalewać zaczęła, szeptem i co chwilę na przepierzenie oglądając się zaczął:

– Nic znowu tak osobliwego... są nawet ludzie, którzy przypisują Władowi spryt nadzwyczajny i bogactwo mu przepowiadają. Ale ja i za taki spryt, i za takie bogactwo bardzo dziękuję. Wolałbym ulice zamiatać, niż takim sposobem skarby zbierać.

– Z kilku waszych słów wczorajszych zrozumiałam, że został on pokątnym doradcą – szepnęła Jadwiga.

– Najgorszego gatunku – równie cicho odszepnęła Ginejko; – ciemnych i biednych ludzi łapie, namawia, oszukuje, po sądach ciąga, ze skóry obdziera. Chociaż to brat twój, Jadziu, ale być nie może abyś nie wiedziała o tym, że od dzieciństwa był on zawsze egoistą i spekulantem.

Matka przepadała za nim, wad też żadnych w nim nie widziała, ale dla ciebie, Jadziu, wszystko to chyba nie nowina?

Milcząc i ze spuszczonej oczami głową skinęła.

– Widzisz! Cóż więc dziwnego, że puścił się na złą drogę?... Toteż obaj ze Stasiem widywać się z nim przestaliśmy. Kiedy ty z matką w świat po zarobek wyjechałaś, on spotkawszy nas głośno śmieje się i mówi: „Wiesz, Oleś? baby mi, chwała Bogu, z karku zjechały!” Mnie aż ręka zaświerzbiała, aby go w twarz palnąć, alem tego nie zrobił, bo na ulicy bijatykę wszczynać brzydko. Tylko, kiedy on rękę do mnie wyciągnął, ja swoją za plecy schowałem. „Nie, braciszku, powiadam, moja ręka czarna i twarda; ale czysta, a z twojej, choć taka biała, garścią błoto zbierać można. Ja tobie już ani brat, ani swat, ani nawet znajomy. Adieu!” Staś słowo w słowo, tak jak ja. Rękę też za plecy założył i mówi: „Biednych ludzi oszukujesz i obdzierasz, matkę i siostrę na cztery wiatry puściłeś. Ja tobie, tak samo jak Oleś, ani brat, ani swat, ani nawet znajomy. Adieu!” Pokłoniliśmy się czapkami i poszliśmy w swoją stronę, a on poszedł w swoją. Od tego czasu nigdy nie widzieliśmy się z bliska, ale od ludzi słyszałem, że doskonale mu się powodzi i grosiwo zbiera. Teraz podobno w jakiś łajdacki interes włączył, z którego mieć będzie, jak to powiadają, wóz albo przewóz. Jeżeli łajdactwa nie odkryją, grube pieniądze zarobi; jeżeli odkryją, w kryminal wlezie i żółtą łatę na plecy może dostanie. Ot jak...

Zarumienione czoło dłonią potarł i rozgniewanym, zgryzionym wzrokiem w szklankę z herbatą się wpatrzył.

– A Józio? – po chwili ciężkiego milczenia spytała Jadwiga.

– Ten, jak wiesz, zawsze od Władka był lepszy, to jest lepsze serce miał, takim chytrym ani chciałem, jak Władek, nie był. Ale to znowu pustak i hultaj... przy tym chłopiec śliczny, jakby go kto z najpiękniejszego obrazu zdjął. Do wojska poszedł dlatego, że mu w mundurze do twarzy było. On, kiedy nie musztruje się, to w lustro patrzy, a kiedy w lustro nie patrzy, to z kolegami i dziewczętami hula. Może on nawet i ma dla was trochę serca, ale tyle o sobie samym myśli, że o kimś innym pomyśleć czasu nie ma. Odkąd z pułkiem swoim gdzieś daleko wywędrował, nikt z nas o nim ani słyszał. Jednak mnie się zdaje, że Józio pewnie kiedykolwiek jeszcze odezwie się do was... pewnie odezwie się... bo co do Władka, to wątpię... chyba jeżeli wzbogaci się bardzo, to może i wam cokolwiek ze swego bogactwa rzuci...

– Tylko że ja pewno nie podejmę tego, co on mi rzuci! – wyłkała więcej, niż wymówiła Jadwiga i wyprostowana, drżąca, z płaczem zapartym w piersi, a głową podniesioną, przemieniła się niby w płomień gniewu i dumy.

Aleksander wziął jedną z rąk jej i zamknął ją całkiem w swoich dwu dużych, muskularnych dłoniach.

– Dobrze, siostrzyczko, tak trzeba! Ja tak samo! Rzuconego nie podejmę za nic, a około brudnego, choćby to był brylant najdroższy, splunąwszy tylko przejdę... Pysznie we wszystkim zgadzamy się ze sobą!

– Cicho! Mama idzie! Ani słowa o tym przed mamą!

Ponuro czarne nioby, ręką Stanisława ułożone, spuszczały się nad głęboko ciemnym i zbrudzonym czołem Szyszkowej, ale świąteczna suknia kawowej barwy i białe garniowanie czepka nadawały jej znowu pozór czysty i przyzwoity. Mniej posępne niż zwykle jej oczy bystro przemknąwszy po twarzach Jadwigi i Aleksandra błysnęły zadowoleniem, lecz zaraz sposepniały znowu i z gniewem wlepiając je w córkę zawołała:

– Śmierć! zginienie! nieszczęście! choroba! Czegóż ty znowu zmarszczona siedzisz, jakbyś cytrynę zjadła albo matkę wczoraj pochowała? Jezus, Maria! Krewni przyjechali, odwiedzili, tacy poczciwi, przyjemni! Poweselałyby, zdaje się, pośmiała się, pogawędziła jak inne młode panny... Ona, nie! gdzie tam! Czoło zmarszczy usta zatnie i siedzi jak ta mumia egipska! Potem zaś dziw się, że nikt nie przylgnie do niej, nie przywiąże się, nie polubi... Jezus, Maria!

Mówiłaby pewno dłużej, gdyby nie Stanisław, który wpół ją objął i na krześle przed szklanką herbaty posadził.

– Niech babunieczka herbatę pije, bo do kościoła iść pora, a ja przy babuni usiądę i także herbatę pijąc opowiem o tych znajomych, o których babunia pytała się, kiedy ja na odpowiadanie czasu nie miałem, bo bardzo uważnie zaczesywałem nioby...

Jadwiga odwróciła się szybko i wydobywać zaczęła z szuflady ubranie, w którym za chwilę na ulicę wyjść miała, ale w nisko pochyloną twarz jej spojrzwały wkrótce siwe oczy Aleksandra tak współczujące i przyjazne, że poruszeniem niewymownej ulgi rozwarły się jej usta i osiadł na nich ukojony, rozrzewniony uśmiech.

W kwadrans potem na ramieniu jego wsparta szła chodnikiem ulicy w swoim skromnym kapelusiku i obcisłym futerku, zgrabna i żwawa. Wesołą też była. Szyszkowa, gdyby patrzyła na nią w tej chwili, nie mogłaby już jej nadętości i ponurości zarzucić. Ale Stanisław poprowadził babkę przodem, a tak szybko, że z daleka już tylko widać było, jak z przygarbionymi pod futrzanym kołnierzem plecami i głową w kapturze naprzód podaną obok zamaszystego chłopca po śniegu dreptała. Jadwiga zaś śmiała się z żartów Olesia, który z zupełną powagą utrzymywał, że Staś i babunia rozkochali się w sobie i że będzie to romans ciekawy.

– Byleby tylko Staś czegoś niepotrzebnego przed mamą nie wygadał! – nagle zaniepokoiła się Jadwiga.

Zapewnił ją, że Staś wie dobrze, iż całą rzecz o Władka pilnie przed nią ukrywać należy.

– Bo mnie się zdaje, że mama nie przeżyłaby chyba tych wiadomości – rzekła Jadwiga.

Tu opowiedziała krewnemu, jak w pierwszych latach samodzielnej jej pracy matka trwożyła się o jej uczciwość. „Czy akuratnie rachunek spisałaś? Czyś przez roztargnienie nie wzięła więcej, niż ci się należało? czy nie zapomniałaś jakiego kawałka materii właścicielce oddać?” – zapytywała nieustannie. Sama, kiedy trzy grosze komu winna, spokoju nie ma, dopóki nie odda. Często też, w lepszych chwilach, które zresztą trafiają się coraz rzadziej, uczciwość zmarłego swojego męża wspomina. „W pocie czoła pracował, mawia, biednym człowiekiem był, ale jak łza czystym, najmniejszej krzywdy ludzkiej na sumieniu nie mającym.” Niedawno jeszcze wyrazy te przed szewcową, która czasem na gawędkę do niej przychodzi, powtórzywszy dodała: „Dzieci też po nim i po mnie poszły. Pewno o żadnym nikt nie powie, że cokolwiek niepocziwego popełniło.”

Ze smutnymi uśmiechami Jadwiga i Aleksander na siebie spojrzeli i głowami wstrząsając, jednomyślnie szepnęli:

– Niechaj że więc w tym złudzeniu jak najdłużej sobie pozostaje...

Wkrótce jednak rozweselili się znowu. Jadwiga spostrzegła, że spojrzenia niektórych przechodniów z zajęciem zatrzymywały się na jej towarzyszu, a potem ciekawie spływały i na nią.

Ten wysoki, przystojny człowiek w zgrabnym kożusku i wysokich butach, z energią i męskim wdziękiem w ruchach i rysach twarzy, zwracał na siebie uwagę tych, którzy na wąskim chodniku spotykali się z nim z bliska. Spostrzeżenie to taki wpływ na nią wywarło, że podniosła twarz oblaną wyrazem tryumfu i wśród tłumu krzyżującego się na chodniku pilnie znajomych twarzy upatrywać zaczęła.

Jakoż w tej samej prawie chwili wysunęła się zza niej, w tym samym, co ona, kierunku idąca, gromadka dzieci różnego wzrostu, a wnet potem, o ramię jej ocierając się ramieniem, mijała ją ta niemłoda i wesoła pani, która wczoraj tak głośno i serdecznie cieszyła się z uszytej przez nią sukni. Mijała, lecz nagle spostrzegła ją i kroku zwalniając, w oprawie swoich figlarnych loczków i napuszonego piórami kapelusza rozpromieniła się cała.

– A, dzień dobry pannie Jadwidze, dzień dobry! Jak pani dziś ślicznie wygląda! Czego pani taka wesoła? Tę suknię pokazywałam wczoraj dziesięciu osobom i wszyscy od zachwyty nad nią odejść nie mogą! Ale czemu pani tak wesoła dziś wygląda? Mężowi memu podobała się ona także i mówi on, że mi w niej bardzo do twarzy...

Tu głos zniżyła:

– Z kimże to panna Jadwiga idzie? Kto jest ten młody człowiek?

Ona wnet z uśmiechem mówić zaczęła:

– Bliski krewny mój, Aleksander Ginejko... hodowaliśmy się prawie razem, ale potem nie widywaliśmy się już przez lat wiele... Wczoraj przyjechał do mojej matki i do mnie razem z bratem swoim, Stanisławem... Bliski krewny mój. Umyślnie przyjechali do nas, aby z nami święta przepędzić... Tamten mamę do kościoła poprowadził... Bliscy nasi krewni!...

Filuterne oczki wesołej pani bystro i przyjaźnie w jej twarz patrzyły.

– Winszuję, winszuję, święta weselej przejdą! Pochyliła się do samego prawie jej ucha:

– Ten krewny pani bardzo przystojny!

Jadwiga rumieńcem spłonęła, a ona, za dziećmi swymi, które już znacznie oddaliły się były, śpiesznie pogończyła.

Teraz on dopytywać się zaczął, kim była pani ta, która z nią rozmawiała, a ona odpowiadając na jego pytania nie przestawała myśleć o tym, jak to w życiu człowieka jeden dzień do drugiego niepodobnym bywa! Ta sama, zdaje się, co i wczoraj ulica, te same domy, ten sam śnieg, ci sami ludzie, a przecież jej tak inaczej jest, zupełnie inaczej! Otóż i rogowa kamienica, ta, o którą wczoraj oparła się była wśród zmroku, śmiertelnie smutna i zmęczona! Tu stała płacząc i łając sama siebie za to, że płakać sobie pozwala. Teraz dziwi się tylko. Jak to! ona płakała wczoraj! Jakże była głupią i niedoświadczoną, aby nie wiedzieć, nie przewidzieć, że po smutku musi nastąpić i radość! Ale naprawdę, czegóż ona cieszy się tak bardzo? I co jeszcze dziwniejsze, to że z radością tą łączy się także duma. Po prostu dumną się czuje i chociaż ciągle z towarzyszem swoim rozmawia, po głowie jej płacze się myśl, że dobrze byłoby, ach! jak dobrze, aby spotkał ją teraz ów wczorajszy miły jegomość. Zobaczylibyśmy, czy śmiałyby jej ubliżyć! O, nie, najpewniej! W ten sposób postępować można tylko z takimi dziewczętami, które zbiedzone, skłopotane, za zarobkiem goniące, samotnie tułają się pośród obcych ludzi, ale nie z takimi, które chodzą po świecie z kimś swoim, bliskim, przyjaznym. Niechby zobaczył ją teraz i przekonał się, że i ona także nie jest słomką przez wiatr ze śmietniska porwaną i po cudzych wschodach i kątach noszoną, lecz jak każdy prawie człowiek na świecie ma krewnych, przyjaciół, ludzi sobie bliskich, którzy ją szanują, lubią, a w razie potrzeby obronić potrafią.

Zamiast jednak człowieka, którego tak nienawidziła, a w tej chwili przecież spotkać pragnęła, oko w oko spotkała się z dobrze znajomą sobie parą ludzi; ślusarzem Michałem i młodą jego żoną. Krótco byli w kościele, śpiesznie wracali do domu i dziecka. Ona wysmukła, ładna, z różową od mrozu twarzą, w oprawie żółtawej chustki, przystanęła i męża, z którym pod ramię szła, zatrzymując zaszczębiotała:

– Dzień dobry pani!... A, Pan Bóg gości na święta zesłał! Słyszeliśmy wczoraj, jak pań-

stwo wesoło sobie śpiewali, i aż zdziwiliśmy się, bo w tym mieszkaniu zawsze tak cicho i smutnie, że doprawdy najsmutniej ze wszystkich mieszkań, co są na calutkim dziedzińcu... Aż tu wczoraj i u państwa nastął ruch, gadanie, śpiewanie. Aż polecieć chciałam i dowiedzieć się, co to takiego, ale on (targnęła za łokieć męża) nie puścił. „Nie wypada, mówi, niedelikatnie...”

– Szkoda, że pani wczoraj do nas nie przyszła, bylibyśmy bardzo radzi. Przyjechali do nas panowie Ginejkowie, bliscy krewni nasi. Umyślnie przyjechali, aby odwiedzić nas i święta z nami przepędzić. Bliscy nasi krewni.

Młodszy, Stanisław, mamę do kościoła poprowadził; a to jest starszy, Aleksander... bliski krewny mój...

Potem Aleksandra objaśniała:

– A to jest sąsiad nasz, pan Michał, z zawodu ślusarz...

– Ślusarz! – wykrzyknął Ginejko i szybko rękę do czapki podniósł. – Jakże mi przyjemnie kolegę spotkać! Ślusarzem także jestem...

– Ale pewno jakim uczonym, wielkim – kłaniając się prawil przysadzisty człowiek – a ja, panie dobrodzieju, tak sobie... samouczek boży...

– To nic, to nic! Chciałbym, jak Boga kocham, z panem o rzemiośle pogawędzić.

– Do usług panu dobrodziejowi...

– Wpadnę dziś na gawędkę do pana...

– Do usług, do usług! bardzo prosimy! Kłaniali się sobie, ściskali się za ręce. Jadwidze nagle myśl do głowy strzeliła.

– To może lepiej państwo będą łaskawi przyjść do nas na godzinę, na parę godzin. Pan Michał pomówi z moim krewnym o tym, co obu ich obchodzi, my także pogawędzimy...

Z widoczną uciechą propozycję tę przyjęto, a Jadwiga uszedłszy naprzód kilka kroków pomyślała: „Co to się stało? Gości do siebie zaprosiłam? Jak to dziwnie, ale zarazem i miło!”

Istotnie, bardzo jest miło posiadać uprzejme i przyjacielskie stosunki z ludźmi, lecz stokróć milej spostrzegać, że ci, którzy nas w samotności i smutku naszym lekceważyli, obrażali, poniekąd nawet krzywdzili, są zdziwionymi i ciekawymi świadkami naszego szczęścia. Spostrzeżenie to uczyniła Jadwiga już w kościele, gdy wśród grania organów, śpiewu księży u ołtarza i uroczystej a gorącej atmosfery, którą wydają z siebie gęsto zbite, rozmodlone tłumy, uklękła obok matki, w jednej z ostatnich kościelnych ławek, i nim nad otwartą książką do nabożeństwa twarz pochyliła, szybkim spojrzeniem rozejrzała się dokoła.

Mnóstwo tam było ludzi w siermięgach i surdutach, mężczyzn i kobiet stojących tuż przy sobie, dotykających się wzajem ramionami, ale najbliżej, tuż prawie przy niej, stała szwaczka Paulina, w nowym, modnie skrojonym futerku, z twarzą od mrozu tak zaczerwienioną, że w oprawie złotych loczków była podobną do polnego maku w pszenicy. Z tłumem ją nieco rozdzielali i od zbytniego ścisku bronił wysmukły, świątecznie ubrany urzędnik pocztowy. Szepnęła też coś do niego, gdy tylko Szyszkową i córkę jej spostrzegła, a potem z rękami wsuniętymi w mocno wyszarzany, ale zalotnymi kokardami upstrzony zarękawek, tak ciekawie i z takim zdziwieniem na Jadwigę i na obu Ginejków patrzyła, że aż rozwarły się drobne jej usta, a z twarzy można było wyraźnie czytać wewnętrzne wykrzykniki: „A toż co się stało! Szyszkówna z jakimiś kawalerami do kościoła przyszła! W imię Ojca i Syna... Zawsze jak mniszka sama jedna chodzi, a teraz asystentów jakichś sobie wynalazła. I jakich jeszcze! Młodzi, przystojni, tacy jacyś pewni siebie i z wesołymi twarzami. Nie tutejsi przecież, bo-bym ich choć z widzenia знаła. Skądże ona ich wzięła? Kim są? Ciekawość! Ciekawość!”

I aż z nogi na nogę przestępowała, a towarzysza swego za rękaw od paltota targając szepać do niego zaczęła:

– W imię Ojca i Syna... Szyszkówna z kawalerami chodzi! Asystentów sobie znalazła! Wilk w lesie zdechł czy co? Nie wiesz, Bolciu, kto to taki?

A Jadwidze paliły się także oczy, ale od zadowolenia. „Aha! – myślała – nie ty jedna możesz wesoło bawić się i mieć zawsze obok siebie towarzyszy i przyjaciół! Ja też nie zawsze sama na świecie bywam i mam niekiedy przy sobie kogoś, kto mi jest bliskim i bardzo przyjaznym. A chciałabyś wiedzieć, kim są ci ładni i dzielni chłopcy, którzy ze mną przyszli? Poczekaj, sama ci to powiem, gdy się tylko spotkamy. Czemuż nie? Wstydzić się nie mam czego. Powiem: „Bliscy krewni moi, bracia, przyjaciele!”

Nagle ogarnęło ją takie rozrzewnienie, że wszystkie inne uczucia stłumiło. Ksiądz u ołtarza wznosił ku górze ramiona i śpiewał „Gloria!” Twarz jej nisko opadła na dłonie grubymi rękawiczkami okryte, a choć i oczy, i usta miała zamknięte, całą ją nappełnił tak namiętny poryw dziękczynienia, że był chyba także modlitwą.

Wtem wydało się jej, że Aleksandra nie ma już przy niej, że odszedł. Gdy klękała w ławce, stanął był razem z bratem tuż za nią, a teraz, zdało się jej, że go nie ma. Obejrzała się i oczy ich spotkały się z sobą. Nie tylko stał ciągle tam, gdzie wprzód, ale patrzył na nią zamyślnym i miękkim spojrzeniem. Odtąd nie oglądała się już wcale, z twarzą na dłonie schyloną długo klęczała nieruchoma i spokojna, całą oblana cichą błogością, która, niby cień drzewa na kwiat więdący z obecności jego na nią spływała.

Sama potem nie wiedziała, jak jej przeleciała chwila powrotu z kościoła do domu. Pamiętała tylko, że mróz był tęgi, ale niedokuczliwy, śnieg pod nogami skrzypiał, słońce świeciło jasno na bladym błękitnie nieba i ślicznym, brylantowym szronem okrywało tu i ówdzie między domami stojące drzewa; że wspólnie z towarzyszem zachwycała się pięknnością drzew okrytych szronem, a tłum na ulicach, który był wielkim, nie tylko nie dokuczał jak zwykle, ale wspólnie z towarzyszem zauważyła, że pstry i ruchliwy, w blasku słońca i na białym tle śniegu roztaczał wcale ciekawy i ożywiony widok. Wtedy dopiero spostrzegła, że wchodzi w bramę domu, do jej mieszkania wiodącą, gdy zobaczyła Ruchlę, która w skurczonej postawie i zabłoconej sukni na wschodkach siedziała, a ujrawszy ją, z brudnej chusty twarz wychyliła i zawołała:

– A! panienka dziś w wesołej kompanii chodzi! Nu, daj Boże zdrowie i szczęście!

– A tak, moja Ruchlo! Krewni nasi... – uprzejmie zaczęła Jadwiga.

Mowę jej przerwał rozlegający się tuż obok srebrny i szczebiotliwy a od zdyszania przerywany głosik:

– A ja tak leciałam, tak leciałam za panną Jadwigą, że aż zasapałam się i tchu nie mogę złapać... Dzień dobry! Świąt wieszczę, wszystkiego dobrego życzę! Niech panna Jadwiga o naszej wczorajszej kłótni zapomni, bo to głupstwo było, i niech mi pani na zgodę rączkę poda...

– Owszem – odpowiedziała i chętnie teraz ku wietrznej sąsiadce rękę wyciągnęła.

Ta zaś, z palącymi się oczami a rozwianymi przez wiatr loczkami, trzepała dalej:

– Bo widzi pani, wczorajszy wieczór to był dla mnie ważny wieczór... jestem już z panem Bolesławem po słowie... Na pasterkę wtenczas dzwonili, kiedy my przyrzekaliśmy sobie, że się pobierzemy... Pan Jezus rodził się, a my przyrzekaliśmy sobie... jak raz w tej samej minucie, kiedy Pan Jezus rodził się...

Zgrabny, ale chudy i blady urzędnik, wytrzeszczając nieco błękitne oczy i nadzwyczaj powoli każdy wyraz wymawiając, z kolei zaczął:

– Powiem pani, że tak, już dawno sympatyzowaliśmy z panną Pauliną...

– Wieszczę państwu... wszystkiego dobrego życzę – wesoło przerwała Jadwiga.

– Daj Boże, abym i ja pannie Jadwidze jak najprędzej tego samego wieszczowała! Tymczasem chwala Bogu, że pani w przyjemnej kompanii święta przebywa...

– A tak. Przyjechali do nas panowie Ginejkowie, krewni nasi. To jest starszy, Aleksander, a młodszy, Stanisław, już mamę do domu odprowadził... bliscy nasi krewni...

Urzędnik grzecznie czapkę zdejmując przed Aleksandrem nazwisko swoje wymienił. Paulina zaś szczebiotała dalej i nieustannie nie wiedzieć o czym. Paplanie, zarówno jak ustawicz-

ne fertanie się po świecie i przystrajanie osoby swojej w najbarwniejsze możliwie łachmanki wydawało się nieodbitą koniecznością dla tej czeczotki, która jednak złą być nie musiała. Posiadała też dar jednoczesnego mówienia i słuchania tego, co mówili inni, bo nagle oczy na Ginejkę podnosząc zawołała:

– A to panowie z tych samych stron, co i pan Bolesław... Niechże pan Bolesław pyta się o swoje strony... Może i familię pana panowie Ginejkowie znają... to tak miło kogoś ze swoich stron spotkać!... Czemu pan nie pytasz się? No, pytaj się pan prędzej...

– Powiem państwu – flegmatycznie zaczął narzeczony – że na mrozie gadać nie mogę, bo zaraz fluksji dostanę...

Jadwiga śpiesznie podchwyciła:

– Więc niech państwo będą łaskawi na jaką godzinkę dziś do nas przyjdą, to moi krewni opowiedzą wszystko, co pana Bolesława interesować może...

Znajdowali się już u drzwi mieszkania Jadwigi, a u drzwi innych mieszkań tworzyły się grupy podobne do tej, którą składali oni: odświętnie przy odziane, gwarzące, tu i ówdzie nawet wybuchające śmiechem. Wszyscy ci ludzie, dłuższym niż zwykle spoczynkiem pokrzepieni, głodni, lecz wiedzący, że czeka ich dziś obfitszy niż zwykle posiłek, wracali z kościoła w towarzystwie znajomych, krewnych, których do siebie zapraszali i od których wzajemnie otrzymywali zaprosiny. Na białym od śniegu dziedzińcu panowało, gwarem wesołych głosów w mroźnym powietrzu brzmiało, zarumienionymi twarzami w blasku słonecznym świeciło, obfitym dymem kominów ku błękitnemu niebu się wzbijało – wielkie, uroczyste święto! Środkiem zaś dziedzińca, po najszerszej z udeptanych wśród śniegu ścieżek, ślepa eks-właścicielka ziemiska, w ciemnych okularach i z laską w drżącym ręku, szła powoli, wsparta na ramieniu swojej niemłodej, lecz jeszcze pięknej córki. Czarno i ubogo, lecz niezmiernie starannie ubrane, ściśle do siebie przybliżone, w nieszczęściu swoim i wielkim wzajemnym przywiązaniu rozrzewniające, przesuwaly się one pośród tego mrowiska ludzi z obojętnością istot z innego świata. Czasem z dużych, pięknych oczu tej wyniosłej panny, ciężko przecież na byt swój i swej matki zapracowującej, odgadnąć było można wewnętrzne i niepozbyte zdumienie jej nad tym, że znajduje się ona tu, pośród tego grubego, gwarliwego tłumu, tu, na tym bruku miejskim. Cierpliwą i szlachetną twarz swoją nad ociemniałą głową matki skłaniając, miała ona spojrzenia długie i uważne tylko dla niej lub dla sklepienia niebios, ku któremu wznosiła je niekiedy, oczami duszy widząc może pod nimi kędyś daleko, wśród pól rozległych i cichych, topole włoskie, na kształt wysokich i w pancerze ze szronu zakutyh straży stojące u szerokich i ozdobnych drzwi jej rodzinnego domu. Wtem o parę kroków od niskich i ciemnych drzwi szwaczki z drżącej ręki jej matki wypadła laska, a zanim schylić się po nią zdołała, już ją podjął i z grzecznym ukłonem oddawał silny i piękny chłopak, w wysokim obuwiu i kożuszkę powleczonej sukniem grubym i tanim. Dziękowała mu uprzejmym, lecz z dala trzymającym skinieniem głowy, gdy z białych ust jej matki wyplłynęło ciche pytanie:

– Któż to był tak greczny i podjął mi laskę? Zaledwie ociemniała kobieta to wymówiła, o słuch jej obił się głos przyciszony i nieśmiały, który mówił:

– To krewny mój, Aleksander Ginejko, który z bratem przyjechał, aby moją matkę i mnie odwiedzić... bliscy krewni nasi...

Blade czoło ślepej kobiety jaśniało dziwną w niedoli jej pogodą, a pomarszczone usta z niewymowną słodyczą przemówiły znowu:

– Młody i miły głosik jakiś słyszę, ale nie wiem czyj...

– Jadwiga Szyszkówna... sąsiadka... na tym samym dziedzińcu...

– A wiem, słyszałam. Pan Ginejko też młody pewno. Za grzeczność i przysługę bardzo dziękuję. Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!...

Sami nie wiedzieli, jak i kiedy oboje ustami do drobnych i drżących rąk jej przylgnęli, a kiedy głowy podnieśli, byli oboje od tego wspólnie otrzymanego błogosławieństwa gorąco zarumienieni i z tymi gorącymi rumieńcami na twarzach wbiegli do sionki, w której ich spo-

tkał wesoły blask kuchennego ogniska i prawie dziecinny, piskliwy szczebiot kręcącej się około niego kobieciny.

Była to kobiecina nadzwyczaj małego wzrostu, nadzwyczaj chuda, z malutką i bladą jak krąg opłatka twarzyczką, wśród której świeciły czarne, latające oczki i figlarnie sterczał mały, zadarty nosek, a która przecież caluteńka: na czole, na policzkach, dokoła oczek latających, zadartego noska i warg wąskich i poźółkłych, okryta była zmarszczkami.

W tym gęstym, prawdziwym lesie zmarszczek większych i mniejszych, promienistych, powikłanych zdawał się zamieszkiwać i na świat z niego wyzierać lud lilipucich, lecz nieprzeliczonych smutków, kłopotów, utrapień. Pomimo przecież zgromadzenia na swojej malutkiej twarzy takiego i w taki sposób zaludnionego lasu, zachowała ona ruchy tak zwinne, a zarazem pokorne i ciche, iż czyniły ją one uderzająco podobną do myszy. Zarówno gdy mówiła, jak gdy usługując krzątała się i cichutko biegła, aż biła od niej pokora tak wielka, że patrząc na nią przysiąc by można, iż przez całe życie ani razu nie miała ona z czego być dumną, a po nieskończeniu wiele razy została upokorzona.

Cichutko też a prędko, prędko, w swojej krótkiej spódniczce i czarnym tiulowym czepeczku na głowie, do pokoju wbiegłszy od tego zaczęła, że pomimo oporu, jaki jej stawiono, Szyszkową, Jadwigę i obu Ginejków pocałowała w rękę, a potem zagadała, że kielbaski już smażą się, barszczyk zgotowany, słowem, jeżeli tylko państwo głodni, obiadek zaraz podać ona może. Jadwiga, której Aleksander futro zdejmować i kapelusz do szuflady chować pomagał, wesoło jej oznajmiła, że widziała w kościele syna jej, Ignasia, że modlił się on pilnie z książki i odświętnie był wystrojony. Wtedy malutkie, poźółkłe wargi Ambrożowej otwały się w szerokim śmiechu, ukazującym dziąsła prawie zupełnie zębów pozbawione. Radośnie splasnęła rękami:

– Że też panienczka na tego durnia oczkami swymi patrzała! Niech panienczce za to Pan Bóg wynagrodzi i za to, że panienczka mnie dziś do siebie zawołała! Chi, chi, chi! Smutnieńkie święta miałabym ja, gdybym u siebie siedziała. Ani zjeść co ludzkiego, ani z kim poweselić się! A tak, chi, chi, chi! zbytku sobie na cześć i chwałę nowonarodzonego Dzieciąteczka użyję i na wesoleńkich, kochanieńkich panów popatrzę, i jeszcze grosiczek zarobię! Niech panienczce za to Pan Jezus na narodzenie swoje mileńkiego i ślicznieńkiego mężulka ześle!

Gadając tak, chichocząc i ponownie rękę Jadwigi całując, Ambrożowa dziwnie głupowato i pokornie wyglądała; niemniej Jadwiga przy ostatnich jej słowach, znowu tak samo, jak przy błogosławieństwie ślepej staruszki, od skraju włosów do brzegu czarnego stanika w rumieńcu stanęła; Aleksander zaś nie rumienił się już, ale wąsa z lekka podkręcając, filuternie jakoś ze strony na nią patrzył. Ale co było daleko dziwniejszym od uśmiechu, który roziskrzył siwe oczy młodego Ginejki, to że Szyszkowa uśmiechała się także. Od bardzo dawna po raz pierwszy z uśmiechem patrzyła ona na córkę, a potem ku gościom rozpozgodzony wzrok zwracając, grzecznie, prawie wesoło, bez „choroby, zgryzoty i nieszczęścia”, z jakimś, owszem, dygiem, niekoniecznie zgrabnym, ale kolistym i uroczystym, do stołu ich zaprosiła, a gdy wszyscy przy stole już usiedli, formalnie bawić zaczęła Ginejków. Wcale rozsądnie i spokojnie opowiadała im ona o mieście, w którym od lat sześciu zamieszkiwała, a którego oni nie znali, lub zapytywała o różne obchodzące ich sprawy i rzeczy. Oni po zadowoleniu pierwszego głodu rozgadali się szeroko, a mieli o czym mówić, obaj bowiem, popychani zapewne żywością temperamentów swoich, a może też większą, niż bywa u innych, ambicją i umysłową bystrością, nie poprzestali na zwykłym wyuczeniu się rzemiosła, ale szukali po świecie sposobów wydoskonalenia się w nim i zdobycia sobie w ogóle jak najlepszych narzędzi do budowania przyszłości. Wiele też w tych swoich wędrówkach widzieli i doznali. Tu nauczyli się ślusarstwa, tam kotlarstwa, ówdzie przez lat parę pracowali w fabryce brązowniczej; wespół z góralami rozwożącymi wyroby druciarskie wędrowali prawie rok cały, za pomocników i nawet woźniców im służąc, byleby tylko nauczyć się ich przemysłu, a zarazem i spory kawał kraju

zwiedzić. Znali też kraj ten, jego potrzeby, biedy i piękności wcale nieźle i niemniej może dla niego, jak dla samych siebie, lichymi w rzemiośle swoim partaczami zostać nie chcieli. Jednogłośnie mówili, że małymi sobie ludźmi są i nic wielkiego ani doznać, ani uczynić na świecie nie mogą. Ale co robić, to robić, byle dobrze. Przez całe też lat siedem uczniami lub prostymi robotnikami byli, a po naukę, wprawę, biegłość, zarówno jak po kawałek chleba – hej, suchy i twarde najczęściej! – udawali się dokąd tylko mogli. Teraz za to, gdziekolwiek do pracy staną, nie zawstydzą się jej pewno i ani darmo chleba jeść, ani po tej ziemi, która go im daje, jak niewdzięczniki lub niedołęgi stapać nie będą.

Ostatnie to zdanie wypowiedział Aleksander, którego mowa miewała czasem błyski oświetlające widnokregi od osobistych tylko i powszednich szersze. Wnet też z błyszczącymi oczami zwracając się do brata zapytał:

– Prawda, Stasiu?

– A jakże! naturalnie, że prawda! – odpowiedział Stanisław.

– Prawda! – z zapalem powtórzyła Jadwiga. Tylko Szyszkowa nie powiedziała nic od minut kilku słuchając tych rozlegających się obok niej dwu młodzieńczych, świeżych głosów, patrząc na te dwie młodzieńcze, świeże, pełne zapалу, nadziei i odwagi twarze, smutniała ona znowu, chmurzyła się, coś widać sobie przypominała, coś ją w serce kłuło, aż zgarbiły się jej plecy, czoło zaszło ciężkimi zmarszczkami, wąskie wargi zacięły się i wraz z ostrym końcem nosa w obie strony poruszać się zaczęły. Wkrótce jednak drzwi od sionki uchyliły się cicho i powoli, a przez wąski ich otwór wsunął się do pokoju naprzód kosz dość duży i pusty, potem chłopak może szesnastoletni, z długą, gapiowatą twarzą, w czarnej, odświeżonej widocznie odzieży, w której bardzo niezgrabnie wyglądał. Wsunął się, z dobrodusznym uśmiechem głową skinął i przy drzwiach stanął. Jadwiga uprzejmie go powitała i Ginejków objaśniła, że jest to syn Ambrożowej. On białe zęby wyszczerzył, kosz na podłodze postawił i z wlepionymi ciągle w Jadwigę, takimi zupełnie jak u Ambrożowej, czarnymi, świecącymi oczkami, mówić zaczął:

– Kosz odniosłem, który panienka wczoraj zostawiła... chi... chi... chi... Żeby panienka wiedziała, jak on ze złości po pokoju latał... chi... chi... chi... to człowiek patrząc, mało nie pękał ze śmiechu...

– Złość! nieszczęście! zgryzota! choroba! co on plecie? – zamruczała Szyszkowa.

– Kto to ze złości po pokoju latał? – z niejakim zaciekawieniem zapytał Aleksander, a ciekawość jego wzrosła jeszcze, gdy spostrzegł, że na twarz Jadwigi wytrysnął ognisty rumieniec, z którym porwała się ona z krzesła, przybyłego za rękę chwyciła, do stołu go pociągnęła i z gorączkowym prawie pośpiechem mówiła:

– No, usiądź, Ignasiu, i zjedz z nami obiad... bo u matki go dziś nie dostaniesz... Matka twoja u nas... Siadajże! Przestańże tak patrzeć na mnie i chichotać! Siadaj i jedz!

Czuć było, że zaczynała już gniewać się; szło jej o to, aby chłopcu jedzeniem usta zamknąć! On, nieśmiały i niezgrabny, wzdragał się i patrząc na krzesło, które Jadwiga mu wskazywała, gapiowato mówił:

– Może ja pójde do kuchni... do mamy...

– Jezus, Maria! Plaga egipska! siadajże, kiedy ci mówią! – krzyknęła Szyszkowa, a na ten rozkaz, jakby się sprężyna jakaś w nim ugięła, tak nagle usiadł, lecz z nożem i widelcem zawieszonymi nad talerzem i sporym kawałem smażonej kielbasy, jeszcze swoje czarne, świdrujące oczki w Jadwigę wpatrzył i zachichotał:

– Ależ klasnęło chi... chi... chi!... Człowiek, dalibóg, myślał, że kto z bata palną!

Ginejkowie parsknęli śmiechem, jakkolwiek starszy z nich wydawał się słowami gapiowatego chłopca trochę zaniepokojonym. Jadwigi brwi marszczyły się i drgały, oczami usiłowała dawać Ignasiowi stanowcze i gniewne znaki porozumienia. Szyszkowej wargi i koniec nosa od zniecierpliwienia aż latały.

– Śmierć! męka! niedola! choroba! czy ten chłopiec zwariował dzisiaj? Co on plecie!

Wtem w drzwiach od przepierzenia rozległo się głośnie splasnięcie rękami i cienki głos Ambrożowej zapiszczał:

– Boże mój Wszechmogący! Najświętsza Panienko Różanostocka! Wszak to Ignaś! A co ty tu robisz? Jak ty śmiesz, durniu, z panami do stołu siadać!

Dalszy ciąg jej piskliwej mowy zagłuszył huczny wybuch śmiechu obu Ginejków.

– Z panami! – powtarzali wśród śmiechu – z nami, to znaczy z panami! cha, cha, cha! A mojaż pani Ambrożowo dobrodżiko, co pani wygadujesz! cha, cha, cha! Panowie! z panami! ze śmiechu położyć się można!

Ale na jej małej twarzyszce zmarszczki mąciły się i mieszały z sobą jak wzburzone, drobnutkie fale wody. Chłopca targała za rękaw i szeptem już, ale głośnym, śpiesznym, mówiła:

– Idź do kuchni, błaznie! słyszysz? idź mi zaraz do kuchni! Mało tobie jeszcze te dobrodżiczki twoje, kiedy obdarty i bosy chodziłeś, a lokatorom w piecykach paliłeś, chlebka nadawały! Mało tobie te dobrodżiczki nauki i wszelkiego dobra do głowy nakładły! Jeszcze będziesz z nimi do jednego stołu siadać! Patrzajcie, jaki śmiały zrobił się! No, wstawajże i idź do kuchni! Czy to matki nie posłuchasz? Słyszysz?

On, zmieszany i nadąsany, z krzesła niezgrabnie powstawał, broniąc się jednak.

– Kiedy człowieka zapraszają, to czemuż człowiek nie ma sięść...

– Złość! zgryzota! zginienie zdrowia i życia! – zawołała Szyszkowa. – Ambrożowa! Jezus; Maria! czy dasz ty święty pokój chłopcu?... Niech siedzi i je! Plaga egipska!

Ambrożowa na wykrzyk ten aż zatrzęsła się od trwogi i rękaw synowskiego surduta z palców wypuściwszy, z wytrzeszczonymi oczami i znieruchomiałymi zmarszczkami tyłem ku drzwiom się cofała. Szyszkowa zaś chmurnie, lecz poważnie mówić zaczęła:

– Cierpieć nie mogę, moja Ambrożowo, kiedy biedni ludzie sobą samymi poniewierają! Jezus, Maria! I cóż to ważnego, że Ignaś z nami przy stole siedzi? Czy on złodziej jest albo inny jaki zbrodniarz? Zginienie zdrowia i życia!

Toż ty, jako matka, najlepiej wiesz o tym, że nic on nigdy nie ukradł i nic złego nie zrobił. A że on biedny... Jezus, Maria! i my biedni. To i cóż? Wstydu to nie robi... Są na świecie nieszczęścia daleko od biedy gorsze!...

Wargi jej zadrzały i ponuro schmurzyły się oczy; w serce ukłuło ją znowu nieszczęście, od biedy daleko gorsze. Lecz Aleksander szklanę po wypitym piwie ze stukiem na stole stawiając zawołał:

– Świętą prawdę babunia powiedziała, jak Boga kocham! W tym cała rzecz, ażeby biedni ludzie samymi sobą nie poniewierali! Ani to wstyd, ani nawet nieszczęście żadne biednym być! Przeciwnie, trzeba tylko i sobie, i ludziom pokazać, że biedny człowiek to jednak człowiek, który rady sobie dać umie i jak niepotrzebna pokrzywa na tym świecie nie wyrasta. Że się tam trochę głodu lub chłodu, lub zbytcejny fatygi doświadczy – głupstwo! Ale swoimi tylko dwoma rękami w lesie tego życia drogę sobie wyrąbać – to radość! A biednym będąc pokazać sobie i ludziom, że się coś umie i znaczy, i robi – wielka do tego ochota bierze! Takie jest moje zdanie, jak Boga kocham! Głowy w górę, ręce do roboty i śmiało ludziom w oczy patrzeć! Prawda, Stasiu?

– Prawda, jak Boga kocham, prawda! Ty Olesiu zawsze masz rację! – z zapalem potwierdził Stanisław.

A Szyszkowa, znowu uspokojona i nawet zadowolona, mówić zaczęła:

– Masz rację, Olesiu, Jezus, Maria, masz rację! My, z nieboszczykiem moim mężem, nigdy bogaci nie byliśmy. Ja z niebogatego domu pochodziłam i on także. Za młodu doświadczyliśmy nieraz i ciężkiej biedy, potem lepiej trochę było, ależ zawsze, Jezus, Maria, nie opływałyśmy w zbytkach. On pracował ciężko całymi dniami a często i nocami, a za to pensję niewielką brał, ledwie było o czym z dziećmi przeżyć. Ale uczciwy był człowiek, jak łza czysty, samego siebie szanował i ludzie go szanowali...

Umilkła na chwilę, z rękami skrzyżowanymi u piersi i oczami wpatrzonymi w przestrzeń zwolna pochylała się to w tył, to naprzód, jakby ją wywoływane wspomnienia kołysały. Po chwili zaś znieruchomiła, oczami chmurnymi, lecz w których teraz dumne jakieś światełka błyszcząły, po obecnych powiodła i dodała:

– Dzieci też po nim i po mnie poszły; pewno o żadnym z nich nikt nie powie, że cokolwiek niepocziwego popełniło!

Aleksander nagle twarz nisko nad talerzem pochylił, Stanisław ręce z nożem i widelcem w powietrzu zawiesił i usta nieco otworzył, Jadwiga niespokojnie poruszyła się na krześle, gdy nagle w drzwiach przepierzenia cieniutki głos Ambrożowej zadzwonił:

– I w kamyczkach napisano:

Zstąpił Pan chwały wielkiej,
Uniżył się wysoki,
Pałacu kosztownego żadnego
Nie miał zbudowanego
Pan wszego stworzenia!

– Widzi pani Ambrożowa! – zaśmiał się Aleksander – a pani Ignasiowi od stołu wstawać kazała, dlatego że on pałacu kosztownego żadnego nie ma zbudowanego!

Ona zaś jeszcze cieńszym, jak włoski już cieniutkim głosikiem zawołała:

– I jeszcze coś ci, co się tego tyczy, jest w kantyczkach:

Czemu w złobeczku, nie w łódeczku
Na sianku położony?
Czemu z bydlęty, nie z panięty
W stajni jesteś złożony?

To niby królowie Najświętszego Dzieciątka pytają. A to niby Najświętsze Dzieciątko królom odpowiada:

By człek sianu przyrównany,
Grzesznik bydlęciem nazwany
Przeze mnie był zbawiony.

Wyrecytowawszy to stała w ramie niskich i wąskich drzwi, pokorna, drobna, z drobnymi, prawie czarnymi od spracowania rękoma, opuszczonymi na spódnicę. Jeżeli kto, to ona najpewniej była na świecie „sianu przyrównana” jednak, rzecz dziwna! w czarnych jej oczkach, w otwartych od uśmiechu bezzębnych ustach, w szybkim, szybkim ruchu zmarszczek na twarzy do krążka opłatka podobnej – jaśniały rozradowanie i tryumf. Przy stole zaś siedzące osoby przez dość długą chwilę milczały; cisza i białe światło z okna od śniegu padające unosiły się w tej biednej izbie, nad wyśpiewaną przez tych biednych ludzi – apologią biedy.

Ciszę przerwał głos i chichot Ignasia, który zjadłszy już, co do zjedzenia było, szklanką piwa do reszty rozweselony, z oczami znowu w Jadwigę wlepionymi, wśród powszechnego milczenia zaczął:

– Jak panienka wyszła, to on do przedpokoju wpadł i krzyczy: „Ignas!” A ja... chi, chi, chi! mówię: „Słucham pana!” – „Czy ty tu był?” A ja w oczy jemu śmiało patrzę i... chi, chi, chi! „Byłem!” – mówię...

– Ale teraz, Ignasiu, daleko byś lepiej zrobił, gdybyś milczał! – z błyskającymi oczami przerwała mu Jadwiga.

– Owszem, kochanku, mów! mów! – przysiadając się do chłopca zawołał Aleksander.

Jadwiga porwała się z krzesła i błagalnie jęknęła:

– Olesiu!

Ale on do najwyższego stopnia już zaciekawiony, więcej jeszcze zaniepokojony, nie ustępował. Na nią w pół filuterne, w pół niespokojne spojrzenia rzucał, a na chłopca nalegał:

– Opowiedzże, Ignasiu... Nie bój się, panienka choć i rozgniewa się, to przebaczy. Ja sam ją...

– Olesiu! – zawołała znowu Jadwiga, ale inaczej już niż przedtem: gniewnie, rozkazująco. Przy tym nogą o podłogę uderzyła. On zaś już teraz wcale nie patrzył na nią, tylko schmurzony nagle, na wahającego się, ale do mówienia wielką ochotę mającego chłopca nalegał:

– Mów! Ja koniecznie historię tę wiedzieć muszę. Jak Boga kocham, muszę! mów!

Wtem i Szyszkowa, która wszystkiego ze zdziwieniem słuchała, krzyknęła:

– Złość, utrapienie, męka, zgryzota! Mówże, Ignaś, kiedy ci każą!

Na ten głos chłopiec, jakby się w nim jakaś sprężyna poruszyła, wyprostował się i mówić zaczął, a jednocześnie rozległ się po pokoju stuk gwałtownie odsuwanego krzesła i Jadwiga, jak wichra, z twarzą w ogniu, a drżącymi brwiami i rękami, przez pokój przeleciała, drzwi za sobą z takim gwałtem zatrzaskała, że aż się przepierzenie zatrzęsło, i z całej siły, z brzękiem żelaza, zasuwkę znajdującą się u nich zasunęła. Zamknęła się. Gdyby ktokolwiek za przepierzeniem się znajdował, byłaby go może wybiła, tak silnie pięści miała ściśnięte i takim gniewem rozżarzone oczy; że jednak nikogo tam nie było, więc schwyciła leżący na komodzie kawałek starej jakiejś materii i drżącymi palcami drzeć go zaczęła. Przy tym oddychała głośno i szeptała prędko:

– Co ja winna? i cóż ja temu winna? Jakże mnie było inaczej zrobić? Boże mój, Boże! za co mnie ten wstyd i to nieszczęście? Co ja temu winna? Co ja miałam robić?

Wtem szepł jej urwał się i wypadł z palców niepodarty jeszcze kawałek materii. Uczuła, że czyjeś ramię ją obejmuje i twarz jakaś z gorącym oddechem pochyla się nad jej twarzą. Wyrwała się, odskoczyła i do ściany zwrócona nogą tupnęła.

– Nie chcę, nie potrzebuję! Nie trzeba było pytać się! Teraz idź sobie ode mnie!

Ale on nie daremnie dwoma skokami sionkę i kuchenkę przebył, tak go coś po opowiadaniu Ignasia ku niej pociągnęło. Znowu objąć ją próbował.

– Jadziu! duszko! spójrz na mnie!

Miększym już trochę głosem odszepnęła:

– Idź sobie! Nie chcę! Wstydzę się!

– Ależ nie ma czego! Jak Boga kocham, dzielna dziewczyna z ciebie i pysznie we wszystkim zgadzamy się z sobą! No, nie odwracaj się już ode mnie! Spójrz na mnie! Jadziu, duszko, siostrzyczko!

Spod brwi jeszcze zsuniętych i z musu jakby, wzniosła ku niemu oczy, ale zarazem uśmiech miękki, prawie wesoły zabłysnął jej na ustach i szybko po całej twarzy się rozlał. Sama nie wiedziała, jak i kiedy usiedli oboje na stojącym przy ścianie kufierku, jak i kiedy zaczęła mu opowiadać troski, żale, strapienia swojego codziennego życia. Czyniła to zrazu cicho, z wahaniem, z rękami na kolana opuszczonymi i wzrokiem wstydliwie w ziemi utkwionym; ale gdy on znowu ramieniem ją obejmując w szerokiej dłoni swojej zamknął jej małe i zgrabne, lecz chude i igłą nakłute ręce, sama znowu nie wiedziała, jak i kiedy głowa jej na ramię jego opadła, a uczucia, myśli, pamięć otworzyły się przed nim na oścież, do dna. Mijały minuty i kwadransy, upłynęła cała godzina, a oni jeszcze na kufierku starym dywanikiem okrytym siedząc, ściśle ku sobie przybliżeni, ciągle i po cichu z sobą rozmawiali. Czynili to tak zupełnie, jakby byli bratem i siostrą lub parą dawnych, serdecznych przyjaciół, bo różnej natury uczucia składają się na szczęście, a z nich pierwszym, którego ta blada, chuda, pracą zmęczona dziewczyna doznała, było ciepłe rozpowijanie się serca ze ściskającej je od dawna lodowej powłoki. Ramieniem tego młodego, przystojnego mężczyzny otoczona, z rękami w jego dłoni zamkniętymi, doświadczała przecież tylko wielkiej rozkoszy serca, które

pozbywa się całej swojej goryczy i skrytości i, jak w promieniu słońca kwiat długo zziębły, kielich swój rozwija i wszystkie jego barwy roztacza w ciepłe drugiego dobrego serca. Żadnego gwałtu ani upału nie czuła wtedy nawet, gdy on pocieszając ją i do dalszej walki z życiem zachęcając dłonią głaskał jej włosy i nad samym czołem jej szeptał:

– Duszko! siostrzyczko! miła ty moja!

Czuła tylko, że nie jest już samą i nielubioną, że ktoś na ziemi rozumie ją i ceni, że nie daremnie pracowała bez spoczynku i hardo walczyła z ubóstwem i opuszczeniem, że ufność i wdzięczność nie są niedostępnymi dla niej przysmakami życia, że na koniec ciche słodczye szarej godziny, o których tyle od ludzi słyszała, zmyśleniem nie były. Bo krótki dzień zimowy już przygasł i zaczynała się szara godzina. Ambrożowa, kilka razy z talerzami i sztucami przez wąski pokój przeszedłszy, wpół otworzyła drzwi od kuchenki, w której małą lampkę zapalwszy w kątku na ziemi usiadła i Ignasia pociągnęła, aby przy niej usiadł. Na ziemi więc siedząc żywo z sobą o czymś szeptali, aż podniosła się drobna, prawie czarna ręka kobieciny i twarde włosy chłopca głaskać zaczęła. On swoją wielką, gapiowatą głowę na drobnych macierzyńskich kolanach położył, a ona nad tą głowę wznosząc suchy, czarny palec i trzęsąc nim w powietrzu, ciągle mu o czymś bardzo po cichu prawiała: może o Dzieciąteczku, które urodziło się na sianku i pałacyku żadnego nie miało zbudowanego, by człek, sianu przyrównany, przez nie był zbawiony – może o tych tysiącach balijek bielizny, które ona wyprała, setkach pokoiów, które sprzątnęła i opaliła, mnóstwie godzinek głodu, chłodu i smutku, które przeżyła, zanim jego i jego brata i dwie jego siostry tak wyhodowała, aby choć sianu podobni, trucizną świata nie byli. Wąski pasek światła od małej lampy na podłogę padający łączył tę siedzącą na ziemi parę ludzi z tą, która z dłonią w dłoni i z twarzą przy twarzy na niskim kufierku siedziała, a dalej jeszcze, z drugiej strony przepierzenia, Szyszkowa z takim już gwałtem nalegania o różne szczegóły tyżące się jej synów u Stanisława dopytywać się zaczęła, że on, wszystkie wykręty i niedomówienia wyczerpawszy, z krzesła się porwał, dużą lampę na stole zapalać zaczął i żalonym głosem zawołał:

– Oleś, Jadzia! To jest dobre, jak Boga kocham! Sami do dziury jakiejś zaleźli i bawią się doskonale, a babuni i mnie to jakby już na świecie nie było! Kiedy tak, to bywajcie zdrowi! Włożymy sobie z babunią kozuski i na cały wieczór we dwoje do miasta pójdziemy! Dobrze, babunieczko?

Zanim jednak miał czas zapalenie lampy skończyć, z impetem otworzyły się drzwi od sionki i rozległ się w nich dźwięczny, donośny, śpiesznie mówiący głosik:

– Czy chcecie państwo, czy nie chcecie, a przyjąć nas musicie. Kiedy panna Jadwiga nas zaprosiła, to niechże teraz i ma. Panie Bolesławie! czemu pan drzwi od podwórza nie zamkasz? Chłodu pan do pokoju napuścisz i sam zaraz fluksji dostaniesz. Moje uszanowanie pani Szyszkowej! Świąt wieszczę! A ja z panem Bolesławem już po zaręczynach! Na całe życie w niewolę idę, ale szyc już nie będę! Niech te szycie diabli wezmą! Tylko że ślub nasz odwlecz się aż do julia albo do augusta, bo pan Bolesław musi po papiery jechać, a teraz urlopu nie dają, a żeby bez urlopu pojechał, to by jeszcze i odstawkę dali!

– Moje uszanowanie! moje uszanowanie! Powiem państwu, że na podwórzu mróz aż trzeszczy! – mówił kłaniając się na wszystkie strony flegmatyczny narzeczony trzpiotowatej szwaczki.

– Moje uszanowanie! – zabrzmiał we drzwiach gruby głos ślusarza Michała.

– Jak się państwo mają? dobry wieczór! moje uszanowanie! – srebrnie dzwoniła wchodząca wraz z mężem żona ślusarza.

Biały szkielec bez głowy – jedyny od lat wielu nieodstępny towarzysz Jadwigi – dziś w najgłębszy kąt pokoju zasunięty, aż prostować się zdawał od zdumienia nad niepospolitością widoku, który tego wieczora roztoczył się przed nim. Ładna ślusarzowa, w różowym czepczku na czarnych włosach, przysiadła się do Szyszkowej i żywo, głośno, z częstym śmiechem i gestami o swoim szczęśliwym życiu domowym, o zdarzających się w nim przecież

często kłopotach gospodarskich, o chorobach, figlach, przedwczesnej i zadziwiającej mądrości małego synka swego opowiadała. Paulina, natychmiast prawie po swym wejściu, uczepiła się Stanisława Ginejki i przysadziła trochę, ale fertyczna, cała w loczkach, wstążkach, uśmiechach i błyskach oczu zapytywała go, czy wiele już razy kochał się w życiu? czy teraz w kim się kocha? czy woli brunetki albo blondynki? czy w tym mieście, z którego przybył, dużo jest przystojnych kawalerów? czy dobrze ona robi, że za męża idzie? bo przecież wiadomo, że mężczyźni to niegodziwe tyrany i brzydkie wietrzniki... On, po całodziennym rozmawianiu z babunią, rad był teraz porozmawiać z tymi pańszczykami, rozpaplanymi i rozchichotanymi ustami, a wzajemnie żartując, dziwne dziwy na zadawane mu pytania prawiąc, głośnym śmiechem wybuchając, w błękitne jak niezapominajki, zalotne oczy szwaczki zalotnie też zaglądał. Narzeczony zaś tej ostatniej żadnej na to wszystko uwagi nie zwracał, oddał się bowiem całej poważnej rozmowie z Aleksandrem i ślusarzem Michałem, gdyż, jak sam mówił, o społecznych sprawach lubił niezmiernie słuchać i mówić, a oni właśnie o zajęciach ludziom ich stanu dostępnych, o wartości i korzyściach różnych rzemiosł i przemysłów, o trudnościach i sposobach zdobywania odpowiednich umiejętności z ożywieniem rozmawiali. Gwar tych głosów rozmawiających, opowiadających, śmiejących się od sufitu do podłogi nappełnił nieduży pokój i wytworzył w nim atmosferę wesołości i przyjacielskiej poufałości, wśród której Jadwiga, zarumieniona i z rozbłysniętymi oczami, krzątała się około jak najlepszego przyjęcia gości. Przy najgorszych chęciach nie podobna by dziś było podobieństwa do cytryny w niej dopatrzeć. Żółtawa bladeść jej znikła pod lekkim rumieńcem, tak jak sztywność i suchość kibici ustąpiła przed lekkimi, żywymi ruchami. Jakkolwiek wołałaby pewnie, aby Ginejkowie byli jej jedynymi gośćmi, bardzo cieszyła ją z drugiej strony, że spędzą oni w jej domu jakąś wesołą chwilę i zobaczą, że ona uprzejmą, gościnną być umie. Przy tym po wielu latach nieustannej samotności i żmudnej bez wytchnienia pracy miała takie uczucie, jakby po długim przebywaniu w samotnej i ciemnej celi weszła do rześkiej oświetlonej i tłumnie wypełnionej sali balowej. Z podskokiem też do komody przybiegłszy, nieznacznie z szuflady jej wyjęła papierowego rubla i Ambrożową pchnęła do miasta po półrublową butelkę wina i po bułki. Kiedy bal, to bal! Niechaj ci dobrzy ludzie, którzy przyszli do niej i przez to jej sympatii swojej dowiedli, zobaczą, że dla gościnnego ich przyjęcia ona ostatniego choćby rubla nie żałuje. Potem co będzie, to będzie! I cóż ma być zresztą? Do roboty weźmie się ze zdwojoną ochotą i siłą – co teraz wydała, odpracuje. W samowar Ignas z całej siły dmuchał, nad ogniem po raz drugi dnia tego smażyły się kielbasy, Ambrożowa z miasta wróciwszy, więcej niż kiedy do pokornej i zwinnej myszy podobna, z kuchenki do pokoiów i na powrót biegając, z pomocą Ignasia i współdziałaniem Jadwigi w niespełną godzinę stół nakryła i zastawiła wieczrę. Herbata, wino (półrublowe), kielbasy, bułki, cytryna na cienkie krążki pokrojona, spodek masła i salaterka gotowanych śliwek – uczta obfita, prawie wspaniała i najpewniej bardzo rzadko widywana we wszystkich przegródkach tego kotła, którym były czworokątne mury tego domu. Toteż mieszkańcy tych przegródek bez ceremonii żadnej zachwyt swój nad nią wyrażali tak czynem, jak słowem. Kielbasę zajadali, do herbaty wrzucali cytrynę i wlewali wino, bułki masłem smarowali, śliwkami rozkoszowali się formalnie.

– Kiedy bal, to bal! To już prawdziwie powiedzieć można, że sąsiadka nas po świątecznemu uczęstowała! – twarde, wielkie wąsy co chwilę ocierając, z ukłonami w stronę Jadwigi zwróconymi powtarzał ślusarz Michał.

Żona jego dopytywała się u Jadwigi o sposób przyrządzania śliwek, bo takich smacznych jeszcze, jak żyje, nie jadła. Paulina zaś trzepała, że panna Jadwiga wystąpiła dziś z fetą, jakby to jej wesele lub zaręczyny były, a narzeczonemu przy pierwszej sposobności do ucha szepnęła:

– Żeby tylko po tej wielkiej wesołości wielkich ł z ó w nie było, bo ona w tym starszym Ginejce zakochała się po uszy, już ja to widzę!

Ale gdy narzeczony nie odpowiadał jej wcale, bo pochłaniała go rozmowa o s p o ł e c z e ń s k i c h sprawach, Paulina, od której na chwilę odwrócił się Stanisław, wołać zaczęła, że wszystkie te poważne rozmowy dobre na co dzień, a w święto trzeba bawić się, może by więc teraz i oni wszyscy w gry jakie pograli, a jeszcze lepiej choć trochę potańczyli, choć trochę... Rzecz dziwna, że na wspomnienie o tańcach blademu i flegmatycznemu urzędnikowi oczy błysnęły; Stanisław też na krześle podskoczył, a Jadwiga zarumieniła się ogniście, bo spostrzegła, że Oleś z drugiego końca pokoju prawdziwą błyskawicę spojrzenia na nią rzucił. Co moment zresztą i w którejkolwiek stronie pokoju była, spotykała się wzrokiem z jego szybkimi a jak błyskawica świecącymi spojrzeniami, rumienił się też często, wątek rozmowy gubił, czoło pocierał dłonią. Wszystko to wprawiało czasem Jadwigę w zamyślenie do upojenia podobne, a czasem wzniewało w niej gorączkową wesołość. W przystępie takiej wesołości w ręce klaskać zaczęła i wołać:

– Potańczmy! potańczmy trochę!

Lecz skądże wziąć muzyki, jakiegokolwiek choćby muzyczki, bo bez żadnej nie podobna przecież tańczyć?

Wtedy pewien różowy czepeczek, na pewnych czarnych jak heban włosach spoczywający, tryumfująco podniósł w górę swoje nie bardzo wykwintne kokardki.

– Michał na harmonijce zagra!

I wysmukła kobieta, w czarnej sukni i różowym czepeczku, do barczystego ślusarza przyskoczyła.

– Michał! skocz po harmonijkę! Słyszysz? Michał! Michasiu! jeżeli Boga kochasz...

Nie skoczył wprawdzie, ale głową twierdząco skinął i szerokimi krokami wyszedł z mieszkania, w którym powstał teraz większy jeszcze niż przedtem gwar zmieszanych głosów.

– Ileż nas jest do tańca?

– Sześć osób: trzech kawalerów i trzy damy!

– Mało!

– Aż nadto!

– Ja bym cały wieczór z jedną panią tylko tańczył, jak Boga Kocham!

– Powiem panu, że nie spodziewałem się, aby pan cudzą narzeczoną bałamucił!

– A czy pani nie wie, że koń zatargowany, a panna zaręczona – najdroższe?

– Ślicznie dziękuję za porównanie z koniem!

– Ale jakże będziemy tańczyć, kiedy stół pośrodku pokoju?

– Wynieść stół.

– Dokąd?

– Do sieni!

– W drzwi nie wlezie!

– Wlezie!

– Nie wlezie!

– Już zmierzyłem chustką! Wlezie!

– No, to wnośmy.

– Wnośmy!

Lampa na komodzie postawiona, pokój napełnia się wielkim tupotem nóg, trzech mężczyzn i dwie kobiety nieduży zresztą stół do sieni wnoszą, Jadwiga w obawie, aby maszyna do szycia szwanku nie poniosła, chwyta ją i wraz z pudłem wynosi za przepierzenie, gdzie znalazłszy się, śpiesznie stare swoje buciki zmienia na nowsze i grzebieniem matki włosy sobie nad czołem przygląda. W kilka minut potem tańczyli już przy siarczystych, choć trochę i piszczących dźwiękach harmonijki; a choć pokój dla trzech nawet par tancerzy okazał się tak ciasnym, że wzajemnego uderzania się o siebie łokciami i plecami uniknąć było nie podobna, nie stanowiło to dla nich przeszkody żadnej, owszem, wzmagало wesołość i ich zapal.

Jedna przecież w pokoju tym znajdowała się osoba, dla której ta powszechna wesołość zdawała się być trucizną. Była nią Szyszkowa. Zrazu spokojna i uprzejma lub wysilająca się na spokój i jak największą dla gości uprzejmość, w miarę wzmaganą się rozmów i śmiechów smutniała, milkła, stopniowo jakby utapiała się w myślach i uczuciach własnych. Zamiarowi tańczenia żadnych przeszkód nie stawiała, tylko kiedy ślusarz po harmonijkę poszedł, a młodzież z tupotem nóg i gwarem wesołych żartów stół wynosiła, zasunęła się w najgłębszy kąt pokoju i tuż przy białym, suchym szkielecie na krzeselku siedząc, posepną i nieruchomą się stała. Im weselej stawało się wkoło niej, tym grubszą chmurą czarne nioby spod białego czepek opadały na ciemne jej czoło, aż cała przemieniła się jakby w chmurę kawianej barwy, na której tle odbijała tylko białość czepek i mankietów. W te mankiety ręce zgrubiałe i ciemne wsunawszy, nie czyniła poruszenia najmniejszego, nie oddychała, zda się, tylko zaciśnięte jej wargi wraz z ostrym końcem nosa poruszały się prędko, prędko, aż pod wpływem uczuć czy myśli burzliwych a hamowanych formalnie latać w obie strony zaczęły. Nikt na nią uwagi nie zwracał. Kilka razy rozmiotana w tańcu suknia Pauliny o kolana jej uderzyła i nad samą jej głową rozległ się świeży śmiech ślusarzowej; kilka też razy Jadwiga z Aleksandrem lub urzędnikiem pocztowym przed samą jej twarzą okręcała się w polce lub walcu, tańczonym pod takt obertasa, ona zdawała się tego nie spostrzegać nawet i tylko coraz częściej i na dłużej przymykała powieki, jakby pragnęła zatrzymać w źrenicach zjawiający się przed nimi obraz innych, innych, dalekich twarzy i postaci. Podniosła je przecież i wyrzuciła z oczu płomień tłumionego jeszcze gniewu; gdy pokój napełnił się wybuchem nagłego, chóralnego śmiechu. Młode pary przestały tańczyć, urwała się muzyka ślusarza i wszyscy zanosząc się od śmiechu skupili się przy oknie, które z zewnętrznej strony okryło się całe mozaiką ludzkich twarzy. Najbliżej i najwyraźniej, do szyb jakby przyklejone, czerwieniły się tam wielkie twarze dwóch siostr dewotek (trzeciej coś zapewne przyjsć przeszkodziło); dalej brudną chustą okryta, dziwnie błogo uśmiechała się wynędzniała Ruchla, a girlandą otaczały ją dzieci różnego wzrostu, zza których jeszcze widać było zagapione twarze szewca i szewcowej, medytacyjny profil studiującego Talmud męża kramarki Lei, kilka par w powietrzu jakby zawieszonych, szeroko otwartych oczu, kilka pobłyskujących, przez młodzików jakichś palonych papierosów. Okno oświetlone, za którym grano i tańczono – był to dla tych ludzi ponętny i nadzwyczaj zajmujący teatr, ku któremu tłoczyli się oni i któremu się przypatrywali, nie zważając na mróz tęgi, który im zarumienił policzki i nosy, ani na śnieg, w którym powyżej kostek brnęli. Osoby tańczące spostrzegły nagle, że były aktorami zabawiającymi dość liczną publiczność, ale nie obraziło i nie zasmuciło to ich bynajmniej. Tak zwykle bywa: kiedy ludziom na smutek się zbierze, najlżejszy drobiazg dotkliwie ciężar jego zwiększa, kiedy na wesołość, najdrobniejsza iskra szumny i raźny płomień jej podnieca. Z gromadnego wybuchu śmiechu wybił się srebrny głos ślusarzowej wołający:

– Michał, graj! Czemużeś grać przestał? Graj, Michasiu, jeżeli Boga kochasz!

I nim grać zaczął, z ręką na ramieniu urzędnika pocztowego tak podrygiwała, że aż różowe kokardki czepeczka nad głową jej latały; Aleksander zaś Jadwigę ramieniem już otaczał, a Stanisław Paulinę nieco nawet do piersi przyciskał, przeciw czemu ona nie broniła się wcale, tylko na narzeczonego z ukosa zerkając do tancerza swego szeptała:

– Bo widzi pan, on jest bardzo z a j z d r o ś n y, a jak zmartwi się czy rozzłości, to zaraz fluksji dostaje...

Teraz ogarnął ich nieledwie szal tańca i śmiechu. Uciecha z rzadkiej zabawy przemieniała ją w prawie dziecienną swawolę. Wszyscy tancerze obtańcowali już z kolei wszystkie tancerki, które w rzadkich przestankach, bez tchu nieledwie chustkami do nosa wachlowały się i pot z twarzy sobie ocierały, aż Aleksander z Jadwigą, dla wywinięcia się może ze ściskających go dwu par innych, wpadł za przepierzenie; tu uderzył się z jednej strony o Ambrożową, a z drugiej o jej syna, którzy śpiesznie uciekając do kuchenki wpadli, i parę razy jeszcze w tym prawie ciemnym pokoiku tancerkę swoją okręciwszy, nagle przy samym owym kuferku z całej

siły ją objął i w ramionach jego zamkniętą, w usta i oczy całować zaczął. Temu uściśnieniu i tym pocałunkom nie bronila się ona, o, nie bronila się wcale, a jeżeli wówczas, o szarej godzinie, czuła to tylko, że przestaje być zatrutą jadem życia i że z niej spada nieszczęście samotności, teraz uczuła, że jest młodą, rozkochaną i nad miarę wszelkiego słowa szczęśliwą. Jakby wypila mocnego trunku, tak upojoną się uczuła; szary cień pokoiku zakłębił się jej przed oczami, obie ręce zarzuciła mu na szyję, do piersi jego przyłgnęła i po wiele razy oddała mu jego pocałunki. Nie mówili do siebie nic i zanim mieli czas cokolwiek sobie powiedzieć, tuż prawie przy sobie usłyszeli szelest bardzo cichych kroków i ujrzeli przesuwającą się postać, która w zmroku napelniającym pokoiik wyglądała jak czarne widmo. Była nim Szyszkowa. Szła powoli, zgarbiona, mniemając, że jest samą, bo w myślach zatopiona, nieobecności młodej pary pośród tańczących nie spostrzegła, tu zaś w szarym zmroku byli oni dla niej niewidzialnymi. Uszła tak kilka kroków i nagle z łoskotem kolan o podłogę uderzających u łóżka swego na klęczki upadła. Zarazem z piersi jej wychodzić zaczęły tłumione, przeciągłe jęki i westchnienia do łkań podobne.

– Mama! – szepnęła do Aleksandra Jadwiga, a Szyszkowa, jakby z twardego snu obudzona, krzyknęła:

– Kto tu?

– Ja, mammo...

I pogarnęła się do matki, a usiłując podnieść ją z klęczek, z prośbą w głosie zaczęła:

– Niech mama tak nie rozpacza, moja kocha... Nie dokończyła, bo czarna w zmroku postać popędliwie porwała się z ziemi i odtrąciła ją z taką siłą, że byłaby upadła na kuferek, gdyby jej Aleksander nie podtrzymał. Zarazem szept gwałtowny, świszczący, zjadliwy mówić zaczął:

– Śmierć, męka, nieszczęście, zgryzota, choroba! Czego ty chowasz się po kątach i matkę podpatrujesz? Pocieszać mię chcesz? Jezus, Maria! Mnie nikt nie pocieszy, zwłaszcza ty, co zamiast smuć się razem z matką i modlić się o odzyskanie braci, balujesz sobie, gości spraszasz, hece wyprawiasz... jak ta ostatnia, jak... jak... jak...

Szept jej splątał się i urwał, Jadwiga cicho, lecz z wewnętrznym jękiem wymówiła:

– Zawsze tak... zawsze... zawsze tak...

Aleksander, osłupiały, przerażony, milczał, Szyszkowa nie spostrzegając go zaszeptala znowu:

– Czegóż tu jeszcze stoisz? Plaga egipska! Czemu nie idziesz sobie? Do kawalera swego idź, do lubego, do ukochanego... Jezus, Maria... wydajże się przynajmniej za męż... choć raz... choć tę jedną pociechę zrób matce... Ale gdzie tam! Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się Ty nad nami! Alboż on ciebie weźmie? Czy ktokolwiek cię weźmie?... Jezus, Maria!...

– Chodźmy! – z gniewem i dość głośno odezwał się Aleksander – chodźmy stąd, Jadziu! To istna wariacja... niesprawiedliwość, krzywda...

Pociągnął ją ku drzwiom od przepierzenia, w których gdy stanęli obecne w pokoju osoby od pierwszego rzutu oka spostrzec musiały, że oboje mieli czoła gniewnie zmarszczone, a w oczach Jadwigi błyszczaly daremnie powstrzymywane łzy.

– Pokłócili się! Ot, już i zaczyna się po radości smutek! – szepnęła do narzeczonego Paulina.

– Powiem tobie, że mnie jej szkoda! – wachlując się chustką do nosa odszepnął narzeczoney. Ślusarzowa ku Jadwidze poskoczyła.

– Może mamie zrobiło się niedobrze, bo c o ś c i ś taka skrzywiona i przygarbiona z pokoju wyszła?

Jadwiga przypuszczenie to potwierdziła, a że pora była już dość późną i ślusarzowa o dziecko niezupełnie spokojną się czuła, więc poszeptala z mężem, z Pauliną i po wielu ukłoniach, pocałunkach, podziękowaniach całe towarzystwo mieszkanie Jadwigi opuściło. Poszedł

z nim i Stanisław, którego Paulina nagląco zapraszała, aby wraz z jej narzeczonym na pięć minut, na kwadransik mieszkanie jej odwiedził.

– Bo – mówiła – mam pokoik malutki, ale milutki, i chcę panu pokazać, jak na m a ł y m p r z e s t r z e n i u sprytnie urządzić się można.

W pustym pokoju Aleksander i Jadwiga obok siebie przy białym szkielecie siedzieli; lampa z daleka stojąca skąpe światło na nich rzucała, za oknem, tak jak w pokoju, nikogo już nie było. Byli sami, ale wesołość ani chęć do rozmowy im nie wracała. Schmurzeni i smutni oboje – milczeli. Zegar na ścianie wiszący wybił późną godzinę.

– Trzeba już iść! Pociąg o świcie wychodzi! Ona zbladła i ze spuszczoneymi powiekami siedziała jak martwa. W jednej dłoni trzymał jej rękę, na drugiej oparł zachmurzone czoło i długo w pobladałą twarz jej patrzył. Na koniec z ruchem niecierpliwości rzekł:

– Ot, kiedy człowiek gorzko żałuje, że pałacu żadnego kosztownego nie ma zbudowanego! Ba – dodał – gdybyż choć lada jaka, ale pewna chata... tymczasem jeszcze w powietrzu wiszę i... ani myśleć...

Przerwało mu stuknięcie drzwi otwieranych i głos Stanisława, który wołał:

– Oleś! Stół do pokoju nazad wnieśmy, aby Jadzia jutro kłopotu z tym nie miała... a potem marsz do spania, bo jutro pociąg o świcie wychodzi...

Zaprzagnęła zerwać się z krzesła, obu rękami schwycić się za głowę i krzyknąć:

„Jutro! ja nie chcę jutra, tego jutra, w którym już was nie będzie... i wszystko przeminie i... wszystko powróci!”

Nie uczyniła tego przecież, owszem, z uśmiechem, któremu przeczyła wilgoć źrenic i sztywność kibici, żartobliwie Stanisława zapytała:

– Cóż, Stasiu? Czy bardzo podobała ci się Paulina?

– Żeby tak pies płakał, jak ona mi się podobała! Lala – i koniec! Na godzinę zabawy dobra, ale na całe życie... hu, hu, hu!

Stół postawionym już był na swoim dawnym miejscu; Aleksander powolnym ruchem czapkę z wieszadeł zdejmował, Stanisław zapytał:

– Gdzież babunia?

– Jestem – ozwał się w drzwiach głos Szyszkowej. – Jezus, Maria! jak to smutno, że tak prędko odjeżdżać musicie...

Stali teraz wszyscy pośrodku pokoju, małomówni i pochmurni.

– Co trzeba, to trzeba! – rzekł Aleksander i schyliwszy się obojętnie pocałował rękę Szyszkowej, która też z niejakim zmieszaniem wzrok od niego odwracała.

Stanisław daleko czulej ją żegnał i ona też za szyję go objęła i całowała.

– Napiszcież przynajmniej – mówiła – choć kiedykolwiek do nas napiszcie... Męka, zgryzota... donieście nam co o sobie... jak tam znajdziecie... jak wam będzie... Jezus, Maria!...

Aleksander od rąk Jadwigi odrywał się i znowu ku nim ustami powracał.

– Nie martw się bardzo – po cichu mówił – nie trać zdrowia! Wszystko złe przeminie, a dobre nadejdzie! Tymczasem bądź, tak jak dotąd, cierpliwą i dzielną! Co trzeba, to trzeba!

Jej na usta wyrywała się prośba namiętna: „Napisz przynajmniej do mnie... napisz kiedykolwiek!” Ale jej nie wypowiedziała. Nie, choćby jej serce pęknąć miało, ona ani wywoływać przyrzeczeń jego, ani najmniejszym słowem narzucać się mu nie będzie! Bardzo błada, ze sztywną kibicią i rękami w gorących jego dłoniach jak lód zimnymi, zaszeptala tylko:

– Bądź zdrow, Olesiu... Niech wszystko pomyślnym ci będzie... Nikt ci na świecie lepiej ode mnie nie życzy....

Żadnej prośby i żadnej oznaki żalu, który ją warem łez wstrzymywanych napełniał! Szyszkowa za to, po raz drugi, do obu już braci mówiła:

– Napiszcież do nas, pamiętajcie, napiszcie... żebyśmy, Jezus, Maria! choć wiedziały, co się z wami dzieje!

Stanisław po kilka razy napisać przyrzekał, Aleksander, wzruszony i posepny, brata jednak do pośpiechu naglił.

– Stasiu! dość już tego! Chodźmy! Co trzeba, to trzeba!

W kilka minut później duża lampa była zgaszona, a pokój nappełniło słabe półświatło palącej się u łóżka Jadwigi świecy. Jadwiga jak senna chodziła, tu i ówdzie porządkując w nieład popadłe sprzęty, perkalową sztorę u okna spuszczać, gdy uczuła bardziej, niż zobaczyła, że Szyszkowa stanęła przy niej.

– I cóż? – zapytała szeptem.

– Co, mamó?

– Nie powiedział nic?

Rozumiała dobrze, o co matka ją zapytuje, odpowiedziała krótko:

– Nic.

– Śmierć, utrapienie, zgryzota, nędza! – zaszemrał szept zrazu świszczący; lecz potem coraz łagodniejszy. – Dlaczegoż, Jezus, Maria... i dlaczegoż nic nie powiedział?... Kiedy widziałam przecież sama, wyraźnie widziałam, że zajął się tobą... że bardzo mu się podobałaś... No, prawda, że, Jezus, Maria... biedny on chłopiec... stałego bytu nie ma... Bóg święty wie, jak mu tam jeszcze w tej fabryce będzie... Ale napisze... plaga egipska!... najpewniej napisze, a potem, Jezus, Maria! kiedykolwiek i sam przyjedzie! Co się odwlecze, to nie uciecze!

I gdy po bladych policzkach Jadwigi spod spuszczonej powiek spływał strumień milczących łez, ciemną ręką pogłaskała jej włosy i w czoło ją pocałowała.

Na dziedzińcu w pobliżu powstał hałas ze stuków i kłótni dwu głosów złożony. To szewc Jerzy z miasta pijany powracał, do drzwi domu swego się dobijał i grubiańsko kłócił się z żoną. Prawie jednocześnie nad sufitem przeraźliwie wrzeszczeć zaczęło najmłodsze dziecko kramarki Lei... Życie codzienne dniem wesołości i szczęścia przerwane, ze swoim mdłym i gorzkim smakiem – powracało...

V

Kilka miesięcy minęło, w mieście panował upalny sierpień. Twarde i okrutne było to panowanie. W powietrzu susza dławiąca i nieustanna kurzawa, na wąskich szlakach nieba nad ulicami błękit z gniewu jakby wyiskrzony i ani jednej rzeźwiącej chmurki; u dołu kamienie bruku ostro sterczące spomiędzy wyschłego piasku, czerwonawe, gorące; dokoła blask słońca, który nie mogąc rozlewać się po szerokich przestrzeniach powietrza i błoni, ogromny i oślepiający, rzucał się cały na białe i żółte mury kościołów i domów. Ludzi na ulicach było wielu, ale wszyscy oni szli ze spuszczoneymi lub mrużącymi się powiekami, z ciężko dyszącymi pierśmi, takim krokiem, jakby u nóg ich wlokły się kule z ołowiu. Jednak było ich wielu, chodniki ulic okryte nimi były jak mrowiem. Szli w różne strony z koszami, paczkami, węzełkami, piłami, kielniami; tu i ówdzie tylko z parasolami i parasolkami w rękach – bo tak samo, jak w mroźnych dniach zimy, ruszać się, zabiegać, kupować, sprzedawać, kłopotać się, pracować, słowem, żyć musieli.

Jednym z chodników niekiedy przez tłum popychana, częściej jednak przewijając się pośród niego zręcznie i wprawnie, szła młoda, chuda dziewczyna w szarej sukni i skromnym kapeluszu na gładko uczesanych i w duży warkocz splecionych włosach. W rękę niosła kosz spory i próżny, na czole miała żółtawe plamy, a na policzkach wypieczone przez upał rumieńce. Oddychała ciężko, powieki okrażone czerwonymi obwódkami przed blaskiem słońca przymrużała, ale szła krokiem osób z natury żywych a przez życie do ciągłego pośpiechu gnanych. Idąc i na nic z tego, co ją otaczało, żadnej uwagi nie zwracając, myślała, że jednak w stosunkach swoich z tymi, którzy jej dostarczają roboty, coś zmienić musi, bo ciągle nie wypłacają jej oni znacznej części umówionego zarobku i albo długo na nią oczekiwać, albo i całkiem tracić ją ona musi. Tak być nie może, to krzywda, której ona długo znosić nie myśli. Trzeba energiczniejszą stać się czy oględniejszą, w jakikolwiek, słowem, sposób zapobiec temu, aby niedobrzy ludzie strzygli ją jak owcę. Niedobrzy ludzie! po kilka razy powtarza sobie w myśli dwa te wyrazy i jak zawsze bywa, kiedy ją dotknie uczucie poniesionej krzywdy, od gniewu wrzeć zaczyna. Brwi jej i ręce, grubymi i podartymi rękawiczkami okryte, drgają, krok staje się jeszcze śpieszniejszym. W tym pośpiechu nie spostrzega krzyżującej się z nią kobiety z wielkim worem na plecach – i wór, w którym znajduje się coś twardego, tak silnie ją w bok potrąca, że aż przeciągłe syknięcie z ust jej się wydobywa. Na ból dotkliwy bynajmniej przecież nie zważając, ani na chwilę nie przystaje równie śpiesznie jak przedtem idzie dalej, tylko bez najmniejszej jej o tym wiedzy wzmaga on gniewne jej wzburzenie. Bo i doprawdy – myśli znowu – od Nowego Roku aż do połowy lata wiodło się jej wybornie, roboty miała wiele, tak wiele, że z dwoma, a nieraz i z trzema pomocnicami zaledwie wydołać jej mogła, i – cóż ma z tego? Przeżyła wprawdzie czas ten bez wielkiej biedy i kilkanaście rubli w zapasie posiada, ale nic więcej! Teraz zaś, od miesiąca, zaczęła się pora w całym roku najniekorzystniejsza i miesiąc jeszcze potrwa. Roboty umniejszyło się, pomocnice dawno już odprawiła, sama wprawdzie ma to i owo do zrobienia, ale zapasik niezawodnie wydać będzie musiała i jeszcze kto wie, czy wystarczy on do czasu, w którym te lafiryndy, które chcą stroić się, a szwaczkom połowę tylko należności wypłacają, zaczną sobie suknie i inne stroje na jesień sprawiać! Boże! gdybyż ta jesień prędzej już nadeszła! I roboty znów przybędzie, i skwary przeminą. Uf! jak gorąco! Pan Bóg, doprawdy, powinien by lata wsiom tylko dawać, a nad miastami zawieszać wieczne jesienie i zimy!

Wtem z otwartych okien jakichś suterren wydobył się i całą ją gęstym kłębem owionął tak silny i obrzydliwy swąd kuchenny, że zakrzuszyła się, w gardle ją zdławiło i lży jej do oczu nabiegły. Szybko minęła tłustym smrodem zionące okna i prawie już biegnąc wpadła znowu

w tuman kurzawy podnoszący się spod kilku ciągnących ulicą wozów. Boże! gdybyż ta jesień prędzej już nadeszła! Z dwojga złego, deszcz i błoto mniej są przykre od smrodu i kurzu. Niech tam sobie ci, co mieszkają na wsi, wiosnę i lato lubią... Jak ona dawno na wsi nie była, może już dziesięć lat... ostatni raz u Ginejków, kiedy to oni jeszcze swoją kolonijkę mieli... Przy tej myśli zwołała nieco kroku i rękę do czoła podniosła. Po co, po co to nazwisko tak często płacze się jej w myśli? Powinna by o nim zapomnieć, kazać sobie zapomnieć, bo przy wszystkich jej zmartwieniach i udręczeniach ten jeszcze ciężar w pamięci i sercu nosić – za wiele! Po co oni tu przyjeżdżali? po co ten dzień pamiętny przerznął jej życie jak szlak słoneczny, za którym i przed którym – ciemna noc? Dzień jeden, chwila, jakiś sen dziwny i – po wszystkim! Głupstwo! Nie ma ona czasu takimi głupstwami głowy sobie nabijać i czynić tego nie powinna, bo wie i czuje, że samej jednej o nich myśleć – jest wstydem i upokorzeniem. Toteż nie będzie, nigdy już najpewniej nie będzie! Postanawiała to już nieraz, ale jakoś dotąd nie mogła dotrzymać danego sobie przyrzeczenia. Teraz jednak dotrzyma... Oto i teraz już myśli o tym, jaki śmieszny kapelusz ma na głowie ta pani, która przeciwległym chodnikiem idzie i pieska z sobą na sznurku prowadzi... A ten człowiek z piłą na plecach, jaki zmęczony! zdaje się, że upadnie zaraz... zaś ta Żydówka z dwoma koszami pełnymi bułek na rękach bardzo do Ruchli... Ach!

Wewnętrzny wykrzyk ten wydawszy, jak wryta stanęła i szeroko otwartymi oczyma wpatrzyła się w młodego, zgrabnego mężczyznę, który w wysokich butach i grubej, zgrabnie skrojonej odzieży śpiesznie szedł po przeciwległym chodniku. To stanie i patrzenie trwało przecież zaledwie kilka sekund, po których, z ruchem zniecierpliwienia i blejsza nieco jak wprzód, iść dalej zaczęła. Czyż nigdy nie przestanie ona być głupią? Bo głupią być trzeba, aby proste i po przypatrzeniu się małe nawet podobieństwo tak ją wzruszało, że nogi jej drżą i szum w uszach tłumi turkot przejeżdżających dorożek! Z daleka jednak ten młody człowiek w wysokich butach był tak do niego podobnym, że pomyślała zrazu... Ale po przypatrzeniu się, zupełnie co innego... Daleko brzydszy, mniej zgrabny i włosy nie takie piękne, gęste... Najpiękniejszy jednak ze wszystkiego ma on uśmiech, taki miły, serdeczny, i oczy siwe, takie błyszczące a czasem tak przezroczyście i głębokie jakby z kryształu... Czy znowu?

Zawrzała gniewem, ale tym razem przeciwko samej sobie uczutym. Znowu myślała o tym... Woli wstydu za grosz chyba nie ma, jeżeli wstrzymać się od tych myśli i wspomnień nie może. Otóż może! Otóż przekona samą siebie, że cokolwiek sobie rozkaże, to i uczyni, co postanowi, to i spełni. Otóż i teraz myśli już o tym tylko, w jakim dziś stanie, po parogodzinnej na miasto wycieczce, matkę znajdzie? Bo od jakiegoś czasu zaczęła ona doświadczać jakichś osłabień i zawrotów głowy, chwilowych wprawdzie, ale coraz częstszych. Te srogie upały szczególnie jej szkodzą. Upały swoją drogą, a ciągła desperacja swoją. Wewnętrznie desperuje, a na zewnątrz wybucha coraz większą irytacją i zgryźliwością. Wszystko to musi zdrowie odbierać, zabijać! Broń Boże, zachoruje ciężko, co wtedy będzie? Ze też to człowiekowi nigdy tak źle na świecie nie jest, aby jeszcze gorzej być nie mogło! Jednak przy pożegnaniu powiedział on do niej: „Wszystko złe przeminie, a dobre nadejdzie!” Może to kiedykolwiek i nastąpi! Powinna by mu wierzyć, bo on dobry, szczerzy, szlachetny i pewno, pewno nie skłamał nigdy nawet spojrzeniem. Po cóż by okazywał to, czego nie czuł? Wie zresztą dobrze, że co okazywał – to podówczas i czuł naprawdę. Poczciwy, kochany, złoty... Czy znowu?

Z gniewu na samą siebie nogą o kamień bruku tupnęła i usiłując o niczym wcale nie myśleć w bramę domu wbiegła. Tu jednak zwołała kroku, bo nad paru schodkami znajdującymi się u drzwi mieszkania stróża spostrzegła żółtą jak bibuła twarz Ruchli, wychylającą się z narzuconej na głowę wielkiej, podartej chusty. Dla Ruchli pory roku zdawały się nie istnieć; ta sama zabłocona spódnica i brudna chusta służyły jej za ubranie zimą i latem. Spostrzegłszy Szyszkównę nie zmieniła siedzącej i skurczonej na wschodkach postawy, tylko wlepiając w nadchodzącą czerwone od płaczu oczy, głową tak wstrząsać zaczęła, jakby na zapytanie ja-

kieś dawała przeczące znaki. To wstrząsanie głową połączone z mruganiem powiek zdawało się mówić: „Jego tu nie było! On nie przychodził! ja tu ciągle siedziałam i wiem na pewno, że on nie przychodził.” Jadwiga rozumiała, co wszystko to ma oznaczać. Naturalnie! Alboż mogło być inaczej? Wprawdzie od świąt Bożego Narodzenia do wiosny i jeszcze przez parę wiosennych miesięcy spodziewała się... z każdej wycieczki na miasto wracając myślała, że może, może w czasie jej nieobecności... Ale od dość już dawna Żydówki o to nie zapytywała, naprzód dlatego, że ona jej pytanie zawsze już swoim trzęsieniem głowy uprzedza, następnie, że przestała sama spodziewać się listu. Niczego już nie spodziewa się, jednak gdy Żydówka przecząco głową trzęsie, doświadcza znowu takiego uczucia, jakby ostra i gruba szpilka lub igła przebijała pierś jej w tym miejscu, w którym znajduje się serce. Znowu – bo to samo zdarzyło się jej wczoraj, zawczoraj, przed tygodniem, przed miesiącem... Wie jednak dobrze, iż szpilek ani igieł nie wpina do stanika tak niezgrabnie, aby klucz ją mogły. To te przeczące trzęsienie głową Ruchli, jakkolwiek z góry była pewną, że się z nim spotka, takim ukłuciem przeszywa ją, zda się, na wskroś. Zatrzymuje się przecież przed skurczoną na wschodkach postacią i zapytuje:

– Czego to tak płakałaś, że aż oczy masz czerwone?...

Ruchla wydaje kilka jęków i kołysać się zaczyna w obie strony. Mąż jej, suchotnik, źle się w tych dniach ma, bardzo źle... już leży!...

– Więc dlaczegóż, moja Ruchlo, zamiast go pielęgnować, ty tu w bramie jak siedzisz, tak siedzisz?

– Już ja tak przywykła...

– Ależ wszystko to jedno; gdybyś i złapała kogo z robotą, mąż twój teraz przyjąć by jej nie mógł.

– Czemu nie? Nasz Mendelek i nasz Lejbele już szyją!

Jadwiga oburza się na myśl o takim szyciu, do jakiego zdolnymi być mogą szesnastoletni Mendelek i jeszcze młodszy od niego Lejbele.

– Takie dzieci! – woła z oburzeniem – po jakimuż one szyć mogą! Ależ taka robotą, jaką ich być może, to po prostu oszukaństwo...

Ruchla powoli ramionami wzrusza i ręce nieco rozkładając odpowiada:

– A co robić, kiedy u nas chleba nie ma?

Przez chwilę Jadwiga milcząc i w zamyśleniu stała przed skurczoną na wschodkach postacią, która w milczeniu także wznosiła ku niej swoje czarne, od płaczu spuchnięte oczy, aż do kieszeni sięgnąwszy, srebrną monetkę z niej wyjęła i na kolanach Ruchli wśród fałd brudnej chusty ją położyła. Wszystko to uczyniła bardzo szybko i śpiesznie odwróciwszy się, tak już prędko, jakby od czegoś uciekała, na dziedziniec weszła.

Teraz, w lecie, dziedziniec ten wcale inaczej wyglądał niż podówczas, w zimie. Pomimo skwarnie wyiskrzonego błękitu nieba nad dachami i oślepiającej pożogi słonecznej na czworokątnych ścianach domu powietrze było tu żółte i jakby dymne od kurzawy podnoszonej przez dwa wielkie roje bawiących się dzieci; to zaś suche, krztuszące powietrze napępiał wrzask niewypowiedziany, od owych dwóch rojów pochodzący. Jeden z nich jeździł na kijach, huśtał się na stosie desek, wzajemne gonitwy i bitwy wyprawiał u drzwi mieszkania pokątnego doradcy; drugi czynił to samo przed drzwiami krawca suchotnika i żony jego Ruchli. Pierwszy był złożonym z dzieci chrześcijańskich, drugi z żydowskich; wszystko jedno, oba wrzeszczały bez najmniejszego na uszy ludzkie miłosierdzia. Oprócz tego z otwartych okienek suterren wybuchały gęste pary, w których czuć było tłuszcz, czosnek, cebulę i mydliny; mydliny też, pomieszane z mnóstwem żółtych i czarnych odpadków, tu i ówdzie wąskimi strumieniami ciekły wśród ostro sterczących, od suszy i skwaru czerwonych kamieni bruku. Jadwiga parę strumieni takich, wysoko podniósłszy suknię, przeskoczyła, od kłębu kurzawy, który wpadł jej do ust i gardła, zakaszła, od wrzasku mijającego ją wielkim pędem dzieciniego roju w uszach jej zakłuło. Okropność! Żeby w tym piekle sto lat przeżyła, jeszcze by do

niego przyzwyczać się nie mogła, głównie dlatego, że było tak brudnym. Żeby już prędzej, prędzej jesień i zima nadeszły! W zimie ten dziedziniec bywa nawet wcale ładnym. Śnieg chłodny jest, ale czysty i przy blasku słońca iskrami jak brylantami świeci. Świecił tak właśnie wtedy, gdy ona z nim z kościoła wracała i stanęli w tym miejscu dla rozmawiania z Pauliną. Gdy stanęli, ona chciała rękę spod jego ramienia wysunąć, ale on ją z lekka ku sobie przycisnął, a jej w sercu zrobiło się tak dziwnie ciepło i rozkosznie... Tam zaś, na tamtym miejscu, podjął laskę ślepej staruszki, która potem tak grzecznie do nich przemówiła, i gdy w rękę oboje ją całowali, błogosła... Czy znowu?...

Nagle, jakby dla ukarania ją za myśl odpędzaną, a wciąż wracającą, z wielkim pluskiem tuż przed jej nogi wylał się z otwartego okna strumień cuchnących pomyj. Szybko suknię podniosła, odskoczyła i ku oknu owemu zwrócona, z gniewem zawołała:

– Wstydziliby się pani Jerzowa brudne rzeczy na dziedziniec wylewać!

Zza okna donośnie zapiszczał głos kobiety:

– A pani co do tego? Także znalazła się guwernantka! Niech każdy swego nosa pilnuje!

– Przed gospodarzem skarżyć się będę, bo pomyje pani wprost pod moje okna cieką!

– A skarż się, skarż się, wiele wlezie! Leć z donosami! Miła sąsiadka! jedza!

Z suknią wysoko jeszcze podniesioną i ustami od kurzawy, smrodu i kłótni wykrzywionymi, Jadwiga do mieszkania swego wbiegła, kosz przyniesiony ze stukiem na ziemię postawiła, zerwany z głowy kapelusz na komodę rzuciła i z głośnym stęknięciem na krzesło upadłszy, oczy, przed którymi latały roje czerwonych i złotych muszek, obu rękami przecierać zaczęła.

Za przepierzeniem ozwał się głos Szyszkowej:

– Czegóż tak stękasz i stukasz? Jezus, Maria! Zginienie zdrowia i życia! Czy nieprzyjemność jaką miałas? Czy taki humor ciebie napadł? A w mieście ze dwie godziny siedziałas! Myślałam już, że, Jezus, Maria, ktokolwiek panienkę na fetę zaprosił i na pierwszym miejscu przy stole posadził. Aż tu nie, przyszła, ale, śmierć, męka, zgryzota, w złym humorze! Jezus, Maria, czemuż nie odpowiadasz? Ja jej pytam się, czego ona stuka i stęka, a ona nie odpowiada! Plaga egipska!

Nie odpowiadała, zaledwie nawet słyszała słowa matki, bo i w uszach jej od wrzasku za oknami szumiało i po głowie wiła się myśl: „Jednak to być nie może, aby on nigdy już nie odezwał się do mnie... W tym miejscu, ot, tu, przy samej komodzie, pomagając mi futro zdejmować, za rękę mię ścisnął i szepnął: „Moja jedyna!” A potem, kiedy siadaliśmy do stołu, do tego, ot, tego krzesła przyskoczył i aż krzyknął: „Ja przy Jadzi!” Nie, to być nie może, aby on już nigdy...” Czy znowu?

Zerwała się z krzesła i teraz dopiero spostrzegła matkę w drzwiach przepierzenia stojącą. Przez ubiegłe miesiące Szyszkowa postarzała, zmizerniała, przygarbiła się, tylko włosy jej siwieć nie chciały i jak wprzód czarną chmurą zwisały nad ciemną, czerwonymi smugami zoraną twarzą. Wypukłe swe, piwne oczy w córkę wlepiając krzyknęła:

– Dlaczego nie odpowiadasz? Jezus, Maria! Ja pół godziny do niej mówię, a ona ani piśnie! Złość, męka, choroba, zgryzota! Czy to już matka rozmawiać z tobą niegodna? Czy może w języczek muszka jaka ukąsiła? Odezwiiesz się ty dziś do mnie czy nie? Śmierć, utrapienie...

– Przepraszam. Nie słyszałam. O co mama pytała się? – z roztargnieniem zaczęła Jadwiga.

– O co? o co? Jezus, Maria! Czego tak długo w mieście siedziałas?

– Robotę odnosiłam, zapłatę odbierałam, mama wie przecież, ile mi się od ludzi należy...

– Cóż? oddali?

– Nie chcę źle życzyć nikomu – z wybuchem zawołała Jadwiga – jednak chciałabym, aby oni choć raz w życiu skosztowali, jak krzywda smakuje!

Ze stukiem szufladę komody otworzyła i zwitek materii z niej wyjąwszy do szycia sposobić się zaczęła. Przez kilka minut zbierała i przygotowywała nici, tasiemki, igły; parę razy z turkotem pokręciła kółko maszyny. Szyszkowa tymczasem, powoli chodząc i podeszwami

starych trzewików klapiąc, na stole i na komodzie coś porządkowała, pył ścierała, przy czym trzęsła głową i ściśniętymi wargami poruszała. Na koniec ponurym lecz dość spokojnym głosem mówić zaczęła:

– I po cóż ty się tak zaraz do roboty bierzesz? Jezus, Maria! zhasałaś się po mieście, to od pocznij trochę. Wszystko jedno, jak te dwie suknie, które masz do zrobienia, skończysz, pluć i łapać chyba zaczniesz, bo przez jaki miesiąc jeszcze i pies do nas z robotą nie zajrzy! Każdego lata przecież tak bywa! Kiedy lipiec i sierpień przyjdzie, choć zęby na stole kładź... Męka, zgryzota, złość, nieszczęście, zginienie zdrowia i życia!

Jadwiga milcząc obrębiała jakąś nieskończenie długą falbankę. Szyszkowa stanęła przed nią i długo, w milczeniu także na nią patrzyła.

– Jak ty wyglądasz! – zaczęła znowu. – Jezus, Maria! lepszych do trumny kładą! Mizerna, żółta, opalona, oczy czerwone, ręce aż czarne... Wstyd, żal, zgryzota! Serce kraje się od patrzania na ciebie! Młodości po tobie nie znać...

– Cóż robić, mam? – rozdrażnionym głosem przerwała Jadwiga. – Nic nie pomoże wyrzekać na to, przeciw czemu rady nie ma.

– Nie ma? – sarknęła Szyszkowa. – Jezus, Maria, czyż nie ma?

I umilkła, ale znać było, że gryzła w sobie jakiś żal i jakąś gorycz, którymi wnet wybuchnąć musiała. Wybuchnęła też:

– Śmierć, niedola, wstyd, złość, utrapienie! Jest rada, jedna jest tylko rada dla kobiety, ażeby z biedy i nieszczęścia wyleźć... a ty wiesz jaka! Wiesz ty dobrze i rozumiesz, o czym ja mówię... Oho! rozumu masz dosyć... wiesz, rozumiesz, czego ja pragnę, czekam, u Pana Boga jak zbawienia duszy wymadlam... wiesz dobrze... plaga egipska...

– Wiem – nagle głowę podnosząc zawołała Jadwiga – ale tyle, tyle, tyle już razy prosiłam, aby mama o tym nie mówiła!...

– Nie mówić! mam o tym nie mówić! Złość, hańba, zgryzota! I dlaczegoż to matce gębę zamykać każesz? Jezus, Maria, czy dlatego, aby mi pokazać, że jestem...

– Dlatego, mam, tylko, tylko, tylko dlatego, że mię te wieczne wymówki mamy, iż za mąż nie idę, ranią, obrażają, upokarzają...

– Obrażają! upokarzają! Jezus, Maria! Boże, zmiłuj się Ty nad nami! A cóż ty winna, że ciebie tak Pan Bóg stworzył, iż nikomu prawdziwie podobać się, nikogo do siebie przywiązać nie możesz?...

– Boże, cierpliwości, cierpliwości, cierpliwości! – syknęła Jadwiga.

Ale Szyszkowa, cała naprzód podana, ramionami zamachała:

– Sycz czy nie sycz, a ja prawdę zawsze mówić będę! Jezus, Maria! czy to ja sługa twoja jestem, abym ci prawdy powiedzieć odwagi nie miała! Serca masz mało, łagodności nie masz, miłego obejścia się nie masz i dlatego, śmierć, choroba, zgryzota, nieszczęście, jeden wolał tę frygę Paulinę niż ciebie, a drugi...

Jadwiga zerwała się z krzesła i dłońmi za czoło chwyciła.

– Zrywaj się czy nie zrywaj się – krzyczała Szyszkowa – a sama winna jesteś, że, Jezus, Maria, na koszu osiadasz. Dwadzieścia pięć lat już panience, a panienska jeszcze fumy stroi... Kiedy poczciwy chłopiec, który nią zajął się, odjeżdża, ona stoi jak martwy kołek i ani jednego miłego słowa do niego nie pisnie... Myślisz może, że ja tego nie widziałam, nie uważałam... oho! plaga egipska!...

– Nie mogę tak myśleć, bo mi to mama już wiele razy powtarzała...

– No, więc dlaczegoż tak zrobiłaś? Jezus, Maria! Zginienie zdrowia i życia, jakie głupstwo do głowy ci przyszło?

Jadwiga twarz podniosła, oczy jej ostro błysnęły.

– To do mnie tylko należy! – zawołała.

Ale teraz Szyszkowa po prostu w furię już wpadła.

– No, to i ciesz się! – krzyczała – no, to i zobaczysz go, jak swoje ucho bez lustra! Pojechał i jasnej panience zyg, zyg marchewka pokazał, zyg, zyg marchewka...

Teraz Jadwiga obie dłonie do serca przycisnęła i była bardzo blada.

– Niech mama przestanie... moja mamó, niech mama o tym nie mówi...

Ale do ciemnej twarzy Szyszkowej krew nabiegła i zachwiała się ona na nogach.

– Cóż? Jezus, Maria, odezwał się może, napisał?... Jezus, Maria, czy choć raz napisał?... Aha! aha!... Kiedy bracia nie pisali, ty tryumfowałaś, że oni tacy źli, a ty taka dobra... dobra... Teraz... Plaga egipska... Boże, zmiłuj się Ty nad nami... sama spróbuj, jak to smaczno... kiedy... kiedy... Plaga egipska...

Ostatnie słowa wybełkotała prawie i znowu tak się zachwiała, że zdawało się, iż na ziemię upadnie. Jadwiga poskoczyła i w obu ramionach ją podtrzymała.

– Znowu ten zawrót głowy!... Niech mama położy się trochę...

Ale Szyszkowa umocniła się już na nogach, do zwykłej cery swej powróciła i usunęła ją od siebie.

– Już przeszło... Jezus, Maria... to od upału... nie trzeba mnie kłaść się... przejść się, owszem... wyjść stąd, z tej dziury... przejść się po świecie, po powietrzu... ach... ach, ach, Boże, zmiłuj się...

Stękając, wzdychając, ale zwykłym krokiem i ze zwykłą siłą za przepierzenie poszła. Jadwiga odprowadziła ją do drzwi wzrokiem niespokojnym i na krześle usiadłszy, znowu do rąk, trzęsących się jeszcze od wzburzenia, robotę wzięła. Ale zaledwie kilkadziesiąt ściegów zrobiła, Szyszkowa, w wielkiej czarnej chustce na codziennej sukni, w czarnym kapeluszu ze starym piórem i z książką do nabożeństwa przyciśniętą do piersi, w drzwiach stanęła.

– Na nieszpory idę – oznajmiła. Nic w tym dziwnego nie było; często chodziła ona na nieszpory, ale teraz Jadwiga niespokojną się uczuła.

– Może mama pozwoli, abym z mamą poszła? – zapytała.

– Nie trzeba! Nikogo fatygować nie chcę i żandarmów, aby chodzili za mną, nie potrzeba! Jezus, Maria! Tobie to przydałby się adiutant, co by już ciebie przez całe życie nie opuszczał... tylko że nie ma jego i nie będzie... A ja nie zwariowałam jeszcze, sama do kościoła trafię!

Poszła i Jadwiga przez okno widziała, jak pod swoją czarną chustką przygarbiona, z książką do nabożeństwa u piersi, dziedziniec przeszła i w bramie zniknęła. Względna cisza, która zapanowała w mieszkaniu, sprawiła Jadwidze ulgę. Z dziedzińca wprawdzie dochodził ją bezustannie przeraźliwy wrzask bawiących się dzieci, do którego przyłączały się niekiedy donośne głosy kłócących się lub z oddalenia rozmawiających z sobą kobiet, ale w tych czterech ścianach przynajmniej cicho było i była ona samą. Czas jakiś szyła pilnie, potem z obrębianą falbanką w ręku zbliżyła się do manekina, który dnia tego przedstawiał zgrabną i wystrojoną panienkę bez głowy. Do nie skończonej jeszcze sukni tej panienki Jadwiga klęcząc przykładała i przymierzała tylko co obrębianą falbankę; potem nieco szpilek do ust nabrawszy, ałtasowe ubranie przy zgrabnym staniczku poprawiała i przypinała; a potem ogarnęło ją zamyślenie tak nieprzeparte, że na ziemi przysiadłszy, z falbanką w jednym ręku, a czołem na drugie opuszczonym, u stóp panienki bez głowy znieruchomiła. Nie, to być nie może, aby wszystko skończyło się już na zawsze. Wprawdzie jeden dzień tylko spędzili razem, ale w dzieciństwie i pierwszych latach młodości często bywali razem i on zawsze okazywał dla niej wielką sympatię. Ileż razy powtórzył teraz: „Pysnie we wszystkim zgadzamy się z sobą!” I istotnie, mieli oni jednostajne gusty i jednostajne o wszystkim zdania. W dodatku zaś – sympatia! Ją do niego, a jego do niej zawsze od dzieciństwa coś pociągało, a teraz, gdy po wielu latach zobaczyli się dojrzałymi już ludźmi, więcej niż kiedykolwiek, mocno, o, jak mocno pociągnęło. O sobie wie ona dobrze, że poszłaby za nim przez góry i lasy, do piekła choćby, ale że i on również względem niej czuł to samo, była tego pewną. Więc dlaczegóż, dlaczegóż?...

Spostrzega, że znowu głowę jej napełniły myśli, których tyle razy sobie wzbraniała, ale tym razem nie walczy już z nimi, owszem, dobrowolnie, świadomie pograża się w nich cała z głową i sercem, miękko im się poddaje jak niewymownie słodkiej pieszczocie. „Jedyne to moje szczęście!” – myśli i z rozkoszą wpatruje się w obraz, który wyobraźnia stawia przed nią z wielką wyrazistością kształtów i rysów. Rysy te podobają się jej bardzo, najbardziej dlatego, że przegląda przez nie szczery, czysty, odważny charakter. W siwe, ogniste oczy, osadzone pod czołem szerokim i ogorzałym wpatruje się tak długo, że aż w ich głębi spostrzega wielką dla siebie czułość. Potem wzrok jej z siwych oczu spuścił się ku rumianym ustom, ciemnopłowym wąsem ocienionym i tak długo na nich spoczywał, aż na swoich ustach uczuła całe płomień i cały miód ich pocałunku. Wtedy już oczy dłonią zakryła, bo stało się z nią coś takiego, jakby miała zemdleć, lecz nie z osłabienia, tylko przeciwnie, z gorącego i zarazem niewymownie miłego upojenia, które rozlało się po jej żyłach i uderzyło do głowy zupełnie tak, jak wtedy, w ciemnym pokoju, po walcu przetańczonym pod takt obertasa.

Zerwała się z ziemi dziwnie zmieniona. Rumieńce pokryły żółtawość czoła jej i policzków, oczy spod nieco zaczerwienionych powiek jaśniały błękitem turkusów, blade usta rozwierał uśmiech. Wyprostowała się też i gdy w stojącej już postawie kilka jeszcze szpilek do stanika panienki bez głowy wpinała, ruchy jej były zgrabne i gibkie. „Nie – myślała – to tak przejść i skończyć się nie może. Daremnie tylko martwię się i desperuję. Że nie napisał dotąd? cóż ważnego! Ślusarze do pisania nie muszą być skorzy. Pracuje zapewne bardzo, bardzo, aby był swój w fabryce ustalić, a spracowaną i stwardniałą ręką za pióro chwycić nie łatwo... Z dnia na dzień odkłada, ale kiedykolwiek przecież zbierze się na czas i ochotę i – napisze...” Wśród tych myśli, cicho, nieśmiało przewinęła się jeszcze jedna: „Może sam przyjedzie!” I śmielej trochę snuła się dalej: „No, nie tak prędko zapewne, nie jutro lub pojutrze, ale kiedykolwiek... może w zimie... może znowu na wigilię...” Na koniec rozwinęła się już zuchwale: „Prędzej czy później, przyjedzie niezawodnie... Przrzekać cokolwiek, na pewno zamierzać jeszcze on nie może... Pałacu kosztownego żadnego nie ma zbudowanego, a nie do takich należy, którzy przrzekają i zamierzają na wiatr... Przy pożegnaniu mówił przecież: – „Bądź jak dotąd dzielną i cierpliwą! Złe przeminie, dobre nadejdzie.” I pewno nadejdzie. Rozumniejszy i odważniejszy on jest ode mnie. Ja choć niby staram się nie być cielęcim, co moment w smutku i desperacji wpadam... A jednak z doświadczenia wiedzieć powinnam, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki. Na wszystko cierpliwie czekać trzeba. E! wszystko jeszcze będzie może dobrze!...”

Żywo, prawie z podskokiem zbliżyła się do stołu i usiadłszy, drugą falbankę obrębiać zaczęła. Naturę miała sprężystą, która do samej, zda się, ziemi ugięta zawsze odginać się i wyprostowywać usiłowała; młoda była i młodość jej odzyskała w tej chwili najwyższe swoje prawo i dobro – nadzieję. Z błękitnymi wciąż jak turkusy oczami i uśmiechem wijącym się po ustach obracała kółko maszyny, którego turkot wydawał się jej wesołym. Jakże wiele bowiem, jakże wiele kółku temu zawdzięczała! Był swój i matki, możliwość hardego noszenia niezależnej od nikogo głowy i jego szacunek... Szacunek tego pracowitego, niezależnego chłopca, który by przecież próżniaczki i żebraczki pokochać nie mógł!... „Kręć się więc, kochane kółko, kręć się raźnie i żywo, a ja przez całe życie, od rana do wieczora, obracać cię gotowam, bylebym tylko w turkocie twoim słyszała śpiew nadziei: „Ktoś mię kocha, ktoś o mnie myśli! Złe przeminie, dobre nadejdzie!”

W turkot maszyny wmieszał się trochę piskliwy, trochę ordynaryjny, ale bardzo żywy i szczebiotliwy głos, który w drzwiach pokoju przemówił:

– Dzień dobry pannie Jadwidze! Jak się panna Jadwiga ma? Wybierałam się do pani, wybierałam się jak czajka za morze i może bym jeszcze nie wybrała się, bo i ślubną suknię na łeb na szyję kończę, i pan Bolesław wiecznie mię za spódnicę trzyma, ale takie mam dla pani nowiny, takie nowiny, że już koniecznie muszę je pani opowiedzieć...

Przysadzistsza jeszcze niż wprzód, bo przez upłynione miesiące nieco utyla, ale też więcej niż kiedy fertyczna i wystrojona, Paulina, z szelestem jasnej, wykrochmalonej sukni i filuternym, tajemniczym śmieszkiem, obok Jadwigi, która uprzejmie ją powitała, usiadła.

– Pani sama? a gdzież panny do szycia? Toż ich pani tyle ciągle potrzebowała! Aha! teraz niepotrzebne! W tej porze zawsze nikt roboty nie ma. Otóż to, psie życie szwaczek, niech jego diabli wezmą! Wolę ja za mąż iść, przynajmniej o te wrony i ich głupie suknie dbać nie będę! Sobie samej szyć, to i owszem. Caluteńką wyprawę już sobie uszyłam, a żeby panna Jadwiga wiedziała, jaka moja kaszmirowa suknia śliczna... z dżetami...

– Ale pani ma dla mnie jakieś nowiny – przerwała Jadwiga.

– Ajej! cały worek nowin, taki duży, że ledwie go idąc tu udźwignęłam...

– A czy dobre?

– Są dobre i są złe. Nawet przyznam się pani, że nie wiedziałam sama, czy wszystko pani powiedzieć, czy nie wszystko. Ale pan Bolesław radził, żeby powiedzieć wszystko. „Powieм tobie – mówi – że panna Jadwiga powinna o wszystkim wiedzieć; ale co się tyczy starej, to powiem tobie, że bądź ostrożna.”

Jadwiga, która dla rozmawiania z gościem maszynę porzuciła i zaczęła w rękę materię jakąś zszywać, rękę z robotą na kolana opuściła.

– Pewno cokolwiek o moich braciach!... A! prawda! Wszakże to pan Bolesław po papiery swoje tam jeździł. Czy już powrócił?

– Zawczoraj powrócił. Papiery przywiózł i teraz poszedł do kościoła na zapowiedzi dawać. Jutro pierwsza nasza zapowiedź wyjdzie. Ach, jak to śmiesznie będzie z ambony spadać!...

Chusteczkę do ust podniosła i tak długo chichotała, że Jadwiga, szyjąc znowu, ozwała się:

– Jakież to nowiny? Może pan Bolesław widział którego z moich braci?

Paulina ciągle chichotała.

– Co to panna Jadwiga ciągle pyta się tylko o braciach i o braciach. Są przecież na świecie bracia r o d z o n e i n i e r o d z o n e. Ja mam nowiny o rodzonych i o nierodzonych. Są między nimi dobre i są złe... które pierwej mówić: złe czy dobre? Ej, naprawdę, to jedna tylko nowina moja zła, a dwie dobre, ojej, jakie dobre; wesole...

Obejrzała się po pokoju.

– A gdzież mama?

– Na nieszpory poszła...

– To i dobrze, bo pan Bolesław kilka razy mnie przykazywał, żebym pani jednej tylko wszystko opowiedziała, a potem niech tam pani sama, co chce, matce mówi, a czego nie chce, nie mówi!

– Więc to coś bardzo złego?

– Jest i złe, ale dobrego więcej, a przecież umówiliśmy się już, że zacznę od dobrych nowin... Ale o kim pani chce, abym pierwej powiedziała: o rodzonych braciach czy o nierodzonych?

Jadwiga bardzo niespokojna niecierpliwie odrzuciła:

– Wszystko jedno. Niech już pani tylko choć raz powie, o czym tam pan Bolesław dowiedział się.

Obie tą żywą rozmową zajęte i od okna nieco oddalone, żadnej na nie uwagi nie zwracały i nie spostrzegły, jak przez dziedziniec przewlekła się stara, przygarbiona kobieta, w kapeluszu ze starym piórem i z książką do nabożeństwa u piersi. Do połowy tylko nieszporów w kościele była, bo uczuła się tak słabą i zmęczoną, że modlić się było jej nie podobna.

– No, to dobrze – trzepała Paulina – kiedy pani wszystko jedno, to ja od nierodzonego brata zacznę...

Teraz drzwi od podwórza, a potem drugie, z sionki do kuchni prowadzące, stuknęły, ale Jadwidze tak gwałtownie serce bić zaczęło, a Paulina tak głośno i prędko mówiła, że obie tego nie usłyszały.

– Bo to widzi pani, pan Bolesław calutkie dziesięć dni tam przebył, tak z tymi papierami było trudno. Jak przyjechał już tu, to zaraz na w o g z a l u mówi do mnie: „Powiem tobie, że tylko co tam z nudy nie umarłem.” Otóż z nudy w z i a ł i zaczął do różnych tam dawniejszych swoich znajomych chodzić. U jednych takich znajomych, co to jeszcze z jego rodzicami podobno w przyjaźni żyli, patrzy: staruszka jakaś siedzi, bardzo miła podobno staruszka, różowieńka taka, wesoleńka, ale biednieńko, biednieńko sobie ubrana. Pyta się on: „Kto to taki, ta staruszka?” Aż jemu mówią, że to pani Ginejkowa. Dobrze. Podszedł do niej, zarekomendował się i mówi: „A ja synków pani dobrodżiki tam i tam, wtedy i wtedy widziałem.” I zaczął pięknie, grzecznie – już to on zawsze jest bardzo grzeczny – panów Ginejków chwalić. Pani Ginejkowa też dużo jemu o swoich synach naopowiadała. Powiedziała, że chwała Bogu zdrowi, że często do niej pisują, że powodzi się im w fabryce nie tak to bardzo dobrze, ale i nie tak to bardzo źle, że w tym miesiącu mają już ją do siebie sprowadzić, bo i jej bardzo już ciężko samej żyć, i im gospodynia w domu zda się, że pan Stanisław po nią przyjedzie, a pan Aleksander już po oświadczeniach z jedną tam panną w sąsiedztwie i wkrótce ożeni się...

Jadwiga, która przez cały czas szczebiotania Pauliny ze spuszczoną głową prędko, coraz prędzej szyla, teraz twarz podniosła.

– Z kimże to żeni się mój krewny? – zapytała głosem trochę cichym, ale zupełnie pewnym, przy czym oczami nieco rozszerzonymi na Paulinę patrzała.

– Podobno z jakąś panną z sąsiedztwa... córką obywatela... no, takiego sobie małego obywatelka, która w nim zakochała się okropnie i przeciw woli rodziców za niego idzie, bo ma się rozumieć, że rodzice nie pozwalali jej za rzemieślnika wychodzić... Ale ona powiedziała, że jeżeli nie pozwolą, to ona otruje się, więc wzięli i pozwolili. To wszystko pani Ginejkowej opowiadała jedna pani, co z tamtych stron, gdzie ta fabryka jest, przyjechała, i jeszcze opowiadała, że pan Aleksander dobrą partię robi, bo to i obywatelska córka, i z posagiem, i że ta panna bardzo, bardzo ładna... A co, czy zła nowina?

– Owszem, bardzo dobra. Bardzo cieszę się, że mój krewny tak pomyślnie się żeni...

Paulina ze zdziwieniem, które oczy jej do naiwnych oczu dziecka podobnymi czyni, wpatruje się w tę, która tak spokojnie, tak nadzwyczajnie spokojnie słowa te wymówiła. „Święty Boże! – myśli – czy ona nie była w nim zakochana, czy tak prędko zapomniała? M u s i b y ć zapomniała! m u s i b y ć i wcale w nim nie kochała się, tylko bałamuciła go, męża sobie złapać chciała!” A ta, o której wietrzna szwaczka tak myśli, także we wnętrzu swym po wiele razy wykrzykuje imię Boga: „Boże! Boże! Boże!” Ale oprócz tego wykrzyku żadnej myśli w głowie nie ma, i w uszach jej od silnego bicia serca szumi okropnie. Obie też nie słyszą cichego, bardzo zresztą cichego szelestu za cienką ścianą przepierzenia.

Paulina dalej trzepać zaczyna:

– Widzi pani, nie nasze jedne weselisko wkrótce nastąpi. Będzie drugie i jeszcze trzecie. Aha! pani jeszcze nie wie, jakie to będzie trzecie! A ja zaraz nie powiem. Niech panią troszkę ciekawość pomęczy. Może pani na wesele starszego pana Ginejki pojedzie?

– Może pojedę... jeżeli zaproszą – z uśmiechem (który znowu Paulinę nadzwyczaj dziwi) odpowiada Jadwiga i zaraz potem zapytuje:

– A o braciach moich... rodzonych... (znowu uśmiecha się) co pan Bolesław słyszał? Może nawet którego z nich widział?

– Widzieć, nie widział, ale słyszeć, to dużo słyszał, ajej, jak dużo i takie rzeczy... takie rzeczy, że pani będzie i bardzo ucieszona, i bardzo zasmucona. Tak to zawsze na świecie bywa. Nie ma pociechy bez ł z ó w. I ja cieszę się, że za mąż idę, a jednakowoż czasem taka mnie desperacja o g a r t u j e.. No, co pierwiej pannie Jadwidze powiedzieć: wesołe czy smutne?

– Wszystko jedno – tym razem bardzo już cicho odpowiedziała Jadwiga.

– No to od wesołego zacznę. Smutne niech będzie na końcu.. Co tam! im później zmartwić się, tym lepiej... Otóż pan Bolesław od jednego swego znajomego, który jest bardzo dobrym znajomym braci pani, słyszał, że młodszy brat pani, ten, który w wojsku jest, pan Józef, po-

dobno żeni się... A co? ot, i trzecie weselisko! Czy nie mówiłam, że i trzecie weselisko będzie! A jak on żeni się? z kim? ot, sztuka! Słyszę, z jakąś bogatą, bogatą kupcową... w jakimś takim mieście, którego i nazwiska zapamiętać trudno... Tam, wie pani, wiele jest takich bogatych, bogatych kupców... Otóż ta, z którą on żeni się, zakochała się w nim, słyszę, dlatego, że bardzo ładny, a rodzice nawet nic przeciw temu nie mieli, bo oficerem on przecież jest... porucznikiem czy co? Jakies takie wielkie pieniądze w posagu jej dają, że już nawet nie pamiętam wiele, pojazd i konie słyszę, kupują dla niej i brylanty wypisują, i futro z błękitnych lisów. Wszystko to pan Józef do swego znajomego pisał, że już na pewno i że w przyszłym miesiącu ślub nastąpi, i prosił jeszcze tego znajomego, żeby jemu doniósł, gdzie teraz mama jego i siostra znajdują się, a ten znajomy mówił panu Bolesławowi, że pewno on, takim bogatym zrobiwszy się, paniom c o ś c i ś przysłać zamierza... pieniądze może, a może piękny prezent. Ot, moja panno Jadwigo, żeby to braciszek futro jakie pani stamtąd przysłał, tam takie śliczne futra, albo jedwabnej materii na suknię... Pewno i przyśle coś ślicznego! A co? zła moja nowina? Cóż? bardzo pani ucieszona?

Szklistymi oczyma zapatrzona gdzieś daleko Jadwiga głową poruszyła. Nie wymówiła ani słowa, bo ledwo słuchając tej drugiej nowiny, niejasno, dorywczo jakby, myślała, co by takiego znaczyć miał czarny cień, który za drzwiami przyległego pokoiku na podłogę kładł się? Wyglądał on tak zupełnie, jakby był cieniem jakiegoś podsłuchującego za ścianą widma, ale wiedziała o tym, że tam żadnego widma ani też żadnej żywej istoty nie ma, więc szklisto w tę stronę patrząc myślała tylko: „Boże, Boże, Boże, zlituj się nade mną! Boże, Boże, Boże!”

– Oho! cościś pani wcale nie ucieszona! A ja żebym na pani miejscu była, to bym bardzo cieszyła się... Co to, z biednego chłopca takim bogaczem zrobić się, czy to żarty? Ale panna Jadwiga pewno tak samo myśli jak pan Bolesław; bo on bratu pani takiego żenienia się bynajmniej nie pochwała, mówi, że to źle tak zaprzedać się i że taki postępek to jakies przewierstwo przeciw s p o ł e c z e n i s k i m sprawom. A kiedy ja jemu sprzeciwiać się zaczęłam i mówić, że pan Józef dobrze robi, bo co tam! to, o czym on myśli, jest głupstwem, on mnie tak wykrzyczał, że niech Pan Bóg broni. „Powieś mi, mówi, że głupia jesteś, i że gdybym nie wiedział, że przez głupotę tylko tak gadasz, to słowo daję, jeszcze dziś rozstałbym się z tobą”. Ja też myślałam, że on jeden na świecie taki dureń, aż tu widzę, że i panna Jadwiga także zasmucona... No, moi państwo! jak to na świecie bywa! Co dla jednego wesołe, to dla drugiego smutne. A cóż to będzie, jak ja moją trzecią nowinę powiem... naprawdę już smutną? Ale cóż robić? Muszę powiedzieć, bo pani siostrą jest, więc wiedzieć powinna, co z braćmi dzieje się... Pan Bolesław dowiedział się, że starszy brat pani, pan Władysław podobno w turmie siedzi...

– Już! – syknęła Jadwiga i nisko pochyliła się naprzód, bo ten cień, tam na podłodze, jakby zakotłosał się... „Czy tam kto jest?”

Chciała wstać, ale nogi jej tak drżały, że zaraz znowu na krzesło opadła i tylko szepnęła:

– Niech pani ciszej mówi...

Ale Paulina cicho mówić nie umiała. Zniżyła wprawdzie głos, lecz tyle tylko, że nie krzycząc już, trzepała dalej:

– Już to wiadomo, że on takim sobie... pokątnym doradcą był, ale do tego czasu dobrze mu się powodziło, bo, słyszę, bardzo sprytny... Ale teraz, słyszę, w łajdacki jakiś interes wlaźł... fałszerstwo jakies czy co? z którego miał wielkie pieniądze zyskać... Tylko, że j a k o ś c i ś łajdactwo odkryli i mach! jego razem ze współnikami do turmy wpakowali. Sąd, słyszę, będzie bardzo srogi... Mówią tam, że może i do katoggi...

– Jezus, Maria! co to? – krzyknęła Jadwiga i porwała się na równe nogi, a to samo za nią uczyniła i Paulina, po czym ku drzwiom od przepierzenia rzuciły się obie.

Za tymi drzwiami kołyszającego się tam przed chwilą na podłodze cienia nie było, bo pokrywała go sobą całkiem czarna, wielką chustą okryta postać kobieca. Bez krzyku, prawie bez stuku, z przeciągłym tylko jękiem, jak drzewo powoli toporem podcinane, chyliła się

ona zza ściany, chwiała się, chyliła, aż legła w całej długości swej rozciągnięta, twarzą ku ziemi.

W parę minut potem Paulina wypadła na dziedziniec, przerażona, czerwona, i do ślusarzowej, która z dzieckiem na ręku przed drzwiami mieszkania swego stała, z rozpostartymi rękami biegnąc, na cały dziedziniec krzyczała:

– Pani Michałowo! na miłość boską, niech ktokolwiek od was po doktora leci! Szyszkowa zachorowała, musi być umiera, czy co? bo jak długa na podłogę padła i podnieść się sama nie może! Ja bym poleciała, ale tam córka sama jedna... trzeba jej pomóc!...

I jak pędem biegła, tak na powrót ku mieszkaniu Jadwigi zawróciła, gdzie wpadłszy, bez żadnego względu na zgniecenie świeżej swojej sukni, owszem, ze łzami w naiwnych oczach, wraz z Jadwigą Szyszkową z ziemi dźwigać zaczęła. A ładna ślusarzowa ze swej strony ku otwartemu oknu mieszkania swego poskoczyła.

– Michaś! – krzyknęła – leć po doktora! Pani Szyszkowa zachorowała, słyszę, jak długa na ziemi leży!... Michaś, czy słyszysz?

– Słyszę, słyszę! – ozwał się z wnętrza gruby głos męski – ale okrutnie czasu nie mam!

– Co to: czasu nie mam! Tam córka sama jedna... pomóc jej trzeba! Michaś, leć! jeżeli Boga kochasz!

– Lecę! już lecę! – odkrzyknął gruby głos i parę sekund zaledwie upłynęło, a już istotnie surdut jeszcze na sobie wciągając z mieszkania wypadał i ku bramie tak prędko biegł, że prawie leciał. Ślusarzowa zaś, tyle tylko, że komuś dziecko przez otwarte okno podała i zaraz także ku drzwiom Jadwigi śpiesznie pobiegła.

– A co tam takiego stało się, pani Michałowo? – zawołała ku niej żona szewca Jerzego, przed drzwiami swymi ukazując się w szafirowej spódnicy, brudnym kaftanie i przydeptanych pantoflach, a odpowiedź ślusarzowej usłyszawszy, za rozczochraną głowę się schwyciła.

– Ajaj! taka nagła choroba! nieszczęście! A córka przy niej sama jedna! Trzebaż pomóc jej biedaczce! Ot, tylko czysty kaftan narzucę i przylecę tam, zaraz przylecę!

Ale rozmowy na dziedzińcu rozlegające się usłyszawszy, z sutereny swojej wydobyła się na powierzchnię ziemi i w krótkiej spódnicy, bosy, z rozwianymi nad małą twarzyczką siwiejącymi włosy, biegła przez dziedziniec Ambrożowa. W drobne, od mydlin mokre ręce z żalu uderzała i krzyczała:

– Oj, biedniénka ona z taką chorą matką, sama jedna, panienczka moja złociénka, biedniénka! Może w czym pomóc, posłużyć? Może po cyruliczka pobiec? Może zimniénkiej wody do główki przynieść! Jestem! jestem! jestem!

I z tymi słowami, jak zwinna mysz do nory, do sionki Jadwigi wbiegła. Ale w tejże chwili z bramy na dziedziniec wybiegała Ruchla. Nie szła już, tak jak zawsze, leniwie i sennie, ale z takim rozmachem biegła, że aż brudna chusta zsunęła się na jej plecy i odsłoniła głowę, czarnym perkalem zastępującym perukę oblepioną.

– Hörst! – krzyczała – co to? Pani Szyszkowa zachorowała! A co tam paniénka robi? Aj waj! ona tam sama jedna... jak ona sobie radę da w takim przypadku!

– Ruchle! Ruchle! – z okna pierwszego piętra zawołała na nią kramarka Leja.

Ruchla głowę podniosła i dwie Żydówki ruchami głów pożałowanie objawiając, zaszwargotały z sobą. Wtem z otwartego okna Jadwigi wychyliła się Michałowa.

– Moja Ruchlo – zawołała – zróbcie cokolwiek, ażeby wasze dzieci tak nie hałasowały! Tu kobieta może umiera, a te bębny wrzeszczą jak opętane!

– Git! zaraz! nu, ja im dam!

I ku gromadzie żydowskich dzieci się zwróciła, jednocześnie zaś kramarka z otwartego okna ku swoim dzieciom aż siedem żydowskich imion wykrzykiwać zaczęła i wołać, aby były cicho i do domu szły. Ale niełatwa była to sprawa rozhukaną tę trzódkę zapędzić do owczarni. Więc Ruchla w jedną i drugą stronę pośród niej biegała, jedne szturchać obdarzając, inne łajac, inne na koniec prosząc: a gdy to czyniła, ruchy jej były zupełnie tak samo

żywe, gibkie, do baletniczych podobne, a oczy splekane tak samo gorzały, jak bywało wtedy, kiedy osobę ze zwojem materii w ręku do swego męża krawca zapraszała. Nagle zatrzymała się i na gromadę chrześcijańskich dzieci spoglądając zawołała:

– Nu, a co to pomoże, że te przestaną, kiedy tamte hałasują! Niech pani Jerzowa powie tamtym, żeby one nie hałasowały! One nie do mnie należą, ja im nic kazać nie mogę! Niech pani Jerzowa każe!

Pani Jerzowa do mieszkania Jadwigi już dążąca przystanęła, popatrzyła i pędem ku drugiej wrzaskliwej gromadzie się rzuciła. Było tam czworo jej własnych dzieci. Ruchła na swoje, a ona na swoje krzyczały i obie te kobiety, zarówno prawie brudne, zarówno w przydeptanych i z nóg opadających pantoflach, jedna z rozczochraną jak fura siana, druga z oblepioną czarnym perkalem głową, ciszę na dziedzińcu czynić usiłowały. Jakkolwiek przecież zmniejszały się stopniowo dziecinne hałasy, cisza do tego ludnego kotła zlecieć nie chciała. Wieść o zaszłym nagle w jednej z przegródek jego nieszczęściu była ostrą kroplą, która wpadła do gotującej się w nim nieustannie codziennej stawy i wywołała na wierzch odpryski przerażenia, współczucia i ciekawości. Tu i ówdzie przez otwarte okna wychylały się ciekawe głowy męskie i kobiece – kobiety szczególnie zbiegały ze wschodów, wychodziły przed drzwi mieszkań i patrząc w stronę mieszkania Jadwigi z cicha lub i głośno z sobą rozmawiały. Wielu z nich miało w sercu i uszach wieczne adagio ludzkich żywotów: „Co dziś tobie, jutro mnie!”, dla wielu nagła choroba jednej starej kobiety była takim samym, jak kręcenie się trzech par tancerzy za oświetlonym oknem, ciekawym i porywającym, bo nowe i rzadkie wrażenie dającym teatrem. Nad całym zaś gwarem tym i czynnym lub biernym zajęciem, nad wszystką tą ciekawością i czynną lub bierną litością, jak skrzydlate, białe, dla ziemskich spraw obojętne anioły, unosiły się dźwięki fortepianowej muzyki wychodzące z okna panny Karoliny. Jej ślepa matka po dzisiejszym srogim upale spoczywała w głębokim fotelu, ona zaś sama, piękna jeszcze, choć niemłoda, dumna, choć biedna, nie wiedziała i wiedzieć nie chciała o niczym z tego, co dzieje się tam na dole na ohydny bruku, pośród tych brudnych ludzi, i z klawiszów wydobywając wygnańczą melodię, myśli swe posyłała kędyś daleko, gdzie pośród pól wonnych, pod mierzchnącym niebem stare lipy szumiały u wysokich, ozdobnych drzwi jej rodzinnego domu.

Tymczasem z niskich i ciemnych drzwi szwaczki wychodził opuszczający jej mieszkanie lekarz, a tuż prawie za nim Paulina narzeczonego wypychała z sieni wołając:

– Lećże, Bolciu, do apteki! a migiem żebyś mi nazad był!

Starą zaś kobietę z wielką, czerwoną twarzą zbliżającą się ku sobie zobaczywszy, na spotkanie jej podbiegła i z wielkim zapałem zakomunikowała:

– Ot, podsłuchała stara, co Jadwidze opowiadałam, i – amen!

– A cóż to takiego panna Paulina pannie Szyszkównie opowiadała?

– A cóż takiego? Że jeden jej brat w turmie siedzi, a drugi sprzedaje się za męża jakiejś bogatej, bogatej kucpównie!

– Kara boska! kara boska! Ludziom języki pokazywała, w święto zamiast na służbę bożą iść, z kawalerami mile chwile spędzała i ot, ma teraz za to! Pan Bóg długo cierpliwy, ale jak rozgniewa się, to i ukarze!

Tak prawiała duża, czerwona twarz, z ciekawymi, świdrującymi oczkami, a w kilka minut potem po wszystkich przegródkach tego kotła zakipiowało i zagadało, że jeden brat Szyszkówny w turmie siedzi i pewnie do katorgi pójdzie. a drugi wkrótce zaprzeda się na męża bogatej, nie wiedzieć jak bogatej kucpównie, w takim jakimś mieście, którego nazwiska i zapamiętać trudno.

– Za pieniądze duszę sprzedał – jednogłośnie powiadano.

Gadano też i wzajem sobie komunikowano wyrok lekarza, że chora zaraz nie umrze, że jeśli nowego wypadku nie będzie, może nawet jeszcze żyć długo, że tylko połowę ciała będzie

już miała zawsze bezwładną, lecz w zamian niejaką przytomność umysłu i możliwość mówienia zachowa.

Zachowała! Godzina zaledwie upłynęła, odkąd pod ciosem krwi na mózg jej spadającym na ziemię upadła, a już z ust jej wylewał się potok słów złych, gwałtownych, rozpacznych lub niewymownie tęsknych i żalonych. Pod spłowiałą kołdrą, z czarnymi włosami na poduszce rozrzuconymi leżąc, z oczami jeszcze krwią nabiegłymi, a zsiniałymi usty mówiła, prawie krzyczała:

– To nieprawda! to wymysł! to jakieś okropne łgarstwo! Jezus, Maria! intrygi! kalumnie! podłość! Władek w turmie! Czy słyszeliście, moi państwo? O Boże Wszechmogący, ulituj się nade mną i spraw, aby tym ludziom pozamykały się gęby... Czy oni myślą, że ja jego na to hodowałam, aby on w turmie gnił! Ach, męka, śmierć, zgryzota, ze złodziejami i rozbójnikami... sądzić go będą, do katorgi skażą... Jezus, Maria, ratujcie! Pozwólcie mi pojechać do niego! ludzie, zlitujcie się, odziejcie mnie, do wagonu wrzucicie i każcie do niego zawieźć! Niech ja jego nieszczęśliwego choć zobaczę... niech ja jego pocieszę... niech ja z nim razem... Cha, cha, cha, cha! w turmie! Jezus, Maria! ratujcie!

Krzyknęła tak przeraźliwie, że aż krzątające się koło niej kobiety, przerażone, wszystkie razem ku niej przypadły. Jedna tylko Jadwiga wydawała się spokojną, a spokój jej wydawał się kamiennym. Z twarzą tak nieruchomą, jakby z kamienia była wykuta, i ostro połyskującymi oczami, śpiesznie, zręcznie lodem, tylko co w wiaderku przez Ambrożową przyniesionym, napełniła skórzany pęcherz i jednej z obecnych kobiet go podawszy, płótno rozdzierając i bandaż z niego robić zaczęła. Szyszkowa zaś, z ogromną, żółtą czapką na głowie, spod której wypływały czarne jej włosy, mówiła ciągle:

– Żeni się tam... z tą... Jezus, Maria, za pieniądze honor i duszę sprzedaje... ojciec, gdyby z trumny wstał, znów by w nią upadł zaraz... zaraz... twarzą do ziemi... tak samo, jak ja padłam... bo biedni my byli ludzie... on z niebogatego domu pochodził i ja także, ale czyste sumienie... czysty honor... Nie zaprzędawaliśmy się nikomu... I dzieci po nas poszły... pewno żadnemu z nich nikt... Jezus, Maria! Wstyd hańba, śmierć, potępienie duszy i ciała! ratujcie, ludzie! papieru! pióra! pędzej! pędzej! napiszę do niego! że pod błogosławieństwem matki zakazuję... że jeżeli nie posłucha, przeklnę... przeklnę przed śmiercią, a jak umrę, popioły moje przeklinać go jeszcze będą... Józiutku mój! synku! dziecko ty moje najśliczniejsze! nie rób ty tego... ach, jaki on był zawsze śliczny... zgrabny jak panienka... włos czarny... oczy szafirowe... profil taki, jakby go największy malarz wyrysował... A taki umizgalski, taka przylepka... jak przylepi się do rąk, do szyi... Dopóki nie powyrastali, szczęśliwa ze mnie matka była... Jadwiga! czy słyszysz? Jadwiga! Śmierć, choroba, zgryzota! Pamiętasz ty, jaka ja szczęśliwa byłam, dopóki oni nie powyrastali?... jak to my za życia ojca, wieczorami... nokoło stołu... Władek przy moich kolanach na stołeczku, a Józio z drugiej strony... Co ona nagadała! W turmie! Przeniewierstwo! Jezus, Maria! ratujcie! odziejcie mię! do wagonu wrzucicie! pojedę! zobaczę sama! przekonam się! na kolana przed nim padnę... błagać będę... na prochy ojca... Jadwiga! słyszysz? papieru daj! Plaga egipska! czemuż nie dajesz, kiedy mówię! Przeklnę, kiedy nie dasz! napiszę... poproszę... on posłucha... Jadwiga, dasz papieru czy nie dasz? Nie chcesz, żebym do brata pisała! Niech on... niech on sobie w błocie po uszy... a ty jedna dobra! dobra! dobra! O Chryste Nazareński! ludzie, ratujcie! Wyjmcie ze mnie serce, bo nie wytrzymam... skonam...

Straszną była w nieruchomości bezwładnego ciała swego, a nieprzytomnym miotaniu się rysów, dziwnie przez tę godzinę zaostrzonych. Dwie kobiety żółtą czapkę z lodem trzymały na jej oszalałej głowie i spojrzzeniami dzieliły z sobą zdumienie swe i przerażenie. Trzecia gryzącymi plastrami nogi jej pokrywając wzdychała głośno, a cicho mówiła pacierze. Jadwiga plaster, który maścią jakąś tylko co pokryła, jednej z kobiet podała i ku nadchodzącej właśnie felczerce jednostajnym, automatycznym krokiem się zbliżywszy, jakieś zlecenia po cichu jej dawać zaczęła. Mówiła cicho, lecz przytomnie i jasno; potem kobiecie, z którą rozmawia-

ła, zadała jeszcze parę pytań dotyczących się czynności jej przy chorej, a na usłyszane odpowiedzi z kolei odpowiedziała. Weszła potem do kuchenki i samowar nastawiać zaczęła, a gdy węgle wygrzebywała z pieca, wrzucała w mosiężną trąbę, wody dolewała do samowara i dla prędszego rozżarzenia węgla z całej siły swej szczupłej piersi w trąbę dmuchała – przez drzwi otwarte, tak wyraźnie, że ani jedno słowo ujść nie mogło słuchowi jej i uwadze, słyszała gadanie matki. Jak strumień bystry i burzliwy, płynęło ono ciągle, ciągle, to wznosząc się do namiętnych krzyków, to roztopiając się w szmer słabych i bełkotliwych skarg i jęków.

– Czemu ja stamtąd wyjechałam? Czemu ja ich nie pilnowałam, nie strzegłam? Jezus, Maria! Kara boska na mnie za to, że dzieci swoje porzuciłam... Nie oni mnie porzucili... nie oni, ale ja ich... zła... niegodziwa matka... wszystkiemu ja winna...

Język jej splątał się i zerwał się ciąg myśli; przez chwilę w niewyraźnym jej bełkotaniu rozróżnić można było tylko imiona dwu jej synów i po wiele razy powtarzane imię Boga. Nagle krzyknęła znowu:

– Ona wszystkiemu winna, ona, Jadwiga... Z bratem, jędza, żyć się nie mogła... wymyślała: „On poniewiera nami, on nam chleba żałuje, on chciałby jak najprędzej z karku nas zepchnąć.” Klóciła się z bratem... Śmierć, utrapienie, męka... Raz cukier do herbaty sobie i mnie rzuciła, a on skrzywił się... Kłopoty miał biedaczek, pracę ciężką, a może i brzusek go zabolął, bo kiedy dzieckiem był, często na brzusek chorował... Ona zaś zaraz, Jezus, Maria, w płacz i trajkocze: „Wolałabym własny suchy kawałek chleba jak jego cukier!” Ot, masz własny kawałek chleba, masz... masz.. czego chciałaś... ciesz się... tryumfuj... jasna panienka... Drugi raz przyjaciółkę jakąś do siebie zaprosiła... Plaga egipska... Potrzebna jej była przyjaciółka!... A on z biura wróciwszy mówi, że nie potrzebuje, aby do jego domu gości spraszano. Nic więcej nie powiedział... niech mnie Bóg ciężko skarzę, jeżeli choć słowo więcej wymówił... Baranek mój mileńki, kotek złoty, jedyny... A ona jęczyczek rozpuściła i swoje: „Sama na siebie zapracuję... ani twego domu, ani twoich wymówek nie chcę!” On wtedy mówi: „To może i matkę sobie zabierzesz?” Zażartował tak biedaczysko, nie spodziewał się, że ja to do serca wezmę. Jasna panienka oświadczała, że na siebie i na mnie zapracuje... do nóg mnie padała: „Jedźmy, mamó... tam dobry zarobek podobno... jedźmy! Władek nami przykrzy, lepiej jemu będzie, kiedy sam zostanie!” Wmówiła... śmierć, nieszczęście... wmówiła we mnie nieszczęśliwą, że jemu lepiej będzie, kiedy sam zostanie... Jezus, Maria, co ja wycierpiałam, dopóki to postanowiłam... po całych nocach płakałam, głową o ścianę biłam... Co to? syna porzucić... to na dwoje rozedrzeć się... A on, kochanek mój jedyny... pocieszał mnie: „Pisać będę do mamy, często pisać będę i czasem dojeżdżać!” Pojechałam... porzuciłam... a teraz... Jezus, Maria... ze złodziejami i rozbójnikami... sądzić będą... do katorgi... Ratusz, ludzie! Niech ja do niego pojedę, niech ja go choć zobaczę... Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, ale nie jego! Porzuciłam, nie strzegłam, nie pilnowałam... ja... matka... nic o nim nie wiedziałam... Ona winna! Ona wszystkiemu winna! Pyszna ta! jędza! jasna panienka! nic od brata znieść nie mogła... i mnie zbuntowała, namówiła, wywiozła... ja jej tego nigdy... nigdy... darować nie mogłam...przez te długie, ach, Boże mój, jakie długie lata ciągle to jej pamiętałam... I ona moje dziecko... i jej los mnie boli... boli... ale ja jej nigdy tego nie daruję, że zbuntowała mnie... namówiła, wywiozła!...

Wszystkiego tego słuchając Michałowa i Jerzowa zamieniały się zadziwionymi spojrzeniami i cichymi słowy, a mała kobiecina z bardzo pomarszczoną twarzą, gryzące plastry od nóg chorej odejmując, zrazu cicho, potem coraz głośniej i jakby gniewniej szeptała: „Grzech! grzech! grzech!” Głupowatość tej kobieciny zawierała znać w sobie jakiś punkcik, na którym się mieściło pojęcie czy poczucie sprawiedliwości, bo wstając z klęczek, głośno i z gwałtownym ruchem zmarszczek na małej twarzy wymówiła:

– Jezusie Nazareński! Najświętsza Panienko Różanostocka! jaki wielki, okropny grzech!

Potem do kuchni jak zwinna mysz pobiegła i przed Jadwigą, która z samowara wodę gorącą do dzbanka lała, na ziemi przysiadła, a mrużącymi się swymi oczyma litościwie na nią patrząc szeptała:

– Panienczko moja złota... męczenniczko ty biedna... nie martw się... nie desperuj! Na tym światku i tak, i siak bywa... Teraz źle, ale będzie jeszcze i dobrze... wszystko przejdzie... chmurki rozejdą się... słoneczko zaświeci...

– Nigdy – spokojnie odpowiedziała Jadwiga i znad samowara podniósłszy się, wyprostowana, kamienna, tylko z mocno zaciśniętymi wargami i ostrym połyskiem oczu, naczynie parą buchające ku łóżku matki poniosła.

A Szyszkowa mówiła, krzyczała, jęczała i belkotała dalej:

– Co to syn! Nikt nie wie, co to dla matki syn! Córka nigdy nie zastąpi... Jezus, Maria! Każdy chłop nawet woli mieć syna... Bo to dla matki siła, pycha, szacunek ludzki... starość spokojna... I taka rozkosz na nich patrzeć... jak oni między ludźmi stosunki sobie robią... coraz wyżej posuwają się... coraz im lepiej... a dla matki zawsze jak baranki, przyjdą po pracy do domu... w ręce ją wycalują, za szyję obejmą... „Mamusieczko kochana, ludzie nas szanują i wysoko podnoszą, ale dla mamy my zawsze dzieci!...” Jezus, Maria! wiele razy mnie śniło się, że tak było, że oni tak idą coraz wyżej i rosną coraz więcej, a do mnie tulą się, całują mnie, pieścżą, jak małe dzieci... Co nocy prawie tak ich śniłam, a kiedy obudzę się i spojrzę: nie ma ich! Jezus, Maria! Śmierć, hańba, niedola, wszyscy diabli mnie biorą... zabiłabym się, gdybym nie spodziewała się... nie spodziewała się, że te sny... te sny... kiedykolwiek... na jawie... Ach, jak ja spodziewałam się... ach, jak ja od nich choć listu czekałam... ach, ach, jak ja tęskniłam, wiele łez wylałam, wiele nocy przy łóżku swoim wyklęczałam do Boga modląc się i za nich, i o nich... Jezus, Maria! co ja wycierpiałam... W łzach moich skapać bym mogła ich... obydwóch... gdyby z moich westchnień zrobił się wiatr, to by ich obydwóch jak aniołów do samego nieba zaniósł...

I teraz także miotał nią wiatr westchnień, a gdy zza uszu, spod żółtej czapki z lodem, czarne, mokre włosy dwoma strugami na piersi jej spadały, z oczu też jej na policzki woskowo-żółte ciekły dwie powolne, mokre strugi łez.

– I ta... moje dziecko... ale inne, inne, inne... Słabe to, niepewne... kiedy nic nie robi męczy się, że cudzy chleb je... kiedy pracuje... u ludzi w poniewierce i zdrowie traci... Jezus Maria! gdzie jej do nich! jak ziemia do nieba, tak ona do nich... Śmierć, nieszczęście... żebyż choć za mąż poszła! Ale czy to ona taka jak drugie?... Jednego zraziła... porzucił... tę frygę nawet wolał. Drugi, Jezus, Maria... taki miły, poczciwy... żeni się tam gdzieś... ją porzucił... już tak i zostanie się sama jedna na świecie... Ach, nieszczęśliwa ja matka... nieszczęśliwa... na co Bóg kobietom dzieci daje?... Może ja umrę i jej z karku spadnę... Jezus, Maria! umrę i ich nie zobaczę! Ratujcie! zlitujcie się! już ja zdrowa! odziejcie mnie i na kolej odwieźcie! Jadwiga, pieniędzy daj! słyszysz? Do Władka pojedę! bo mnie daleko już lepiej, lepiej... ja już zdrowa... spytajcie się sobie doktora... on sam powie, że ja zdrowa już i muszę jego zobaczyć... choć raz jeszcze przed śmiercią... choć pocieszyć go troszkę i powiedzieć jemu, że ja nie wierzę... w nic nie wierzę... cały świat kłamie... kalumnie, intrygi, zazdrość ludzka... on niewinien... Do sędziów pójdę, przed sądem twarzą padnę i krzyczeć będę: „On niewinien!” I tamten niewinien: zakochał się! lubek mój biedny, najmilszy, zakochał się w tej kupcównie... pewno ona jak anioł śliczna... a ludzie mówią, że dla pieniędzy... Ale ja do niego pojedę, wyperswaduję, uproszę... on tego nie robi... Trzewiki mi dajcież? gdzież trzewiki? Spódnice... O której kolej odchodzi? Jadwiga! pieniędzy! słyszysz? Na kolej jadę... do Józia... Nie dasz pieniędzy? Twoje, masz prawo... Wyżebrzę, u ludzi wyproszę, a pojedę... o żebraczym chlebie przeżyję, a do tego miasta dojadę... Jezus, Maria... jak mnie źle... słabo... nic nie słyszę... czy ja umieram już?... Bez nich umrę? Nie chcę... nie chcę... bez nich nie chcę... Dajcie trzewiki i spódnice... Raz tylko ich zobaczyć, choć raz jeszcze, Boże mój, choć raz jeszcze, Boże mój, choć raz...

Nie umierała, ale końca jej mowy prawie zrozumieć nie było można, bo i wątek jej myśli urywał się co chwilę i język bezwładnie Ignął do podniebienia, i krtań niemiała. Jadwiga, cicha i wyprostowana, z flaszką w jednym ręku, a łyżką w drugim zbliżyła się i w usta jej wlała nieco uspakajającego płynu. Szyszkowa nie widziała nic, bo zamknęły się mokre od łez jej powieki, lekarstwo z trudem przełknęła, w piersi jej rozlegał się szmer, do kipienia zamkniętego wrzątku podobny. Felczerka odchodziła, Jadwiga wyliczyła jej w kuchni należną zapłatę i wyszła za nią do sieni. Nie wiedziała sama, po co tam wychodzi: czy aby choć przez chwilę przestać słyszeć rozlegający się od łóżka matki głos wielomówny i okrutny, czy aby ze srogiego okucia uwolnić rysy, które obcym oczom nie powinny były wypowiadać nic z tego, co w niej się działo; czy aby przez jedną choćby chwilę pomyśleć o tym, co na samo dno jej duszy spłynęło łzą najmniejszą z pozoru, najwstydlivszą, najgłębiej ukrytą, a jednak najsłodsza i najbardziej piekąca. Na środku ciemnawej sionki stojąc, gdy zamknęły się drzwi za odchodzącą kobietą, pomyślała:

„Alboż mi co przyrzekał? Nic wcale! Obywatelska córka... ładna pewno, edukowana... zakochał się! cóż on temu winien? a ja...”

Wtem uczuła więcej, niż spostrzegła, że oprócz niej w ciemnawej sionce znajdował się ktoś jeszcze.

– Kto tu jest? – zapytała.

Z kąta wysunęła się wysoka, cienka postać kobieca w wielkiej chuście na głowie.

– To ja, Ruchla! Przyszłam dowiedzieć się, co tu słyszać? jak pani ma się?

– Źle, moja Ruchlo, bardzo źle!

Teraz spostrzegła, że Żydówka płakała po cichu, ale tak silnie, aż się jej pod chustką trzęsły ramiona.

– Czegóż tak płaczesz, Ruchlo? Jakże Mendel?...

– Źle... bardzo źle!

I nie wiedząc jakim uczuciem pchnięta, do rąk jej się rzuciła, a potem łkając w pół ją objęła i w głowę, w policzki, w ramiona całowała. Jadwiga nie usuwała się wcale od tych uścisków i pocałunków nędzarki, owszem, tajała w nich jakby, wydobywała się z kamiennego zakucia, aż wzajem ręce dokoła Ruchli zarzuciwszy gwałtownie zapłakała. Cóż? ona, siostra katorżnika, z jednej strony, a przeniwiercy, z drugiej, córka nielubiana, kochanka opuszczona, wyrobnicza samotna, która za dni kilka nie będzie może miała kęsa chleba dla siebie, a dla chorej matki łyżki lekarstwa, tej tylko brudnej, cuchnącej, w cień niezawodnego wdowieństwa i żebractwa odzianej nędzarce czuła się równą. Tamte, u łoża matki jej czuwające, w porównaniu z nią, magnatkami jeszcze były. Tej jednej nie wstydziała się łez swych pokazać. Dwie nędze – dwie siostry.

– Co ja panience powiem! – wśród płaczu szepnęła Ruchla – może ten panicz... jak dowie się, że panienkę takie nieszczęście spotkało... przyjedzie?

– Nigdy! – odpowiedziała Jadwiga i płacz powściągnęła, łzy z twarzy szybko otarła, a raz jeszcze Ruchlę w głowę pocałowała do mieszkania wbiegła.

Tu nie rozlegał się już głos Szyszkowej; połknięte lekarstwo uspokoiło ją nieco i powoli usypiało. Trzy pielęgnujące ją kobiety z cicha naradzały się z sobą i o wyniku swojej narady Jadwidze oznajmiły. Teraz do pomocy jej przy chorej pozostanie Ambrożowa, Michałowa zaś, dziecko uspiwszy i sama przespawszy się nieco, o pierwszej lub drugiej w nocy przyjdzie ją zamienić; tę następnie, o jakiej tam szóstej z rana, zamieni Jerzowa i tak już będą ciągle przychodziły na zmianę, dopóki Jadwiga stałej jakiej pomocnicy sobie nie znajdzie. Czynieć to mogą przez dni kilka i dłużej – ajej! cóż to ważnego! a jeżeliby uczuły się zmęczonymi, przybiorą sobie jeszcze jedną sąsiadkę. O Paulinie mowy nie ma, bo ona wcale na chorych się nie zna i kto by tam na taką wietrznicę liczył, ale w rogu dziedzińca mieszka jedna bardzo poczciwa kobieta, wdowa po piekarzu, i córkę dorosłą ma... z nimi więc pomówią. Ucałowały Jadwigę, ręce jej z całej siły swoich grubych rąk uściskały i odeszły.

Wieczór jeszcze nie zapadł całkiem, ale już szarym zmierzchem spływał pomiędzy cztery wysokie mury dziedzińca, na którym panowała prawie zupełna cisza. W oknach rzemieślników, którzy w mieszkaniach swoich pracowali, błyskały już światełka, w innych ciemno jeszcze było. Z drugiego piętra, z otwartego okna panny Karoliny, wielką i ciągłą falą wypływała fortepianowa muzyka, sama jedna rozlewała się po pustym, cichym dziedzińcu i wzmagała uczucia, które napełniały serce szwaczki, u otwartego także na dole okna siedzącej. Zdawało się jej, że każdy ton tej miłosnej i rozmarzonej muzyki szczydził z twardego jej losu i z przyszłości, która otwierała się przed nią jak długa, czarna noc. Jeżeli dotąd życie jej było szarym, odtąd będzie zupełnie czarnym. W myśli jej powtarzał się ciągle wyraz: „Nigdy! nigdy! nigdy!” i milkł tylko wtedy, gdy głowę jej napełniał rój ciemnych, ciężkich, powszednich trosk. Co będzie z matką jej? Lekarz zapowiada chorobę długą, a potem wieczną niedołężność. Jakim sposobem zaradzi ona potrzebom, które stan ten wytworzy? Dla chorej trzeba będzie mnóstwa wygód i lekarstw, dla niej pomocnicy, bo przecież pielęgnować chorą i zarazem szyciem na wszystko zarabiać nie będzie ona mogła. Dotąd obchodziły się bez służącej, matka załatwiała gospodarskie sprawunki i zajmowała się kuchnią; teraz wypadnie taką wziąć pomocnicę, która by...

Tu muzyka z drugiego piętra domu spływająca stała się tak miłosną, tęskną, rozmarzoną, że Jadwiga obu dłońmi pierś przycisnęła, aby powstrzymać dobywający się z niej wybuch płaczu. „Nigdy – myślała znowu – nigdy, nigdy go już nie zobaczę...” W uszach jej zabrzmiał głos Stanisława o Paulinie mówiącego: „Na godzinę zabawy dobra, ale na całe życie, hu, hu, hu.” Zaśmiała się prawie głośno. Opanowało ją uczucie obrazy i gorzkiego szyderstwa, nad żal i tęsknotę jeszcze boleśniejsze... „To samo ze mną – myślała – na jeden dzień, a potem bądź zdrowa! Są na świecie ładniejsze od ciebie, lepiej edukowane, milsze... tobie jednego dnia szczęścia dosyć być powinno, aż nadto dosyć... a jeżeli czegoś innego spodziewałaś się i od życia wymagałaś, to tylko dlatego, że byłaś głupia, głupia, głupia!” Obu rękami schwyliła się za głowę. „Jak ja mogłam choć na dzień jeden, choć na godzinę, choć na chwilę uwierzyć...”

Tu nagle zleciał znowu na jej głowę rój ciemnych, ciężkich, powszednich trosk. Dobrze to mówić: pomocnicę do pielęgnowania chorej, która by zarazem służącą była, przyjąć, ale – zapłacić jej trzeba i dość drogo zapewne. Skądże ona na to weźmie, teraz mianowicie, kiedy robota skąpo napływa i do lepszych czasów kilka jeszcze tygodni czekać trzeba? Zaczęła obliczać mały zapasik swój i myśleć, na jak długo wystarczyć on jej może. Przy nowych znacznych wydatkach chorobą sprawionych wystarczy na dni kilka... może na tydzień... A potem co? Na myśl o tej przyszłości uczuła zawrót głowy. Matkę ratować, leczyć, wygodami w tej chwili jej niezbędnymi otoczyć musi, koniecznie musi. Ze wszystkich sił starałaby się o to zawsze, w każdym wypadku, ale teraz, gdy ma ona w swoim chorym sercu taką straszną rozpacz, tym bardziej... Ponieważ tak okrutnie przez matkę jest krzywdzona, więc tym bardziej, tym usilniej, tym skrupulatniej... Ale jakim sposobem? Skąd weźmie tyle czasu, sił, zarobku?... W głowie jej mąciło się od tych pytań, na które, w tej chwili przynajmniej, nie znajdowała odpowiedzi żadnej.

Z drzwi przepierzenia, za którym paliła się mała lampa i panowała cisza, bo chora pod wpływem lekarstwa usnęła, wysunęła się Ambrożowa, cichutko, zwinnie przez mrok przemknąwszy, u stóp Jadwigi na ziemi przysiadła i z podniesioną ku niej malutką, w siwe włosy oprawioną twarzą zaszepotała:

– Panienczko złocieńka! Męczenniczko ty moja biedna! Jak ty podołasz wszystkiemu? jak ty teraz na świecie żyć będziesz? Czy ja nie wiem, co to choroba, bieda i takie wydatki, na które nie wiadomo skąd wziąć, rozstap się ziemio, a nie wiadomo! Wiem ja, oj, wiem to wszystko... Przebywałam.. nie raz... nie dwa i nie dziesięć razy łezkami swymi zlewałam i męża chorego, i potem dziatki... A tyż, panienczko złocieńka, sama jedna tutaj jak palec... Nikt nie pomoże. Na wszystko tylko swoje dwie rączki masz. A jak nie podołasz? jak roboty

zabraknie? jak zdrowie opuści? co będzie? Jezusie Nazareński, Najświętsza Panienco Różanostocka, co wtedy będzie? a?

W niemym osłupieniu Jadwiga słów tych słuchała i nie odpowiadała nic, a u stóp jej siedząca kobiecina szeptała dalej:

– Mamunia, chwała Bogu, zasnęła troszkę, a ja przyszedłam cościś panience powiedzieć. Ot, co ja powiem. O służę przynajmniej nie łam sobie główki, męczenniczko ty moja biedna, ja przy was zostanę się... co tam! Suterenkę swoją komukolwiek odnajmę, a do was przeniosę się i mamusię dopilnować pomogę, i do miasteczka zbiegam, i obiadek zgotuję. Pieniądzy za to wielkich nie żądam... Co tam będziesz mogła, panienczko złocienka, to mnie dasz, a zresztą, jakkolwiek, jak będzie można, obejdę się... Co tam! Wszystko jedno, i teraz bieliznę piorąc w bogactwie nie żyję. Zjem, co będzie, prześpię się w kuchence, a na jaką tam spódniczkę i na trzewiczki dzieci dadzą... to jedno, to drugie... bo wszystkie już siakie takie zarobeczki mają... Dobrze?

Za całą odpowiedź Jadwiga pochyliwszy się usta swe w siwych jej włosach i w lesie zmarszczek twarz jej okrywającym utopiła. Ona zaś zaszepotała znowu:

– Dopóki mamunia spać będzie, ja jeszcze panienczce cościś powiem. Aż mnie korciło, aż mnie z ziemi podrywało, żeby pobiec i panience to powiedzieć. Ot co! Słyszę, braciszek, ten młodszy, bogato żeni się! Wszyscy na całym dziedzińcu mówią... kiedy po łodek biegaliśmy, a później, po felczerkę, słyszałam, jak Paulina wszystkim rozpowiadała, że jeden w tur... aj, Bożeż mój, Boże, i wymawiać to słowo strach bierze! – ale drugi za to bogato, bogato żeni się w takim jakimś dalekim, dalekim mieście, że i nazwiska jego spamiętać nie można. Ale ta dalekość nic nie szkodzi... listek, żeby nie wiedzieć jak daleko, dojdzie. Napisz ty, panienczko złocienka, do niego, żeby on przyjechał, mamusię i ciebie pocieszył i poratował... a jeżeli nie przyjedzie, to niech choć pomoże... niech choć pieniędzy przyśle... Wszak to rodzony... rodzony braciszka poprosić można.

– Nigdy! – zawołała Jadwiga i jakby gorącym żelazem dotknięta, drgnęła, wyprostowała się. – Nigdy! – głośnie jeszcze powtórzyła – ani ja pociechy i przyjaźni jego żądać, ani o pomoc do niego pisać nie będę nigdy! nigdy!

W zaciśnięte pięści uderzyła, a potem szeroko rozwierając ręce i Ambrożowej je ukazując, z takim uniesieniem, że aż drżała od stóp do głowy, mówiła:

– Czyste! prawda, że czyste? Przypatrz się, że czyściuteńkie! Te czarne znaki na palcach to od nakłucia igłą... a ta ciemna pręga tu, od sparzenia gorącym żelazkiem... a ta tu... od zardrażnienia się nożyczkami... Innych plam na moich rękach nie ma i nie będzie. A jego pieniądze, za które się sprzedaje, to taka straszna plama... Ty może tego nie rozumiesz, Ambrożowo, ale to są pieniądze wzięte za honor, za uczciwość, za to, co dla człowieka jest najświętsze... Ja ich nie chcę! ja ich nie dotknę się nigdy, nigdy! Jeżeli przyśle, odeślę! Choćby mnie matka rozkazywała przyjąć, nie przyjmę, ale i ona tego żądać nie będzie... Dla mnie jest niesprawiedliwą, ale takie rzeczy przez całe życie rozumiała i ceniła... Ty, Ambrożowo, może tego nie rozumiesz, ale ja wołałabym umrzeć, niż takie pieniądze wziąć...

Wstała z krzesła i znowu w ściśnięte ręce uderzyła.

– I nie umrę... i pokażę im wszystkim, że ani ich miłości, ani ich pieniędzy nie potrzebuję... Choćby mi przyszło dniami i nocami szyć, choćbym musiała po domach chodzić i jak Ruchla o robotę żebrać... Lepsze to już niż takie pieniądze... Ty tego może nie rozumiesz, ale wszystko lepsze niż takie pieniądze... Kiedy szycia nie wystarczy, co innego robić będę... do sprzątania mieszkań i mycia podłóg najmę się... do noszenia wody... a kiedy dostanę szycie, cała moja dusza będzie w rękach... nigdzie, nigdzie, tylko w rękach... wszystkie inne myśli i uczucia od siebie odpędzę, a będę szyć... szyć... szyć... jak najprędzej; jak najlepiej, jak najwięcej, byle tylko móc matkę karmić i leczyć... A jeżeli omylę się... jeżeli nie podołam... jeżeli nie wystarczę... to... to cóż? Matkę do szpitala zawiozę, a sama utopię się... ale takich

pieniędzy nie przyjmę... bo może ty, Ambrożowo, tego nie rozumiesz, ale śmierć nawet lepsza od takich pieniędzy!

Myliła się Jadwiga. W niezmiernej pokorze tej kobieciny, która u nóg jej siedziała, był jakiś punkcik, na którym mieściło się pojęcie albo poczucie honoru i inne może jakieś, choć bierne i nieme uczucie, bo – zrozumiała, tak dobrze zrozumiała, iż w oczach jej zjawiał się wyraz bardzo do zachwycenia podobny, a drobna, czarna ręka wzniosła się w górę, i z uroczystością, której nikt by się po niej nie spodziewał, znak krzyża w powietrzu kreślić zaczęła.

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, amen – szeptały wyschłe, gęstwiną zmarszczek otoczone usta. – Boże błogosław! Boże wspieraj! Boże dopomagaj!

Coraz głębszą ciszę za oknem panującą przerznął teraz przeraźliwy świst nadlatującego do miasta pociągu kolei żelaznej, ale obie kobiety nie zwróciły na to żadnej uwagi.

Jadwiga z czołem o twardej brzeg okna opartym cicho, głęboko płakała, a gdy podniosła głowę, ujrzała Ambrożową za przepierzeniem przebiegającą z kuchenki ku łóżku śpiącej jeszcze chorej. Zwróciła twarz ku oknu. Kilka gwiazd świeciło nad cichym, pustym dziedzińcem, kilkanaście okien błyskało bladymi światłami, na drugim piętrze muzyka umilkła, z ulicy dochodził wzmożony turkot dorożek, z dworca kolei o tej porze zwykle jadących. Spłakanymi oczami patrzyła na gwiazdy i myślała:

„Ani te piękne gwiazdy dla mnie... ani muzyka... ani wesołość żadna... ani szczęście... mnie płakać nawet nie wolno, bo oczy szanować powinnam... I nie będę... nie będę... trzeba mi szyć... szyć... szyć... matkę karmić i leczyć... i im wszystkim pokazać, że ani ich miłości, ani ich pieniędzy nie potrzebuję...

Porwała się z krzesła i przystąpiła do zgrabnej panienki bez głowy, na której sukni w zmroku nawet połyskiwał zdobiający ją atłas.

– Dziś w nocy suknię tę wykończę, jutro ją odniosę i zapłatę wezmę, a może i jeszcze jaką robotę tam mi dadzą...

Dużą lampę na stole postawiła i już zapalać ją miała, gdy nagle ręka jej z paczką zapalek w powietrzu zawisała, szeroko otwarte oczy wpatrzyły się w okno. Kto to taki wyszedł z bramy i przez dziedziniec szerokim krokiem idzie? Kto to idzie przez zmrok, pod gwiazdami, jak widmo szczęścia czy odnowionej rozpaczy? Jezus, Maria! jakież podobny!...Tu idzie... do drzwi jej zmierza! Jezus, Maria! To chyba on!...

Ku oknu skoczyła i do połowy ciała wychyliła się przez nie, ale ten, kto przez dziedziniec szedł, już zniknął w drzwiach jej mieszkania i w sionce słychać było jego kroki. Tak, to jego kroki... Jezus, Maria... tak, to on!

Do mrocznego pokoju wszedł, przy samych drzwiach na ziemi mały tłumok postawił i już był przy niej.

– Jadziu! jedyna moja, kochana, złota! jak się masz? jak się masz?

Ręce jej pocałunkami zjadał, ale kiedy wyciągnął ramię, aby ją objąć, usunęła się i plecami o brzeg okna oparta, jak drewno zeszywniała. Wtedy spostrzegł, że twarz jej świeciła w zmroku bladością opłątka i miała wyraz strasznego, niemego bólu.

– Co tobie? Jadziu, duszko, najmilsza? co tobie?

– Nic wcale, tylko zdziwiłam się bardzo...

Uśmiechała się, ale mówiła tak cicho, że ledwie ją mógł dosłyszeć, i przeraziła go sprzeczność pomiędzy jej uśmiechem a wyrazem całej twarzy.

– Na miłość boską, co tobie?

– Nic wcale... tylko prędzej już spodziewałabym się Stasia zobaczyć niż ciebie...

– Dlaczego?... Ale co ci jest?... taka jesteś zmieniona i jakaś inna...

– Nic... nic... tylko że to Staś przecież jechać miał po mamę...

– Wcale nie... ależ co to ma do bladości twojej i do tego, jak mię przyjmujesz?... Czyżbym mylił się lecąc tu jak spragniony do studni? Czyżbyś tak bardzo wołała, aby zamiast mnie Staś tu...

– Nie... nie!... tylko myślałam, że ty... od... od narzeczonej swojej nie odjedziesz...
– Od narzeczonej! od jakiej narzeczonej? Jadziu... wszak ty na nogach ledwie utrzymać się możesz? Jezus, Maria! Co tobie?

– Nic... nic... przecież ty żenisz się, Olesiu!

– Ja, żenię się! ja... żenię się!...

Wesoły, młodzieńczy śmiech jego rozległ się znowu po tym pokoju, przed chwilą tak smutnym i ponurym.

– A żeby tak pies płakał, jak to prawda!

W czoło się uderzył.

– To te plotki aż tu, aż do ciebie doszły?

– Więc nie?...

Pytanie to było tak ciche, że go nawet nie dosłyszał.

– Plotek, jak Boga kocham, narobili i po całym świecie je roznieśli, a wszystko dlatego, że dwa razy w niedzielę pojechałem do domu, w którym jest ładna panna, i że raz z nią pod rękę po miasteczku się przeszedłem...

–Więc nie?

– Już i mama w liście zapytywała mnie o to, ale ja nie odpisałem, bo już, już miałem sam po nią jechać... Ani przypuszczałem jednak, aby te plotki aż do ciebie dojść mogły! Niech diabli wezmą... Człowiek, zdaje się, jak pchła mały, a na ludzkich językach cały świat objężdża...

– Więc nie?... więc nie?

Wziął obie jej ręce w swoje i nisko ku niej schylony mówił:

– Nie. Sto razy, tysiąc razy: nie. Ani myślałem o tym, ani nawet podobała mi się ta panna. O tobie tylko myślałem, duszko ty moja droga, do ciebie tęskniłem, a kiedy już przyszło do tego, że musieliśmy koniecznie matkę do siebie sprowadzić, Stasiowi powiedziałem, żeby zostawał w fabryce i za nas obu pracował, a sam pojechałem, aby tu zajechać i ciebie zobaczyć... moja ty droga, biedna, najmilsza...

Oniemiała w ręce całował a potem swoje jej pokazując rzekł:

– Widzisz, jak szerniały... mógłby kto pomyśleć, że murzyńskie... niechaj ci to wytłumaczy, że nie pisałem... Uf, pracuję, aż kurzy się ze skóry! Cały dzień w ogniu, w turkocie, w stuku takim, że własnych myśli nie słyszę... Wieczorem kości w sobie nie czuję... Niedzielę nawet rzadko mam, bo fabryka nie świętuje, i czasem tylko jeden drugiego w święto wyręczamy... Staś tęgi chłopiec i dobry brat... żeby był inny, nie mógłbym i teraz być przy tobie, moje ty serce ukochane...

– Boże! a ja myślałam, że już nigdy...

– Co nigdy?

– Że już nigdy nie zobaczę cię nawet, Olesiu...

Zmartwiony, smutnie wstrząsnął głową.

– Głupio myślałaś! – rzekł. – Smutno mi, że tak mało miałaś wiary we mnie. No, ale kiedy plotek narobili, to trudno! Trzeba było tylko pomyśleć, że ja nie jestem żadnym takim paniczem, co to bawi się całe życie, bałamuci kobiety, przebiera i kaprysi. Do bałamuctwa czasu nie mam, a kiedy pokochałem, to z całego serca i na zawsze. Przepróż że mnie teraz... Słyszysz, Jadziu? jak Boga kocham, przeprosić powinnaś...

Milcząc, lecz z takim westchnieniem, jakby z łoża tortur przenoszono ją na łożo z róż, zarzuciła mu ręce na szyję, i znowu – tak jak wtedy – cała do piersi jego przylgnęła. I znowu siwe, ogniste jego oczy zatapiały się w jej oczach, a rumiane usta na jej spieczonych od męki ustach kładły wszystkie swoje płomie i wszystek swój miód.

Pierwsza przecież wysunęła się z jego objęcia.

– Słyszałaś o Władku i Józiu? – z trwogą w oczach zapytała.

Przez głowę jej przemknęła myśl, że może on nie wie, a gdy dowie się, nie zechce... Wszak oni tak zhańbieni, a ona ich siostra! Powinna więc zaraz powiedzieć mu wszystko. Ale

on wiedział. Matka doniosła mu w liście o wszystkim, więc tym bardziej śpieszył, aby ją pocieszyć...

– Biedna ty!... Kiedy dowiedziałas się, że oni tacy, to już i o mnie Bóg wie co myślałaś! Jednakże gdyby wszyscy ludzie źli byli, świat by już chyba skończył się. Są na świecie źli, są i dobrzy, bywa na świecie źle, bywa i dobrze... Nam teraz przez całe dwa dni będzie dobrze... dwa dni przeżyć tu z tobą mogę...

Za przepierzeniem ozwało się ciche jęczenie i Ambrożowa szybko przebiegła.

– Co to? – zapytał.

A kiedy mu o chorobie matki i o jej strasznej rozpacz opowiedziała, zamyślił się i rękę jej w swoich trzymając chmurnie trochę zaczął:

– Teraz dopiero, kiedy wszystkie nieszczęścia na ciebie się zwały, czuję, jak okropnie chciałbym, abyś choć troszkę szczęścia skosztowała i abyśmy już nigdy nie rozłączali się z sobą. Ale cóż? pobrać się jeszcze teraz nie możemy...

Smutnie uśmiechnął się.

– Pałacu, widzisz, kosztownego żadnego nie mam zbudowanego... matkę musimy do siebie wziąć, ale aby liczniejszą gromadą móc żyć, ani myśleć jeszcze. Nie tak tam świetnie jest, jakeśmy sobie ze Stasiem wyobrażali... Że kiedyś lepiej będzie, to pewno, ale poczekać trzeba...

Z niepokojem na nią patrzył.

– Czy dasz sobie rady z chorą matką na karku jeszcze rok, dwa?

– Ależ naturalnie! – zawołała.

– Poczekaasz rok... dwa... kto wie? może i dłużej?

– Mój Olesiu – po krótkim milczeniu rzekła – ja pracy nigdy nie lękałam się, ani biedy... ale pracować choćby najciężej i znosić choćby największą biedę z myślą i z tą pewnością, że ty mnie kochasz, że ty o mnie myślisz, że choć czasem zobaczymy się, a kiedyś zawsze już będziemy z sobą... to takie szczęście... szczęście!

Takim to dla niej szczęściem istotnie być miało, że teraz mówiąc o nim rozpromieniła się i poróżnowiała, a cudowny uśmiech zachwycenia i słodczy usta jej rozwierał.

On też uśmiech ten z ust, a resztę ognia, którym płacz oczy jej rozpałił, z powiek jej scałował, lecz potem znowu schmurzony nieco zaczął:

– Boli mię ta zwłoka... ale widzisz, biedni ludzie na szczęście czekać i na wszystko ciężko zarabiać muszą, a co trzeba, to trzeba! Prawda?

Ale ona tak zamyśliła się, że nie słyszała tego, co mówił.

– A kiedy już to... to nastąpi – z zamyśleniem zaczęła – czy tam w fabryce będę miała komu suknie albo bieliznę szyć?

Znowu zaśmiał się głośno.

– A mojej ty dziewczę jedyne! – zawołał – ty teraz już myślisz o tym, czy będziesz mogła tam pracować i zarabiać? ty do mojego nawet chleba chciałabyś choć troszkę swojej mąki dosypać!

– Jak najwięcej! – z powagą potwierdziła.

– Harda z ciebie dusza! Ale ja to lubię w tobie, ach, jak lubię. Sam taki jestem. Pysnie we wszystkim zgadzamy się z sobą!

Boże! Boże! a ona myślała, że słów tych, które jej taką dumę i radość sprawiały, nie usłyszy już nigdy! Nagła i wcale inna myśl strzeliła jej jednak do głowy.

– Olesiu! chodźmy do mamy!

A na twarzy jego spostrzegając wyraz niechęci, za rękę go wzięła i żywo zaczęła mówić:

– Ty gniewasz się na nią, że ona dla mnie taka... Pewno, że to krzywda. Ale widzisz, ona teraz tak nieszczęśliwa, tak strasznie nieszczęśliwa, a tego, co pomiędzy nami zaszło, pragnęła bardzo, więc będzie to dla niej pociechą... Mój drogi, my młodzi, zdrowi, Kochamy się,

mamy przed sobą przyszłość... a ona biedna, nic już mieć nie będzie, oprócz choroby, wstydu i żalu... jakiegoż żalu!... Chodźmy do niej!

Wstał i za rękę trzymając się do pokoiku za przepierzeniem weszli. Ambrożowa, która już przedtem niejedno przeze drzwi widziała i słyszała, i na której twarzy zmarszczki z radości skakały, nad chorą się nachyliła:

– Proszę oczki otworzyć i zobaczyć, kto przyszedł – szepnęła.

Zapadłe powieki podniosły się ciężko i zwolna, a przygasłe źrenice długo błędnym spojrzeniem wodziły po pokoju, nim spotkały się z wysoką, silną postacią stojącego u łóżka mężczyzny.

– Kto to? – zapytała. – Oleś, zdaje się... Może masz rację... – bełkotliwie i powoli mówiła – że ją porzuciłeś... bo... ona... nie to, co oni... jak ziemia do nieba, tak ona do nich... ale zaw sze... szkoda... ja myślałam... i tak... tak pragnęłam!...

Aleksander ukląkł i Jadwigę za sobą pociągnął.

– Pobłogosław nas, mamó – rzekł. – Jadzia jest narzeczoną moją i ja nigdy jej nie porzucę.

I gdy oboje całowali jej rękę – nie tę na zawsze bezwładną i bandażami owiniętą, ale drugą – na jej znędźniałej, ponurej twarzy błysnęło światelko pociechy.

– To dobrze – zaczęła. – Jezus, Maria, dobrze! dobrze! Niech was Bóg błogosławi!

A potem błagające, trwożne, rozpaczą napełnione oczy ku niemu zwracając, daleko prę dzej niż przedtem i głośniejszy, wyraźniej mówić zaczęła:

– Ale ty, Olesiu, pojedziesz do nich, zobaczysz ich... Władka pocieszysz... może mu troszkę pieniędzy dasz... bo on biedak pewno głód i różne niewygody znosi... a Józiowi powiesz, że ja zakazuję, błagam, na prochy ojca zaklinam... zakazuję pod błogosławieństwem... Zrób to... mój złoty...

Stopniowo głos podnosiła:

– Powinieneś to zrobić... bo... śmierć, niedola, choroba... zięciem moim będziesz... mężem Jadwigi... ich siostry... Robaczki moje niech przekonają się przynajmniej, że familia... Jezus, Maria... dba o nich, pamięta... Zrób to, Olesiu... powiedz, że zrobisz... na rany boskie zakli nam, abyś zrobił... A jeżeli nie zrobisz... jeżeli nie zrobisz...

Język jej plątał się, bełkotać znowu zaczynała, lecz siła jakaś gwałtowna piersią jej zatrzę sła, a ogień rozpaczy i zarazem złości w oczy rzuciła. Bezwładnie jakoś, dziwnie przykro targnęła się na łóżku i przeraźliwie krzyknęła:

– Przeklnę!

Lecz jednocześnie z cienia wychyliła się drobna, od spracowania czarna ręka siedzącej na ziemi kobieciny i ku dwojgu klęczącym znak krzyża w powietrzu kreślić zaczęła, a uwiędłe i w lesie zmarszczek osiadłe usta z uroczystością, której by nikt od nich się nie spodziewał, mówiły:

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen. Boże błogosław! Boże wspieraj! Boże dopomagaj!

ELIZA ORZESZKOWA

PIEŚŃ PRZERWANA

I

Był to jeden z tych domków, które wydają się uśmiechami wsi albo jej echemi spadłymi pomiędzy ulicę i kamienice miejskie. Małeńki, biały, z ganeczkiem na dwóch słupkach, stał w ogrodzie zaniedbanym, któremu właśnie zaniedbanie nadawało pozór gęstwiny zielonej i świeżej. Dziedzińca nie miał wcale; od ulicy przedzierała go część ogrodu i parkan z desek tak wysoki, że ani domku z ulicy, ani ulicy z okien domku zupełnie widać nie było. Z dala – kątek cichy i ładny; z bliska – ruderka, której ściany powyginane od starości, niedbale pobielone ukrywały się do połowy w splotach fasoli wijącej się na tykach. Oprócz fasoli trochę kwiatów rosło na klombie pod ganeczkiem, na którym stały dwie ławki wąskie i stare.

Wewnątrz domku pokoiki były małe, sufity niskie, podłogi grube, piece niezgrabne z zielonych cegieł.

Do jednego z tych pokoików Klara Wygryczówna wbiegła z kuchenki żwawo i nucąc, bo nuciła zawsze, gdy była zadowolona. Miała na sobie suknię perkalową w różowe i szare paski, fartuch płócienny i rękawy aż do łokci zawinięte. Rękoma świeżo umyтыми, jeszcze zaczerwienionymi od zimnej wody, prędko zdjęła fartuch, zwinęła go i schowała do szuflady starej komódki, myśląc „Trzeba go już wyprać! już bardzo poplamiony.” Po czym odwinęła rękawy i zaczęła wkładać do koszyka kawałki pokrojonego perkalu. nożyczki, napastrzek, nici. Obejrzała się po pokoju i ze stojącej w kącie etażerki zdjęła książkę, którą także włożyła do koszyka. Wybiegła jeszcze do kuchenki i przyniosła niedużą kromkę chleba, wsunęła ją pod perkal napełniający koszyk. Wtedy już zaśpiewała głośno na nutę walcową: „La, la, la! la, la, la!” i wybiegła na ganek. Tu zatrzymała się, spojrzała na fasolę i klombik z trochę kwiatów. Fasola miała już pełno strąków, ale tu i ówdzie wychylały się jeszcze spośród jej ogromnych liści kwiaty czerwone jak ogień. Jeden z nich Wygryczówna zerwała i wsunęła we włosy. Były to włosy czarne, kręjące się nad czołem, a z tyłu głowy zwinięte tak luźno; że mnóstwo krętych pasemek rozsypywało się po karku i ramionach. Kwiat fasoli wyglądał w nich jak płomyk. Dziewczyna nie była doskonale piękną, ale miała świeżość lat dziewiętnastu i wdzięk żywości niezwyklej, odbijającej się w ruchach, w oczach, w uśmiechach. Uśmiechała się i teraz, patrząc na ogród. Czowała się wesołą. Zrobiła już wszystko, co trzeba było zrobić, i miała przed sobą parę godzin swobody zupełnej. Ojciec był w biurze, brat w szkole, siostra w szwalni; obiad zgotowany oczekiwał na ich powrót w piecu kuchennym. Ona, po uprzątnięciu mieszkania i zgotowaniu obiadu, czowała się trochę głodną. Dlatego wzięła do koszyka kawałek chleba. Zje go szyjąc w miejscu bardzo ulubionym, to jest w altanie z bzu koralowego, która znajdowała się u końca ogrodu, u samych sztachet otaczających ogród książęcy. Ilekroć mogła przesiedzieć w tej altance godzinę albo dwie sama jedna, z robotą i swymi myślami, wpadała zawsze w humor wesoły. Ta iskra lubiła samotność. Ta główka młoda bardzo miała o czym myśleć. Nigdzie zaś nie czowała się tak samotną, nie myślała tak dobrze, jak w tej altance bzowej. Tam za sztachetami niskimi ciągnęła się aleja cienista z drzew bardzo starych, które rozstępowały się naprzeciw altanki, ukazując za trawnikiem rozległym pałac nieduży, ale piękny, z dwoma basztami i trzema szeregami okien długich a wąskich. Ciemnopopielata ściana pałacu, jego okna i balkony wysuwały się znad krzewów rozrzuconych po trawniku wspaniale i tajemniczo. Tajemniczość pochodziła z milczenia panującego zawsze w pałacu i dokoła niego. Okna tam były wiecznie zamkniętymi i ogród wiecznie pustym. Czasem na drogach i trawnikach pracowali ogrodnicy, ale nikt nigdy po nich się nie przechadzał. Nie opodal altanki znajdowała się w sztachetach bramka, także wiecznie zamknięta. Miejsce to, utrzymywane starannie, było jednak opuszczonym. Klara wiedziała ze słyszenia, że właściciel pałacu, książę Oskar, nie mieszkał tu nigdy. Nie obchodziło jej w

stopniu najmniejszym, czy pałac miał albo nie miał mieszkańców. Lubiła na niego patrzeć i patrząc doświadczać uczucia piękna, którego miała w sobie instynkty silne.

Teraz siedząc na wąskiej ławeczce, z jednym krzakiem bzu koralowego za sobą, a drugim przed sobą, jeszcze nie patrzała na pałac ani cieszyła się jego pięknnością. Szyła pilnie. Przed nią na stole malutkim, z jedną nóżką wkopaną w ziemię, stał koszyk z kawałkami perkalu i wyglądającą spomiędzy nich książką. Na czytanie i na zachwycanie się jeszcze pora nie przyszła. Robota była pilną. Kupiła niedawno perkalu na sześć koszul dla małego brata; szyła za ledwie czwartą. Kiedy wszystkie uszyje, przyjdzie kolej na reperowanie bielizny ojca, a potem będzie musiała uszyć dla siebie nową suknię, bo te dwie, które posiada, już się kończą. Niestety! wołałaby, aby inaczej było, ale już się kończą i trzeba zrobić nową. Najtańsza nawet coś kosztuje, a gdy w którym miesiącu zdarzy się sprawunek podobny, musi dobrze połamać głowę, aby pensji ojcowskiej na inne rzeczy nie zabrakło. Dotąd jakoś nie zabrakło nigdy, ale ojciec nie zawsze ma wszystko, czego mu potrzeba. Bo potrzebowałby ze swoim słabym zdrowiem jedzenia pożywniejszego, zwłaszcza owoców.

Myśl o jedzeniu przypomniła jej kawałek chleba wzięty z domu. Wyjęła go z koszyka, ugryzła trochę i położywszy na stole, szyła dalej.

W tej samej chwili aleją, która z trzech stron obejmowała duży ogród sąsiedni, szedł od strony pałacu mężczyzna dość wysoki i bardzo zgrabny, w ubraniu domowym z materiału kosztownego i skrojonym wykwinicie, w małym kapeluszu pilcowym na ciemnopłowych włosach. Spod kapelusza widać było owal twarzy delikatny i blady, policzki gładko wygolone i wąsik złotawy, ocieniający wargi cienkie, mające wyraz trochę ironiczny, trochę znudzony. Mógł mieć lat trzydzieści kilka; ruchy były młodzieńcze, zgrabne, trochę niedbałe. Szedł zrazu ze spuszczoną głową, a potem przypatrując się drzewom i podziwiając ich wspaniałość. Stały one nieruchomo w powietrzu cichym i w bladym złocie słońca, już prawie jesienno, gdzieś gdzieś przeświecając liściem żółtym lub zarumienionym. Kiedy niekiedy uschłe liście z małym trzaskiem kruszyły się pod stopami idącego, który coraz zwalniając kroku prowadził wzrokiem po dwóch zielonych ścianach alei, od szczytów natykanych złotem i czerwienią, do pni grubych, okrytych porostami jak szmatami koronek zielonawych. Myślał, że wcale uroczym kąciem jest ten ogród, choć nieduży i znajdujący się w mieście niedużym. Ale może dlatego właśnie jest uroczym, że napęnia go cisza taka, jakiej prawie nie podobna znaleźć w miastach wielkich i nawet w rezydencjach wiejskich, ale wielkich. Długo żyć w takiej ciszy mógłby chyba kameduła; ale na czas jakiś może być ona bardzo przyjemną. Wydziela się z niej coś kojącego i zarazem obudzającego marzenia niewyraźne. Chciałoby się w tej ciszy i wśród tych drzew starych widzieć idyllę. Czy tylko widzieć? Może także i brać udział. w sielance naiwnej jak baśnie o pasterzach zakochanych, tajemniczej jak gniazda ukryte w zielonych gęstwinach. Nie są to zapewne marzenia bardzo mądre, ale w tym miejscu rodzą się w wyobraźni same przez się, niby sny nikłe, po których zostaje przez parę godzin trochę tęsknoty na dnie serca. A cóż zresztą na świecie jest bardzo mądrym? Gwar i ścisk ludzki, każdy bez wyjątku, ciecze takąż ilością głupstwa co mądrości; a nawet jest to proporcja ustanowiona zbyt optymistycznie. Owszem, w gwarach i ściskach ludzkich mądrość do głupstwa znajduje się w stosunku szczupłego odsetka. I prawda do fałszu także. Ta cisza i te drzewa nie kłamią przed nikim ani przed samymi sobą. A proszę mi pokazać wśród ludzi takie cudo, które by nie znało udawania, obłudy, pochlebstwa, zalotności. Mężczyźni są pochlebcami, kobiety zalotnicami, a nieraz spotkać można oba te piękne przymioty połączone w osobnikach płci każdej. Przyjaźń mężczyzny i miłość kobiety – żart natury ukazującej ludziom ideały dlatego, aby przez całe życie byli dziećmi goniącymi za motylami. Ale nie każdy pozwala aż do końca wyprowadzać siebie w pole. Są tacy, którym doświadczenie, nawet niezbyt długie, udziela przekonania, że z motyla pochwyconego wkrótce pozostaje na dłoni trupek dość obrzydliwy. Takim miło jest odetchnąć niekiedy ciszą i samotnością, z których wydziela się zapach idylli – będącej blagą poetów. Bo w rzeczywistości idylla miewa ręce

czerwone, a w sercu pociąg magnetyczny do kieszeni pasterza zakochanego. Tu, z dala od ludzi, korzystnie byłoby czytać Rochefoucaulda. Co za pędzel ciemny i wiemy prawdzie życia – ciemnej! Trzeba koniecznie przyjść do tej alei z Rochefoucauldem i pod drzewami usiadłszy... Usiadłszy! Ale gdzie? Czy są tu jakie ławki?

Dla zobaczenia, czy w alei starej i cienistej jest jakie miejsce, w którym mógłby usiąść z Rochefoucauldem, podniósł głowę i stanął jak wryty. O kilka kroków przed sobą, tuż za sztachetami, zobaczył dziewczynę w sukni perkalowej w różowe i szare paski, na wąskiej ławeczce, pod krzakiem bżowym, szyjącą pośpiesznie. Kwiat fasoli gorzał jak płomyk w jej czarnych włosach; czarne kędziorki wiły się po karku schylonym nad robotą i po białej szluzie obejmującej szyję u brzegu stanika. Średniego wzrostu, wątpła i zgrabna, z cerą bladawą i pąsowymi ust, miała pozór delikatny i zarazem bardzo świeży. Szybkość, z którą szyła, nie przeszkadzała jej sięgać, kiedy niekiedy po kromkę chleba leżącą na stoliczku zbitym z dwu desek grubych i od starości popękanych. Odgryzała kawałek i przeżuując go szyła znowu. Chleb był ciemny, zęby, które się w nim zatapiały, białe i równe jak perły. Dwie, trzy minuty szycia i znowu ręka, błyskając napastrkiem, wyciąga się po kromkę, coraz mniejszą. Za to roboty już wykonanej przybywa. Zszywanie dwu kawałków perkalu zbliża się do końca. Jeszcze jeden kęs chleba i jeszcze ściągów kilkanaście, jeszcze jeden i jeszcze kilkanaście, aż białe ząbki zamiast chleba przecinają nitkę zaprawioną; dziewczyna wyprostowuje kibić, z przechyloną nieco głową przypatruje się robocie wykonanej i znać uznaje, że robota jest dobrze wykonana, że chleb był smaczny, że pogoda piękna, bo z ust jej wybiega wesoła nuta walca:

– La, la, la! la, la, la! la!

Młody mężczyzna postąpił kilka kroków i wyszedł zza drzew, przez których gałęzie dość długo przypatrywał się dziewczynie. Suche liście zaszeleściły mu pod stopami. Ona szybko obróciła twarz, okrytą wyrazem zdziwienia. W oczach jej, ze źrenicą złotawą i błyszczącą, było trochę przestachu. Odkąd przychodzi tu, więc od lat trzech przeszło, pierwszy raz widzi kogoś przechadzającego się po tym ogrodzie. Ale przestach trwał krótko. Powierzchność człowieka zobaczonego niespodzianie sprawiała wrażenie miłe. Był też widocznie grzecznym, bo spotkawszy się oczyma z jej spojrzeniem, podniósł nad głowę kapelusz, co odsłoniło czoło pięknie wykrojone i mające pomiędzy brwiami zmarszczkę pionową. Ta zmarszczka, wobec młodości postawy i twarzy, od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy, zarówno jak podłużny kształt i białość ręki podnoszącej kapelusz. Przez parę sekund zdawał się wahać czy namyślać; potem szybko przystąpił do sztachet i z kapeluszem ciągle podniesionym nieco, bardzo grzecznie wymówił:

– Czy mogę zapytać panią, kto mieszka w tym ładnym domku?

Oczyma wskazywał białą ruderkę topiącą się w splotach fasoli.

Ona, zmieszana trochę, odpowiedziała:

– My tam mieszkamy...

Zaraz jednak poprawiła się:

– Ojciec mój, Teofil Wygrycz, ja i rodzeństwo moje...

Układ jej i sposób mówienia objawiały, że była nawykłą do uprzejmego obchodzenia się z ludźmi i że zmieszana zrazu, prędko odzyskiwała śmiałość.

– Miłe ustronie – zauważył.

O, bardzo! – potwierdziła z oczyma pełnymi zachwyty; – tak zielono tu jest i spokojnie...

– Gniazdko zaciszne – dodał i zaraz zapytał jeszcze: – Któż to zasadził przy domku te piękne rośliny, które oceniają go w sposób tak malowniczy?

Uradowana pochwałą, odpowiedziała z żywym blaskiem oczu:

– Nieprawdaż, że ślicznie fasola wyrosła nam w tym roku? Sadzimy ją z siostrą każdej wiosny, ale nigdy jeszcze nie była tak wysoką i gęstą...

– Jest istotnie wysoką i gęstą nad podziw. Na klombie też widzę kwiatki. Czy także są przez panią zasiane lub zasadzone?

– Trochę lewkonii i rezedy... tylko trochę, ja i siostra moja nie mamy czasu uprawiać więcej...

– Siostrzyczka pewnie starsza?

– Owszem, młodsza ode mnie o lat cztery...

– Więc ma lat?

– Piętnaście...

Umilkli; ona, znowu zmieszana, spuściła twarz nad robotę i szyć zaczęła; on, oparty o sztachety, patrzył na nią i nie odchodził. Zmieszanie, które ją ogarnęło, pochodziło właśnie ze sposobu, w jaki patrzył na nią.

Zdjął był przed chwilą kapelusz i oczy jego w oprawie podłużnej, duże, bardzo szafirowe, miały pod czołem, przekreślonym zmarszczką głęboką, uśmiech żartobliwy. W tym uśmiechu oczu, w postawie, w sposobie mówienia trochę powolnym i rozdzielającym sylaby wyrazów, nie było wcale niegrzeczności, ale z całej osoby nieznajomego uderzała pewność siebie i wytworność, które ją mieszały. Przy tym wiedziała, że młoda panna nie powinna wdawać się w długie rozmowy z ludźmi nieznajomymi, ale paliła ją po prostu ciekawość: kto to taki? skąd i jakim sposobem znalazł się w tym miejscu, zazwyczaj bezludnym? Myślała: „Jakby to się zapytać?” – ale żadna forma zapytania nie przychodziła jej do głowy. Szyła tedy, a przez głowę jej mknęły myśli: „Może odejdzie sobie? Może ja powinnam wstać i odejść? Ale byłoby to niegrzecznie. Po cóż mam uciekać? Jestem przecież w swojej altance. Niech on sobie idzie, skąd przyszedł! Kto to taki? Kto to być może? Przystojny... głos szczególnie ma bardzo miły...”

On, pomilczawszy parę minut, głosem istotnie bardzo miłym mającym w sobie coś z miękkości aksamitu, przemówił znowu:

– Co to pani robi?

Nie podnosząc głowy ani oczu odpowiedziała:

– Szyję koszulę dla brata...

Nie widziała uśmiechu, który przemknął po ustach nieznajomego.

– Braciszek dorosły?

– O nie, o dziesięć lat młodszy ode mnie...

– Więc pani jest najstarszą z rodzeństwa?

– Tak.

– Ale ja w jednym powiedzeniu pani spostrzegłem pewne opuszczenie... pewien brak...

Mówiła pani: mój ojciec, ja i rodzeństwo moje... A mama?

Po kilku sekundach milczenia odpowiedziała z cicha:

– Od czterech już lat nie mamy matki. Umarła...

– I pani zastępuje ją rodzeństwem...

Wciąż szyjąc, z głową pochyloną, cicho odpowiedziała:

– Staram się o to... pragnę bardzo... o ile podobna... Z ust i z oczu nieznajomego zniknął uśmiech żartobliwy, ramię jego silniej oparło się o sztachety, po chwili też przemówił:

– Widzę książkę w koszyczku... pani lubi lekturę?

– Tak, bardzo lubię czytać...

– Cóż to jest... ta książka?

Wyciągnął rękę nad sztachetami; ona, nie zaraz i z wahaniem, jednak podała mu przedmiot żądany. Cóż on sobie myśli, doprawdy? Stoi i stoi! Rozmawia i rozmawia! I nie mówi, kim jest! To niegrzecznie, choć z drugiej strony... jest bardzo grzecznym!

Książka miała okładkę grubą i zniszczoną, cała zresztą była zniszczoną czytana zapewne po wiele razy i przez wiele osób. Nieznajomy otworzył ją, zaczął przewracać kartki i zatrzymał wzrok na wierszach, przy których znajdował się znak zrobiony ołówkiem.

- Czy to pani podkreśliła te wiersze?
 - Tak – cichutko odpowiedziała.
 - Tak się pani podobają?...
- Półgłosem zaczął czytać wiersze podkreślone:

..przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem...

Jakkolwiek półgłosem tylko, czytał jednak pięknie. Dziewczyna doświadczyła wrażenia szczególnego. Nigdy w życiu nie słyszała poezji czytanej głośno, a ten głos był taki aksamitny, przejęty pieszczotą, z czymś jeszcze na dnie, jakby z trochę smutku... On głos ten swój zawiesił na chwilę i pomyślał: „Jednak daleko znalazłem się od Rochefoucaulda... w stronie zupełnie przeciwnej...” I czytał dalej:

...gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała.
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną...

Jej, nie wiedzieć skąd i dlaczego, łzy zaczęły cisnąć się do oczu. Bywało z nią tak zawsze, ilekroć słuchała muzyki, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Zawstydziała się ogromnie, a obok wstydu, uczuła trochę gniewu. Cóż znowu? Nie tylko rozmawia z nią, ale nawet czyta sobie głośno jej książkę, jakby od stu lat byli z sobą znajomymi! a nazwiska swego nawet nie powiedział. Zebrała się na śmiałość i ręce z robotą na kolanach składając, z poważnym, nawet surowym wyrazem twarzy zapytała:

- Pan daleko stąd mieszka?

Czuła sama, że wymówiła to pytanie głośniejsze, niż chciała, i że zanadto już brwi ściągnęła. Ale to tak zawsze: kiedy trzeba zdobyć się na wielką śmiałość, zawsze się coś przesadzi!

On podniósł oczy znad książki i trochę niedbale odpowiedział:

- Bardzo blisko...

Potem przeczytał jeszcze dwa wiersze:

...Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju...

Ale jakby w czasie czytania tych dwóch wierszy namyślił się, zamknął książkę i rzekł z ukłonem:

– Dotąd jeszcze nie przedstawiłem się pani. Nie przypuszczałem, aby rozmowa nasza mogła się tak przeciągnąć. Ale teraz widzę, że będę pragnął, aby mogła się powtarzać...

Spuścił na chwilę oczy, pomyślał, potem dokończył:

- Jestem Juliusz Przyjemski, mieszkam w tym dużym domu...

Wskazał pałac książęcy. Dziewczyna poweselała; czuła, że przyzwoitości towarzyskiej stało się zadość, ale była trochę zdziwioną.

- Myślałam, że w tym pałacu nikt nie mieszka...

– Dotąd, oprócz służących, nikt w nim nie mieszkał. ale wczoraj przybył tu, na czas jakiś, jego właściciel.

- Książę! – zawołała.

- Tak; książę, który z powodu interesów majątkowych zabawi tu czas jakiś...

Ona pomyślała chwilę i z wahaniem zapytała:

– A pan przyjechał z księciem?

– Tak – odpowiedział – przyjechałem z księciem Oskarem...

– Pan jest zapewne u księcia Oskara w gościnie?

– Bynajmniej, pani. Jestem domownikiem księcia, jeżdżę i przebywam z nim wszędzie i zawsze...

Zastanowił się chwilę i dodał jeszcze:

– Jestem domownikiem i zarazem przyjacielem najbliższym księcia.

Pomyślała: „Pewno sekretarz albo plenipotent księcia!” Wiedziała o tym, że wielcy panowie miewają plenipotentów i sekretarzy. Co ona tam zresztą wiedzieć mogła, jakie urzędy znajdują się przy dworach książęcych! Pewno są liczne i rozmaite. Ale uczuła zadowolenie z tego, że świeżo poznany człowiek nie był gościem książęcym. Wcale nie wiedziała, dlaczego ją to ucieszyło, ale ucieszyło.

– Czy księżę jest młody? – zapytała.

Przyjemski zawahał się chwilę, a potem z uśmiechem, który wydał się jej trochę dziwnym, odpowiedział:

– Tak i nie; żyje niezbyt długo, lecz doświadczył wiele...

Potakująco wstrząsnęła głową.

– O, tak! Wyobrażam sobie, ile szczęścia i przyjemności doświadczyć musiał!

– Pani tak myśli?

– Naturalnie. O Boże! Będąc tak bogatym może robić zawsze, co mu się tylko podoba!

Cienkimi palcami przerzucając od niechcienia karty książki odpowiedział:

– I nieszczęście jego w tym tylko... że mnóstwo rzeczy przestało mu się podobać.

Zastanowiła się chwilę.

– Pewno – rzekła – wiele rzeczy może okazać się nie takimi dobrymi jak z początku albo z daleka...

– Pani to już rozumie? – z niejakim zdziwieniem zapytał.

Z wesołym uśmiechem odpowiedziała:

– Żyję niedługo, ale już wiele doświadczyłam...

– Na przykład? – zapytał żartobliwie.

– Miałam już kilka albo i kilkanaście takich wypadków, w których czegoś bardzo chciałam, o czymś bardzo marzyłam, a potem przekonałam się, że nie warto było chcieć i marzyć...

– Na przykład? – powtórzył.

– Na przykład, pragnęłam mieć przyjaciółkę, ale taką serdeczną, serdeczną, z którą mogłybyśmy żyć prawdziwie razem.

– Co to znaczy: żyć prawdziwie razem?

– To znaczy: nie mieć nic osobnego, tylko wszystko wspólne. Wspólnie myśleć o wszystkim, wzajemnie pomagać sobie we wszystkim, wspólnie cieszyć się i biedować...

– Piękny program. Czy udał się pani?

Spuściła twarz nad robotą.

– Nie udał się. Już ze dwa razy myślałam, że mam taką przyjaciółkę, i byłam ogromnie szczęśliwą, a potem...

– Pani pozwoli dokończyć? Potem przekonała się pani, że po pierwsze: te przyjaciółki były daleko mniej mądre od pani, więc nie podobna było razem z nimi myśleć; po drugie: że prawdziwie nie kochały panią... Tak?

Szyjąc ciągle, twierdzącą skinęła głową.

– Nie wiem, czy były mniej mądre ode mnie, ale że nie kochały mnie prawdziwie, to pewno.

On mówił zwolna:

– Ogadywały panią... kopały pod panią dołki... za byle drobnostkę obrażały się na panią, a same co moment obrażały ...

Zdziwiła się ogromnie i podniosła głowę:

– Skąd pan wie?

Zaśmiała się.

– Książę doświadczał tego samego, tylko na bardzo szeroką skalę. Był z początku niezmiernie czułym i naiwnym, wierzył w przyjaźń, w miłość, w szczęście... un tas des choses w tym rodzaju, a potem przekonał się, że jedni ludzie jego nudzą, a innych on nudzi, że każde serce ma na dnie interes, a każda radość zdradę... Dlatego jest zarazem i młodym i starym.

Słuchała uważnie, potem ze współczuciem szepnęła:

– Biedny! Taki bogaty, a taki biedny!

Przyjemski zamyślił się. Stał ciągle oparty o sztachety, wzrok spuścił ku ziemi i zmarszczyła pomiędzy brwiami stając się głęboką rzuciła mu na twarz wyraz znużenia i cierpienia. Ona przez chwilę patrzyła na niego z zamyśleniem, a potem z żywym błysnięciem oczu zawołała:

– Jednak są rzeczy zawsze miłe, piękne, dobre i książę, pomimo że tyle doświadczył, musi być jednak bardzo szczęśliwym...

Podnosząc powieki zapytał:

– Jakież to rzeczy?

Żywym gestem wskazała na ogród za sztachetami:

– Na przykład, taki ogród! O Boże, ileż razy siedząc tu myślałam, jakie to szczęście móc sobie zawsze, gdy tylko się podoba, chodzić i siedzieć pod takimi drzewami, patrzeć na piękne kwiaty, mieszkać w domu z taką piękną architekturą... Ja szczęśliwą już jestem, ile razy siedzę tu i tylko patrzę na linie tego pałacu, takie zgodne i eleganckie, na te drzewa, na ten trawnik... Wie pan, w kwietniu tyle fiołków bywa na tym trawniku, że trawa znika prawie pod nimi i robi się on cały fioletowy, a zapach idzie od niego tak silny, że aż do naszego domku dochodzi...

– Pani jest bardzo wrażliwą na piękność...

Ona ożywiła się teraz ogromnie. Z żywymi gestami i wesoło opowiadać zaczęła:

– Co ja się też napracowałam i nastarałam o to, aby w tym domku zamieszkać!... Zobaczyłam go raz wypadkiem. Przechodziłam ulicą, brama w parkanie była otwartą i przy niej stał stragan z owocami. Zaszłam, aby kupić trochę owoców dla ojca... Patrzę, taki śliczny domek stoi w ogrodzie jednym, a tuż obok drugi ogród, daleko większy, z takimi pięknymi drzewami. Tak mi się zechciało, aby ojciec i dzieci mieszkały w tym domku, pomiędzy tą zielonością, w takim spokoju miłym... sama też Bóg wie co dałabym była za to, aby tu mieszkać... Ale było bardzo trudno... Musiałam wynaleźć właściciela, dobić się do niego. bo jest to bogaty człowiek i mieszka w środku miasta, w kamienicy ogromnej. Kilka razy do niego chodziłam, zanim zechciał rozmówić się ze mną. Potem okazało się, że to dla nas trochę za drogo, że trzeba było czekać, że przenosiny kosztują wiele!... E! mnóstwo było bied i trudności rozmaitych, ale przewyciężyłam wszystkie i, dzięki Bogu, przenieśliśmy się tutaj... Już przeszło trzy lata temu...

– Więc pani miała lat szesnaście, kiedy dokazywała takich czynów bohaterskich.

Zaśmiała się.

– Do bohaterstwa to daleko, ale trzeba było silnego postanowienia. Jestem też przekonana, że zdrowie ojca podtrzymuje się jako tako tylko przez to, że mieszka on w takim dobrym powietrzu i w takiej ciszy. Gdybyśmy byli pozostali na dawnym mieszkaniu, w zaułku brudnym i krzykliwym, kto wie, co by było? A tu ojciec ma się nielepiej wprawdzie, ale i niegorzej, i wszystkim nam dobrze...

– Dobrze! – z zamyśleniem powtórzył Przyjemski – więc pani czuje się zupełnie szczęśliwą, odkąd tu mieszka?...

Szyjąc, smutnie wstrząsnęła głową.

– Niezupełnie; bo wcale, wcale nie jestem spokojną o zdrowie ojca i przyszłość dzieci...

– A o swoją?

Tym razem podniosła na niego oczy ogromnie zadziwione:

– O swoją przyszłość? A cóż mi się stać może? Jestem już przecież dorosłą i w każdym wypadku dam sobie radę...

– To pani szczęśliwszą jest od księcia, bo on nie może dać sobie rady...

– Z czym?

– Ze wszystkim. Sam nie wie, co ma robić z sercem zrażonym, bo po wielekroć zranionym, z dniami i godzinami, które nie mają celu.

– Biedny – westchnęła znowu, ale po chwili bardzo żywo mówić zaczęła:

– Mnie się jednak zdaje, że książe mógłby być szczęśliwym, tylko albo nie chce, albo nie umie. Doprawdy, może jestem zarozumiała, ale zdaje mi się, że będąc na jego miejscu wiedziałabym, co robić z sercem i z życiem.

– Doprawdy? Cóż by pani robiła?

– Weszłabym na szczyt tej baszty, widzi pan... tej... na sam szczyt... i obejrzałabym z niego całuteńkie miasto. Zobaczyłabym wszystkich, którzy tylko w nim żyją, cierpią, czegokolwiek potrzebują i...

Urwała i najniespodzianie zapytała:

– Widział pan kiedy medalik z Matką Boską Paryską?

– Zdaje mi się... zapewne... niedobrze sobie przypominam...

– Matka Boska Paryska stoi, a z obu Jej rąk leją się potoki promieni... takich promieni, co pocieszają i co oświecają, i co od złego bronią... Gdybym była na miejscu księcia, wszedłabym na tę basztę, spuściłabym ręce i lałabym z nich potoki, potoki promieni... O Boże, jaka byłabym szczęśliwa!...

Mówiąc czyniła gesta odpowiednie. Ukazywała na szczyt baszty, potem spuściła ręce i wstrząsała nimi, jakby coś z nich sypała na ziemię. Przyjemski słuchał, oczy jego pod zmarszczką głęboką nabierały blasku i miękkości.

– Ładnie, bardzo ładnie! – szepnął do siebie.

Ale zaraz z trochę ironii przemówił głośno:

– Święta wiara w zbawienne skutki filantropii! Nie będę jej pani odbierał. Nie trzeba pani nic odbierać i... nic dodawać... Nie wiem, jak tam z księciem, ale co do mnie..

Z lekkim uchyleniem kapelusza, który przed chwilą włożył był na głowę, dodał:

– Szczęśliwy jestem, że traf pozwolił mi panią poznać...

Twarz jej okryła się rumieńcem karminowym. Zaczęła prędko, prędko wkładać robotę do koszyka.

– Pora mi już do domu...

– Już? – zapytał z żalem.

Spojrzał na książkę, którą trzymał w ręku.

– Czy pani będzie łaskawą pożyczyć mi tę książkę do jutra?

– Owszem, z przyjemnością – uprzejmie odpowiedziała.

– Oddam ją pani jutro... gdy pani znowu o tej porze przyjdzie do tej altanki. Dobrze?

– Dobrze – bez wahania odpowiedziała – ja tu co dzień przychodzę, kiedy tylko pogoda piękna...

– Oby jutro była piękną!...

Od strony domku głos dziecinny zawołał:

– Klarcu! Klarcu!

Na ganeczku z dwoma słupkami stał malec w mundurku gimnazjalnym, trochę więcej niż dziesięcioletni, i obu ramionami machając ku altance, na cały ogród wołał:

– Klarcu! Klarcu! Już przyszedłem! Ojciec też idzie, i Frania zaraz z magazynu przyleci... Chodź prędeż i daj obiad! Okropnie jeść chce się!...

– Idę, idę! – odskrzyknęła i skinąwszy głową nowemu znajomemu odbiec miała, gdy on zatrzymał ją jeszcze słowami:

– Niech pani mi na pożegnanie rączkę poda...

Bez wahania, z uprzejmym dygnięciem wyciągnęła rękę i wtedy dopiero, gdy ta ręka zgrabna, ale ze skórą trochę zgrubiałą i szorstką, znalazła się w dłoni białej, miękkiej i obejmującej ją uściskiem miękkim, długim, rumieniec karminowy oblał twarz jej od czarnych kędziorków nad czołem do białej szlarki otaczającej u szyi brzeg stanika.

II

Dużo przed południem Juliusz Przyjemski siedząc z książką w ręku na ławce ogrodowej spoglądał często na domek stojący w fasoli pośród ogrodu sąsiedniego. Sztachety niskie i gałęzie drzew, rozstępujących się w alei, pozwalały widzieć dokładnie wszystko, co się dzieje dokoła tego domku.

Widział naprzód człowieka wysokiego, chudego, z siwiejącymi włosami, który wyszedł na ganek w paltocie znoszonym, w czapce z gwiazdką, ze szczupłą teczką pod ramieniem. Za nim wybiegła Klara i obie ręce położywszy mu na ramionach coś mówiła do niego, aż podała mu czoło do pocałowania i do domku wbiegła. Chudy, siwy człowiek poszedł z wolna ku bramce w parkanie prowadzącej na ulicę, ale był w połowie drogi, gdy zatrzymało go głośne wołanie z wnętrza domku:

– Tatku! Tatku!

Dziewczynka w sukni jeszcze nie dosięgającej ziemi, w błękitnej chusteczce na głowie, uczepliła się jego ramienia i razem już wyszli z ogrodu.

Przyjemski uśmiechnął się.

– Tatko poszedł do biura, siostrzyczka do magazynu... Ten Benedykt to sprytny ptaszek!... Powiedziałem mu wczoraj: „Dowiedz się!” – i dziś z rana już wszystko wiedział. Trzydzieści rubli na miesiąc, phi! bieda musi tam aż piszczeć. Naturalnie. Od tego są idylle, aby poetyzować na głodno! Czarny chleb zajada, a w koszyczku poematy nosi...

Spuścił wzrok na książkę, którą trzymał w ręku. Nie był to Rochefoucauld, ale ta stara książka w podartej oprawie, którą wczoraj pożyczył od swojej nowej znajomej. Znowu kilkanaście wierszy zakreślonych ołówkiem; znowu więc ustęp ulubiony. Zobaczmyż jaki.

Słońce już zgasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany...

Podniósł wzrok znad książki, zamyślił się.

– Jak ja to dawno czytałem, jeszcze w dzieciństwie... Bardzo to ładne! Tu szczególnie pod tymi drzewami, w tej ciszy, lektura bardzo stosowna... Dziś jeszcze nie oddam jej tej książki i przeczytam ją od początku do końca... Ciekawym, co też ona robi w tej chwili... za tą fasolą?

Dowiedział się o tym natychmiast. Na mały ganek wyszła Klara dźwigając w obu rozpostartych rękach coś ciężkiego. Przyjemski pochylił się naprzód, aby lepiej widzieć, i zobaczył, że dziewczyna, z rękawami sukni do łokci odwiniętymi, niosła małą balię napełnioną płynem, który wylała z dala od domku, za rozłożystą jabłonią i krzakami agrestu. Gdy wracała z pustą już balią w opuszczonych rękach, zauważył, że miała przód sukni okryty fartuchem płóciennym.

– Zapewne pierze, skoro ma do czynienia z balią. Taka jednak delikatna i z rozumkiem... Jak ona wczoraj mówiła o tej Najświętszej Pannie Paryskiej... bardzo ładnie... bardzo ładnie...

Czytał, myślał, odchodził, powracał, odszedł na długo i w parę godzin po południu wrócił znowu prawie o tej samej porze, o której wczoraj zobaczył Klarę. Usiadł na ławce z tą samą książką w starej oprawie i co chwilę podnosił wzrok znad jej kartek spoglądając w ogród sąsiedni. Po pewnym czasie szybkim ruchem pochylił się, aby lepiej widzieć przez gałęzie. Ktoś wyszedł na ganek z domku, nawet dwie osoby wyszły.

Jedną była staruszka w czarnym ubraniu, w czarnej chustce na siwiuteńkich włosach, drugą Klara, ubrana jak do wyjścia na miasto, w zarzutce ciemnej i kapeluszu słomianym, opasa-

nym wstążką. Zeszły z ganeczku i prędko przeszedłszy ogród wyszły przez bramkę w parkanie na ulicę.

– Basta! – uśmiechnął się Przyjemski – poszła sobie i tu już pewno nie przyjdzie. Spłoszyłem ptaszynę. Szkoda, bo jest milutką!...

Ruchem nerwowym zamknął książkę i poszedł ku pałacowi z pogłębioną zmarszczką pomiędzy brwiami.

Klara od samego rana myślała nad tym; pójść czy nie pójść? Dając śniadanie ojcu i dzieciom, sprząając mieszkanie, gotując obiad piorąc fartuch swój i różne drobiazgi dziecinne, co chwilę zapytywała siebie; pójść czy nie pójść do altanki bżowej, gdzie z pewnością zjawi się zaraz po drugiej stronie sztachet pan Przyjemski? Robota szła jej dziś nie tak gładko jak zwykle, bo co chwilę stawała i myślała o spotkaniu wczorajszym.

„Dziwny wypadek! Spotkać człowieka nieznanego, rozmawiać z nim tak długo i nawet książkę mu pożyczyć! Nie słyszałam nigdy, aby ktokolwiek tak pięknie czytał. Jaki on miły! Dziwna ta jego zmarszczka na czole, taka głęboka, a pod nią oczy takie szafirowe, szafirowe, czasem śmiałe i śmiejące się, a czasem takie smutne! Jaki on miły! Raz tak jakoś na mnie popatrzał, że chciałam wstać i uciec... Uczułam coś takiego, jakbym się na niego obraziła nie wiedzieć za co, ale potem zaczął mówić o księciu rzeczy takie zajmujące... Jaki on miły! Jak on to powiedział: „Pani nie trzeba nic odejmować i nic dodawać!” Jaki on miły!...”

Ogień kuchenny piekł i rumieńcem gorącym okrywał jej policzki; stawała też często przed otwartym oknem i z rozkoszą czuła powiewy wiatru muskające ją po twarzy. Im więcej zbliżała się pora, w której zazwyczaj szła do altanki, tym większy niepokój ją ogarniał.

Wreszcie zrobiła już wszystko, zdjęła fartuch, wyjęła z szafki koszyk z robotą. Jeszcze raz: pójść czy nie pójść? Przy spojrzeniu na koszyk przypomniała sobie książkę pożyczoną wczoraj. Jakże? trzeba pójść choćby dlatego, aby tę książkę odebrać. Naturalnie, gdyby nie przyszła, cóż by uczynił z tą książką? Musiałby chyba ją odsyłać i sprawiłoby mu to kłopot z jej przyczyny. Ma się rozumieć, że pójdzie. To jej altanka, ma prawo w niej przesiadywać, a ten pan może sobie tam przychodzić albo nie przychodzić, co jej do tego! Jaki on miły!... I cóż w tym złego będzie, jeżeli znowu trochę z sobą porozmawiają?

Postanowienie powzięte tak ją ucieszyło, że biorąc koszyk i biegnąc ku drzwiom zanuciła:

– La, la, la! la, la, la!

Ale drzwi otworzyły się, nim do nich dobiegła, i ukazała się w nich staruszka trochę krępa i ciężka, w czarnej sukni, z twarzą okrągłą i rumianą, pod włosami jak srebro błyszczącymi, przykrytymi czarną chusteczką wełnianą. Klara z uciechą pocałowała ją w rękę, ubraną w wełnianą mitenkę.

– Niech pani droga usiądzie – zapraszała.

– Nawet siadać nie będę – ciężko dysząc odpowiedziała staruszka, ale przez chwilę nie mogła mówić dalej, bo z niejaką trudnością wyjmowała coś z kieszeni sukni. Były to dwa rumiane jabłka i garstka cukierków na straganie kupionych.

– Jabłuszka dla tatki, a cukierki dla dzieci – rzekła kładąc na stole przedmioty przyniesione.

Oczy jej duże i bardzo błękitne śmiały się pod siwymi brwiami i uśmiech dobroduszny rozchyłał szerokie usta. Klara pocałowała ją znowu w rękę.

– Dlaczego pani nie chce usiąść?

– A bo mi pilno i przyszedłam po ciebie. Teraz masz czas i możesz pójść ze mną do sklepów. Trzewiki nowe muszą kupić; widzisz, w jakich chodzę...

Wysunęła spod czarnej sukni i Klarze pokazywała nogę dużą, płaską, w białej pończosze i prunelowym trzewiku, wydeptanym i znoszonym.

– Bez ciebie nie kupię. Oni mię oszukają, Bóg wie jakie dadzą i będę miała niewygodę. Szlerek mi też trzeba do ogarniowania czepeczków; te, co były, podarły się na nic. Bez ciebie nie kupię. Zarzuć tam co na siebie i chodźmy.

Klara słuchała z głową pochyloną. Zrobiło się jej bardzo smutno, ale zaraz podniosła oczy i przemówiła raźnie:

– Dobrze, pójdę zaraz, tylko wezmę okrycie i kapelusz.

Zaraz też wyszły. Wyszedszy Klara zamknęła na klucz drzwi domku i klucz włożyła do kieszeni sukni. Ojciec miał zawsze drugi przy sobie. Gdy przechodziły przez ogród, starszuszka mówiła:

– Rozmienimy w sklepach pieniądze i dam ci na wpisowe dla Stasia. Już pora zapłacić, prawda?

– Dziękuję pani – szepnęła Klara. – Gdyby nie pani dobroć, nie wiem, jakim sposobem moglibyśmy Stasia posyłać do gimnazjum.

– Co tam, co tam! Ręka rękę myje. Ogarnirujesz mi czepeczki nowymi szlarkami, a?

– Z największą ochotą!

Przed bramką prowadzącą na ulicę obejrzała się na altankę bżową, przytuloną do ściany drzew wysokich i rozłożystych.

„Adieu!” – pomyślała i znowu zrobiło się jej ogromnie smutno.

Po zrobieniu sprawunków ze swoją starą znajomą i dobrodziejką, biegła do domu śpiesznie, gdy w bramce ogrodu spotkała się oko w oko z jedną z tych swoich przyjaciółek, o których wczoraj opowiadała Przyjemskiemu i które ją zawiodły. Zawiedziona, popłakała była trochę, ale nie chowała urazy do dziewczyny, która przyjaźniąc się z nią, wyśmiewała się z niej przed znajomymi nazywając ją praczką, fląderką itp. Nie była już z nią w przyjaźni, ale przebaczyła jej od dawna i widywały się z sobą niekiedy. Blondynka, świeża i różowa jak wiosna, wystrojona, z kwiatami na kapelusiku ślicznym, objęła ją i pocałowała. Na Klarze jej pocałunki sprawiały przykre wrażenie czegoś fałszywego, ale poddała się im uprzejmie. Paulinka była u niej i znalazłszy drzwi zamknięte odchodziła. Na zaproszenie Klary, aby wróciła, odpowiedziała, że nie ma czasu i że miała wpaść do niej tylko na chwilę, bo dziś, za godzinę, wybiera się na przechadzkę zamieską z towarzystwem dość licznym. Idą do lasu, biorą z sobą różne jedzenie w koszykach, będą bawić się bardzo wesoło. Szkoda, że to towarzystwo jest nieznanym Klarze, bo może wzięłaby udział w tej przechadzce.

– Ej, nie – przerwała Klara patrząc na jasną i strojnie zrobioną suknię rówieśnicy – domu nie zostawiłabym na tak długo.

– A ojciec?

– Ojciec sypia po obiedzie. Ja ze Stasiem lekcje powtarzam.

Chciała pożegnać towarzyszkę, ale jakoś nie wypadało. Ta zaś mówiła, że wieczór wczorajszy spędziła w jej sąsiedztwie, u dozorca pałacu książęcego, z którego żoną przyjaźni się jej matka.

– Zawsze cię namawiałam, abys się z Perkowskimi zapoznała, mieszkając tak blisko... ale nie chciałaś. Wczoraj było nam wesoło, tańczyliśmy nawet trochę i jeden był tylko zawód: pan Przyjemski nie przyszedł...

Klara doświadczyła uczucia małego uderzenia w piersi, ale tak dobrze opanowała siebie, że nawet powieka jej nie drgnęła Paulinka zaś trzepała dalej:

– Bo książę Oskar w tych dniach przyjechał i przywiózł z sobą sekretarza, który nazywa się pan Juliusz Przyjemski, jest w wielkich łaskach u księcia, u Perkowskich był parę razy dla interesów, naturalnie, przecież musiał pomówić o różnych rzeczach z rządcą pałacu. Otóż oni go zaprosili na wczorajszy wieczorek, a pomiędzy nami mówiąc, nawet i wydali ten wieczorek dlatego, aby sekretarza księcia zaprosić i przyjąć! Aż tu wziął i nie przyszedł! Szkoda, bo ogromnie byłam ciekawa tego pana Przyjemskiego! Młody podobno, brunet, przystojny i bardzo wesoły...

– Brunet!... – powtórzyła Klara.

Ale Paulinka śpieszyła się i wygadawszy, co miała najważniejszego, zegnała ją, znowu obejmując i całując.

– Szkoda mi ciebie, moja ty duszko droga, że tak ciągle w domu siedzisz... Do widzenia, do widzenia! Lecę na obiad, a potem na przechadzkę...

Klara wchodząc do domu powtarzała sobie w myśli: „Brunet!” – i śmiała się. Wcale nie brunet, tylko ciemny blondyn. I nie bardzo wesoły, ale owszem, trochę smutny. Paulinka jak zawsze trzępie o wszystkim, co wie i czego nie wie. Ktoś jej powiedział, że brunet bardzo wesoły, ona też powtarza. Pewno państwo Perkowscy zaprosili go na zbiorową przechadzkę za miasto, tak jak wczoraj na wieczór, i on pewno będzie im towarzyszył. Bo któż by nie chciał pójść za miasto, do lasu?... Jak im będzie przyjemnie i wesoło! Chciałaby tam być, w lesie, z tym towarzystwem; tak by chciała, że aż obu łokciami oparła się o starą komódkę i dłonie przycisnęła do oczu, które napełniły się łzami. Po dwóch minutach takiego stania z łokciami na komódce i twarzą w dłoniach zobaczyła ojca wchodzącego z ulicy do ogrodu i wybiegła na jego spotkanie.

Dzień przeminął i wieczór się kończył. W domku pomiędzy fasolą nawet już się skończył, bo małe okna jego pogasły, oprócz jednego, należącego do pokoiku Klary. Ona szła jeszcze, ale po godzinie dziesiątej zostawiła robotę na stole, z zamiarem powrócenia do niej wkrótce, i wybiegła na ganek. Wywabily ją z pokoju ciche szelesty fasoli poruszanej małym wiatrem i gwiazdy, które świeciły naprzeciw niej, za oknem. Ganek miał parę wschodek; podziurawionych i kołyszących się od starości. Usiadła na jednej z nich, dłonią twarz podparła i wpatrzyła się w wieczór piękny, cichy. Cicho tu było bardzo. Nikt już nie przejeżdżał o tej porze ulicą ciągnącą się za parkanem, ustronną i prawie zamiejską. Od środka miasta dochodził szum daleki, przez odległość stłumiony i monotony. Wielkie drzewa w ogrodzie książęcym czasem szumiały z cicha, czasem milkły i stały wśród zmroku jak ściana czarna. Niebo sierpniowe było pełne gwiazd, które ciemność nocną czyniły podobną do zmierzchu wieczornego, pozwalającego rozpoznawać zarysy przedmiotów dość oddalonych. Klara rozpoznawała swoją altankę ulubioną, przerwę w wielkiej alei i w głębi perspektywy, otwartej przez tę przerwę, ścianę pałacu, zarówno jak ściana drzew czarną wśród zmroku. Ale na jej tle czarnym jaśniał rząd świateł, które Klarze wydały się zrazu gwiazdami zza drzew przeświecającymi. Wnet jednak rozpoznała, że były to okna oświetlone. Rząd okien pałacowych, długich i wąskich, na górnym piętrze był oświetlonym. Odkąd Klara zamieszkała w sąsiedztwie pałacu, zdarzyło się to po raz pierwszy. Nic dziwnego, skoro w tej chwili przebywał w nim właściciel. Ciekawość, czy tylko książę znajduje się za tymi oknami oświetlonymi, czy także i sekretarz jego? Zapewne oni często albo i zawsze bywają razem. Ale pan Przyjemski może jeszcze nie wrócił z tej przechadzki zbiorowej za miasto, którą urządzili państwo Perkowscy. Może zaledwie teraz towarzystwo powraca z lasu. Czegóż mieliby śpieszyć? Pogoda śliczna i oni pewno weseli. Przez kilka godzin chodzili po lesie, w którym o tej porze lata paprocie są takie ogromne i wrzos kwitnie...

Już przed paru minutami oparła była łokcie o kolana i twarz położyła na obu dłoniach. Teraz z twarzą w dłoniach myślała o tym lesie zamiejskim, w którym była kilka razy w życiu, i obraz jego przedstawiał się jej bardzo wyraźnie, z drobnymi nawet szczegółami. Wyraźnie widziała gęstwiny zielone, pod którymi biegła ścieżyna kręta, z obu stron ścieżyny brzozy cienkie z białą korą, wrzos liliowy, mech siwy, paprocie krzaczaste. Tą ścieżką idzie para ludzi: pan Przyjemski i Paulinka... idą obok siebie i rozmawiają z sobą ciągle... on patrzy na nią szafirowymi, takimi bardzo szafirowymi oczyma, spod tej dziwnej zmarszczki, i mówi: „Pani nie trzeba nic odbierać i nic dodawać...”

Wszystko to: las i parę przez las idącą widziała pod zamkniętymi powiekami tak jasno, jak w dzień jasny, ale za to w niej samej robiło się ciemno...

Nagle usłyszała głos aksamitny, który dzieląc nieco sylaby wyrazów tuż nad nią wymówił:

– Dobry wieczór pani!

Nie wiadomo, co było w niej silniejszym: zdumienie czy radość. Byłaby raczej spodziewała się wszystkiego niż usłyszenia w tej chwili tego głosu i zobaczenia człowieka, który stał

przed nią, z kapeluszem w spuszczonej ręku. z twarzą, na której dojrzała pomimo zmroku uśmiech przyjazny i trochę żartobliwy.

– Przechadzając się po ogrodzie zobaczyłem panią na ganku i nie mogłem oprzeć się pokusie powiedzenia pani: „Dobry wieczór”. Piękny wieczór, nieprawdaż? W tej chwili szczególnie stał się bardzo pięknym. Pani tak była zamyślona! O czym?

Z początku nie słyszała, co mówił, tak silnie uderzało jej serce. Potem też nie była jeszcze dość przytomną, aby na zapytania jego odpowiedzieć. Stojąc na wschodce ganku, wskazała wąską ławeczkę.

– Proszę, niech pan usiądzie...

– A może tu lepiej będzie... pod gwiazdami...

Ręką z kapeluszem wskazał niebo i usiadł na wschodce ganku, która silnie zakołysała się pod nim. Ona usiadła także, nieco z dala. Już odzyskiwała przytomność umysłu i śmiałość; uczuciem panującym stało się w niej teraz uradowanie ogromne, które też dźwięczało w głosie, gdy zapytała:

– Którędy pan wszedł do naszego ogrodu?

– Drogą bardzo pospolitą. Przez bramkę w sztachetach.

– To prawda! Nigdy nie widziałam jej otwartą, zapomniałam, że istnieje...

– Zawiasy i zamek były zardzewiałe i otwierały się z trudnością, którą pokonałem. O czym pani myślała?

Otwartość wrodzona i radość coraz większa podyktowały jej odpowiedź wymówioną w sposób wesoły:

– Myślałam, czy też państwo wrócili już albo może jeszcze wracają z przechadzki zamiejskiej...

Podniósł twarz ruchem oznaczającym zdziwienie.

– Kto to: państwo? – zapytał.

– Państwo Perkowscy i pan. Mówiła mi jedna znajoma moja, że państwo Perkowscy zaprosili pana na przechadzkę zbiorową, która musiała być bardzo przyjemną... Ale dlaczego pan nie był wczoraj na wieczorze u państwa Perkowskich? Bardzo pana tam czekano.

Przyjemski dość długo nie odpowiadał, a kiedy zaczął mówić, w głosie jego czuć było trochę śmiechu.

– Ani na wieczorze, ani na przechadzce zbiorowej państwa Perkowskich nie byłem. Ale jeżeli pani pozwoli, będziemy mówili o czym innym i daleko przyjemniejszym niż... państwo Perkowscy. Bardzo dziękuję za książkę, którą mi pani pożyczyła, i jeszcze jej nie oddaję. Przeczytałem całą i za dni parę zwrócę. Wspaniałe poematy! Znałem go, ale z daleka. Wdzięczny jestem pani za to, że związałem z nim znajomość bliską. A teraz niech mi pani powie, jak pani cały dzisiejszy dzień przepędziła i czy nie wydał się pani długim? Dla mnie był bardzo długim. Co pani dziś robiła?

– To, co robię co dzień; nie ma o czym opowiadać..

– Ale przeciwnie; jest bardzo o czym i proszę panią, bardzo proszę...

Zaśmiała się wesoło.

– Owszem, czemuż nie miałabym opowiedzieć? Cóż? Uprzątnęłam mieszkanie, zgotowałam obiad, wyprałam sobie fartuszek, robiłam sprawunki dla znajomej... cóż więcej? Pomałałam bratu uczyć się lekcji, nalewalam herbatę, szylałam...

Wszystko to wypowiedziała swobodnie i z widoczną nawet przyjemnością. On zapytał:

– A nie czytała pani dziś wcale?

– Owszem, czytałam trochę, kiedy ojciec spał jeszcze, a Staś już lekcje umiał. Frania dziś nastawiała samowar, a ja trochę sobie poczytałam. Książki dostaję czasem od jednej pani, która była na pensji nauczycielką moją...

– Pani była na pensji?

Opowiedziała, że matka jej, z zawodu nauczycielka, uczyła ją sama do lat dwunastu, a potem zaczęła posyłać na pensję, której jednak skończyć nie mogła, gdyż po śmierci matki ciągle obecność jej w domu stała się konieczną dla ojca i malutkiego wówczas rodzeństwa. Przeszła chodząc na pensję z wielkim żalem, ale teraz wcale, wcale nie żałuje tego, bo przekonała się, że jest w domu potrzebną koniecznie, że ojciec i dzieci nie mogą w żaden sposób pozostawać bez opieki...

– Tak poważnej! – uśmiechnął się Przyjemski.

– Poważnej! – zaśmiała się – gdzie tam! Wiem sama że wiele mi brakuje... ale robię, co mogę...

– Aby być aniołem pociechy i pomocy – dokończył z cicha.

Jej te słowa spłynęły w serce słodczą wielką; pochyliła głowę i umilkła.

Ale dla niego nawiązanie rozmowy przerwanej nie przedstawiało trudności najmniejszej. Trochę pochylony ku niej, zaraz zapytał znowu:

– Któż to taki ta staruszka, z którą pani dziś wychodziła do miasta?

– Skąd pan wie?

– Widziałem z alei, w której siedziałem trzymając w ręku książkę, a myśląc o pani...

Ta staruszka była panią Dutkiewiczową, wdową po weterynarzu, chrześną matką jej matki, osobą niezmiernie ząną, dobrą i czyniącą im wiele dobrego. Jest to prawdziwa ich przyjaciółka i dobrodziejka. Dopomagała im nieraz w okolicznościach trudnych, teraz płaci wpisuwe za Stasia.

– Więc jest to osoba majątna? – zapytał Przyjemski.

– O, majątna! – z zapalem potwierdziła Klara – zajmuje dla siebie jednej trzy pokoje, trzyma służącą...

– Życie zbytckowne – zauważył, a ona opowiadała dalej:

– Mąż jej miał dochody znaczne i jej pozostawił majątek duży. Mówiła ojcu sama, że ma kapitału piętnaście tysięcy...

– Majątek duży... – powtórzył Przyjemski.

– Bardzo duży – potwierdziła Klara – ale też używa go dobrze. Oprócz nam, dopomaga jeszcze kilku innym osobom...

– Czemuż by nie? Ma czym się dzielić!

– Tak; i to jest dla niej wielkim szczęściem; inaczej, nie mając dzieci, nie miałyby żadnego celu życia.

On dokończył:

– Ponieważ zaś posiada piętnaście tysięcy, majątek duży, może naśladować Najświętszą Pannę Paryską!

Oparł się łokciem o wschodkę wyższą, głowę pochylił na rękę i zamyślił się tak głęboko, że Klara spostrzegła i odczuła to zamyślenie. Umilkła też, nie śmiać już mówić dalej. Trwało tak ze trzy minuty, po czym Przyjemski wyprostował się i z podniesioną głową patrzył w gwiazdy. Przy ich świetle Klara zobaczyła, że zmarszczka jego pomiędzy brwiami była bardzo głęboką. Po chwili przemówił z cicha:

– Gwiazdy spadają.

Ona także zniżając mimo woli głos odpowiedziała:

– W sierpniu zawsze wiele gwiazd spada.

A po chwili dodała:

– Powiadają, że gdy gwiazda spada, trzeba tylko, dopóki nie zgaśnie, wymówić w myśli życzenie, a będzie spełnione... O, widzi pan? spadła znowu... I tam, i tam! Widzi pan, jak spadają!

Patrząc w niebo, z którego to tu, to ówdzie spadały duże iskry złote, wnet gasnące w zmroku podniebieskim, rzekł z wolna:

– Niech pani wymawia życzenie... Spada ich tak wiele, że zawsze skończy je pani wymawiać przed zgaśnięciem którejkolwiek...

Milczała; on twarz obrócił ku niej. Siedział tak już blisko, że wyraźnie widziała jego oczy utkwione w jej twarzy.

– O co prosiłaby pani gwiazdy spadającej?

Usiłując mieć głos swobodny odpowiedziała:

– Jestem szkaradną egoistką. Gdybym wierzyła, że spadające gwiazdy spełniają życzenia ludzkie, prosiłabym ich ciągle: niech ojciec mój wyzdrowieje! niech dzieci uczą się dobrze i będą dobre!...

– A dla siebie? – zapytał.

Zadziwiła się bardzo.

– Jak to? Przecież ta prośba byłaby właśnie o to, czego pragnę najwięcej... więc prosiłabym dla siebie.

– Egoizm szkaradny! – zauważył – ale czyż doprawdy nie chciałaby pani, aby gwiazdka złota przysłała pani jakieś... jakieś szczęście, takie wielkie, że serce przemienia w gwiazdę pałającą i zawieszoną wysoko nad wszystkim, co jest na ziemi?

Ona czuła, że serce jej przemienia się w gwiazdę pałającą, i właśnie dlatego, że to czuła, zażartowała wesoło:

– Jeżeli już koniecznie miałabym prosić o coś dla siebie jednej, to prosiłabym, aby tego lata jeszcze pójść za miasto i całe pół dnia przepędzić w lesie. Ogromnie lubię las.

Potem dodała zaraz:

– A pan, o co najwięcej prosiłby gwiazdy spadającej?

–Ja?

Z zamyśleniem mówić zaczął:

– Prosiłbym gwiazdy złotej o wiarę, że są na ziemi serca dobre, czyste, wierne, i o to, aby jedno z takich należało do mnie...

Umilkł trochę, a potem mówił dalej:

– Prosiłbym jej: „Gwiazdo jasna, daj mi zapomnieć o snach ciemnych, których miałem wiele...”

Słuchała słów i głosu czując smutek zmieszany ze słodyczą. Słodycz szła od melodii głosu, smutek od znaczenia słów mających dla niej głębię niezrozumiałą, ale ciemną.

On wstał i już swobodnie przemówił:

– Może przejdziemy się po ogrodzie...

Wstała posłusznie i poszli w kierunku altanki bżowej, po trawie zroszonej, pomiędzy dwoma rzędami krzaków agrestowych.

– Prosiłaby pani gwiazdy spadającej o zdrowie ojca... Czy nie czuje się zupełnie zdrowym?

– O, tak! jest bardzo słabego zdrowia... od dawna...

– Cóż jest ojcu pani?

– Coś piersiowego...

– To smutno! Zapewne się leczy?...

– Leczył się przed kilku laty, ale teraz już nigdy nie wzywa lekarza. Kuracje wiele kosztują, a pomagają niewiele, zapewne z powodu pracy biurowej, ciężkiej i nużącej. Cała rzecz w tym, aby zachowywał jak najlepiej higienę przepisaną. Musi wcześniej udawać się do snu, pić mleko, jeść jak najwięcej owoców.

Przyjemski zauważył:

– To ostatnie musi być bardzo łatwym do spełnienia. Mieszkając w ogrodzie dość dużym i mając pod bokiem drugi jeszcze większy... Ogród księcia ma owoce wyborne.

Klara uśmiechnęła się w zmroku. Jaki on dziwny! Co to ma jedno do drugiego, że ojciec jej potrzebuje dla zdrowia owoców i że ogród książęcy ma ich wiele? Pomiedzy dwoma tymi faktami nie ma związku najmniejszego.

On milcząc patrzył na nią, jakby czegoś od niej oczekiwał. Potem tonem opowiadania nie-dbałego zaczął mówić:

– Dziś właśnie oglądaliśmy z księciem brzoskwiniarnię, ananasarnię, inspekty i jest tam tak wiele różnych... dobrych rzeczy, że książę powiedział mi, abym je posyłał państwu Per... Per... Perkowskim i w ogóle znajomym moim, jeżeli mam tu jakich...

Znowu przestał mówić i patrzył na nią. Ona zauważyła:

– Książę musi być bardzo grzecznym.

I zaraz wskazała na pałac.

– Jak ładnie wygląda teraz pałac z oknami oświetlonymi! Wie pan? Kiedy dziś wieczorem pierwszy raz spojrzełam w tę stronę, wzięłam te okna za gwiazdy przeblyskujące pomiędzy drzewami.

Stali przy sztachetach, tuż obok altanki. W powietrzu cichym naprzód z lekka zaszumiły drzewa, a potem, jakby w odpowiedź temu akordowi natury, rozeszły się w powietrzu dźwięki muzyki. Szły od pałacu zza okien oświetlonych i wnet umilkły. Ktoś tam wziął kilka akordów na fortepianie i zaraz grać przestał.

– Co to? Ktoś gra w pałacu? – szepnęła Klara.

Przyjemski odpowiedział:

– To on. Jest wielkim amatorem muzyki i często grywamy razem...

– Pan gra także?

– Grywam na wiolonczeli, on mi akompaniuje na fortepianie i odwrotnie. Czy pani lubi muzykę?

W pałacu znowu zabrzmiały akordy i tym razem trwały dłużej, zlewając się ze słabym szumem, który znowu poszedł po drzewach i wnet umilkł, a akordy fortepianowe jeszcze śpiewały. Klara z cicha odpowiedziała:

– Nie mogę nigdy słuchać muzyki bez takiego jakiegoś wzruszenia...

– A często pani jej słucha?

– Od śmierci mamy, która grywała ojcu wieczorami, słyszałam muzykę u znajomych może dwa albo trzy razy...

Przyjemski zawołał ze zdziwieniem:

– Czy podobna! Przez cztery lata słyszeć muzykę tylko dwa albo trzy razy!... Jak pani może żyć bez muzyki?...

Odpowiedziała z uśmiechem:

– Cóż to tak ważnego, że nie mam tej przyjemności?....

– To prawda – potwierdził – cóż to ważnego nie mieć w życiu przyjemności... szczególnie w takim wieku...

– To prawda – zgodziła się śpiesznie – od dawna już jestem dorosłą...

Spojrzał w górę.

– Czy gwiazdy jeszcze spadają?

Ona także patrząc na niebo odpowiedziała:

– O, spadają jeszcze! Widzi pan, teraz spadła jedna, tam nad tym wielkim drzewem... a teraz druga... nad samym pałacem, widzi pan!

– Widzę... Niech pani mówi: „Chcę posłuchać pięknej muzyki!”

Zaczęła śmiać się, ale on nalegał.

– Proszę powiedzieć: „Gwiazdo złota, daj, aby twoja siostra ziemską posłuchała dziś pięknej muzyki!” Proszę powiedzieć...

Niezdolna do oparcia się jego prośbie, ze śmiechem na ustach drżących zaczęła powtarzać:

– Gwiazdo złota, daj, aby twoja siostra...

Ale urwała, bo powietrzem popłynęła muzyka już nie z akordów oderwanych złożona, lecz z tonów splecionych i ciągłych. Na twarzy jej, podniesionej jeszcze ku gwiazdom, odmalowało się zachwycenie. Z ustami rozwartymi nieco w uśmiechu wzruszonym i z oczyma, które pomimo zmroku miały blask złotawy, stała jak przykuta do ziemi, zasłuchana. Jego zaś mowa zniżyła się do szeptu.

– Widzi pani, jak prędko gwiazdy spadające spełniają życzenia swoich sióstr ziemskich! Ale ja źle porównałem panią do gwiazdy. Porównania tego nadużywano ogromnie i przypomina ono zjawiska zupełnie inne... Przychodzi mi na myśl co innego... Czy pani wie, kto to był Heine?

– Poeta niemiecki – szepnęła.

– Tak; otóż przyszedł mi do pamięci wierszyk Heinego, którym chcę dziś pożegnać panią...

Spuścił głowę i przez chwilę może przypominał sobie wierszyk Heinego.

Muzyka w pałacu stawała się coraz melodyjniejszą i wyraźniejszą; drzewa z cicha zaszumiały. Z melodią muzyczną i cichym szmerem drzew złączył się głos aksamitny, pełen pieśczęoty, który mówił:

...Ty jesteś jak kwiat
Piękną, czystą, powiewną;
Gdy patrzę na cię, ma pierś
Boleścią ściska się rzewną...
I rad bym wzniesć dłoń
Do nieba z modlitwą śpiewną;
Oby zachował cię Bóg
Tak piękną, czystą, powiewną!

Wymawiając wyraz ostatni wziął jej rękę i pochylony pocałował ją krótko, prawie w powietrzu. Prostując się rzekł jeszcze:

– Niechże pani tu zaczeka. Ja i mój przyjaciel będziemy zaraz grali dla pani...

Włożył kapelusz na głowę i prędko odszedł. Do cienistego ogrodu wszedł przez bramkę w sztachetach i zniknął pośród drzew. Dokoła Klary panowała przez kilka minut cisza zupełna, aż znowu powietrze zabrzmiało muzyką, ale już dwu na raz instrumentów. Za oświetlonymi oknami pałacu fortepian i wiolonczela zgodnie wykonywały jakiś utwór wielki i długi, którego tony napełniały cienie ogrodu, mieszały się ze słabym szumem drzew, czarem upajającym ogarniały dziewczynę oparta o sztachety i twarz kryjącą w dłoniach.

III

Zasnęła bardzo późno i obudziła się bardzo wcześnie. Zwykle w mgnieniu oka zrywała się z pościeli i jednym skokiem dopadała miski z wodą, w której pluskała się długo, jak ptak w piasku. Dziś usiadła na łóżku i słuchała. Głowę miała pełną i cała była pełną tonów melodyjnych i słów rytmicznych, pieszczących słuch i serce.

...Ty jesteś jak kwiat
Piękną, czystą, powiewną...

Fortepian i wiolonczela wtórowały:

I rad bym wznieść dłoń
Do nieba z modlitwą śpiewną...

Przewyciężyła się, zeskoczyła z posłania i w pół godziny była już ubraną. Dopóki myła się, krzątała, czyściła swoje ubranie, dopóty nic; ale gdy tylko stanęła przed oknem zapinając guziki stanika, w głowie i, jak się jej zdawało, w niej całej znowu zaśpiewało:

Oby zachował cłę Bóg
Tak piękną, czystą, powiewną!...

Boże, Boże, co się stało? Co się z nią dzieje? Jaka ona szczęśliwa! Serce jej zatopione w słodczy niewypowiedzianej, o jakiej dotąd nie miała pojęcia... „Ja i przyjaciel mój będziemy grali dla pani...” Grali do późna, ona słuchała, Co za noc! Dla niej ktoś grał! Nigdy jeszcze tego nie było. On grał dla niej... dla niej!... Jaki dobry!

Mocno zacisnęła ręce i powiedziała sobie stanowczo:
– Dosyć!

Zarzuciła na plecy okrycie, na głowę małą chustkę wełnianą, pochwyciła ze stołu kuchennego koszyk, nie ten od roboty, ale inny, większy, z rączką i nakrywką. Trzeba jej było pobic dziś do miasta po trochę prowizji kuchennych. Ojciec i brat mogą jeszcze spać dobrą godzinę, Franię obudzi, aby zgotowała mleka i pilnowała domu. Przed obudzeniem siostry pobiegnie jeszcze do ogrodu i przyniesie dzbanek, który wczoraj zostawiła przez zapomnienie około małego klombu z kwiatami. Frania może go potrzebować i nie znaleźć. Wybiegła na ganek i stanęła jak wryta. Co to jest? Skąd to? Cóż za prześliczne owoce! Jak żyje, nie widziała takich!

Na wąskiej ławce ganku stał kosz napełniony owocami przepyszными i ułożonymi z wielką umiejętnością ogrodniczą. Pośrodku z piramidki liści twardych wychylał się ananas, zupełnie złoty pod promieniem słońca zaledwie wschodzącego; otaczały go brzoskwinie różowe, żółte morele, zielone renklody, spod których wзираły jabłka rumiane i gruszki duże, siedzące na fugach melona powleczonego siecią żyłek delikatnych. Wszystko to było malowniczo zmieszane z liśćmi, które opadając okrywały cały koszyk, bijący zapachami ananasa i melona, zmieszany ze świeżością rosy świecącej na liściach.

Klara stała z rękoma opuszczonymi i silnie zaciśniętymi. Tylko w pierwszej chwili zdumienia mogła zawołać w myśli: „Skąd to?” Po upływie minuty odpowiedziała już sobie: „Od niego!” Ktoś przyszedł tu przed jej obudzeniem się jeszcze i ten koszyk postawił – z jego roz-

kazu. Przecież mówił, że książkę pozwolił mu dawać owoce ze swego ogrodu komu tylko zechce. Rumieniec płomienny uderzył jej do twarzy.

– Niech sobie daje... ale nie nam! Nie mnie – powtórzyła – o, nie! Za nic! Podarunek od człowieka zupełnie obcego – za nic!

Z siłą wielką uczuła w tej chwili, że był on dla niej obcym; zarazem strzałka bolesna przeszła jej serce. Cóż stąd, że to boli? Może sobie boleć, niemniej prawdą jest, że on obcy. Nawet nie zna jej ojca! Jakżeby ojciec jej mógł zjadać owoce darowane przez człowieka nieznanego? Trzeba mu to oddać. Ale jak? Odesłać nie ma przez kogo. Może przez Stasia? Ach, nie! Trwoga przejęła ją na myśl, że Frania albo Staś obudzić się mogą i wybiec na ganek. Co ona by im powiedziała? Później namyśli się, jak uczyni, a teraz co najprędzej kosz ten schowa, aby nikt w domu zobaczyć go nie mógł. Prędko też zamknęła go w szafie kuchennej, od której klucz schowała do kieszeni. Szczęście, że wszyscy śpią jeszcze. Teraz obudzi Franię i pobiegnie do miasta.

Przez następne kilka godzin czuła się z kolei to spokojną i obojętną zupełnie, to rozżaloną tak bardzo, że ledwie mogła powstrzymać się od płaczu. Postanowiła zanieść kosz z owocami do altanki i poprosić Przyjemskiego, aby go sobie zabrał, jeżeli przyjdzie... Czasem była zupełnie pewną, że przyjdzie; czasem wątpiła. Jeżeliby nie przyszedł, postawi koszyk z drugiej strony sztachet. Spostrzeże go pewnie wkrótce on sam albo kto inny i rzecz będzie skończoną. Zapewne też pan Przyjemski obrazi się, nie będzie się starał jej zobaczyć i wszystko skończy się na zawsze. Były chwile, w których ta myśl nie budziła w niej żalu najmniejszego. Owszem, jeżeli ma myśleć, że lubi jego towarzystwo dla prezentów, to niech lepiej nigdy nie zbliża się do niej. Będzie wszystko tak, jak było przed trzema dniami, kiedy go jeszcze nie знаła. Nie zaszkodzi to ojcu, ani Frani, ani Stasiowi, ani nikomu na świecie; czegoż więc martwić się? i co ją to może obchodzić? Ale w pół godziny potem opanował ją taki żal ogromny, że nie wiedziała sama, co robi, i porzucając wszystko opierała się łokciami o starą komódkę, a rękoma przyciskała powieki, aby nie płakać.

Na godzinę przed obiadem siedziała w altance bzonej szyjąc prędko, pilnie, z głową nisko pochyloną. Obok niej na ławce stał kosz z przepyszными owocami. Liście zwiędłe zaszeleściły w alei pod stopami, które je kruszyły. Klara niżej jeszcze pochyliła głowę i zaczęła szyć jeszcze prędzej. Czuła wielkie gorąco w twarzy i powieki jej nabrzmiwały. Nie widziała wcale roboty zza mgły kłującej, która przysłoniła jej oczy. Głos dobrze znany wymówił za sztachetami:

– Dzień dobry pani.

Podniosła głowę, ale wzrok jej nie spotkał się ze wzrokiem Przyjemskiego, który już tkwił w owocach piętrzących się obok sukni jej w różowe i szare paski. Z kapeluszem nieco podniesionym nad głowę Przyjemski znieruchomiał. Zrazu zmarszczka jego pogłębiła się bardzo, a usta przybrały wyraz gniewny. Ale trwało to kilka sekund, po czym piękna ta twarz rozpodziła się zupełnie i nawet stała się tak rozpromienioną, jaką Klara jeszcze jej nie widziała. Ona teraz z gorąco zarumienionej stała się bladą; palce jej, trzymając nitkę jeszcze mokrą od łzy, która na nią spadła, trochę drżały. Przyjemski wyciągając rękę nad sztachetami przemówił z uśmiechem:

– Naprzód niech mi pani na powitanie rączkę poda...

Uczyniła to. Szorstka, trochę czerwona i trochę drżąca jej ręka znajdowała się przez chwilę w uścisku dłoni białej i miękkiej.

– Następnie niech mi pani powie, co to znaczy, że ten koszyk przywędrował tu za panią?

Podniosła głowę i ze spojrzeniem odważnym odpowiedziała:

– Przyniosłam go myśląc, że może pana tu zobaczę. Niech pan będzie łaskaw postawi ten kosz z drugiej strony sztachet, a potem przyśle kogo, aby go zabrał.

I obu rękoma podawała mu przedmiot, o którym była mowa, nie bez trudności, bo był ciężkim. Przyjemski milcząc, powoli, z zimną krwią zrobił, jak powiedziała: wziął od niej

kosz i postawił go na trawie, z drugiej strony sztachet, po czym oparł się o sztachety i patrząc na nią oczyma napelnionymi blaskiem szczególnym, zaczął mówić:

– Dobrze. A teraz, kiedy egzekucja już spełnioną została, chciałbym poznać motywy dekretu...

Widziała, że nie jest obrażony, że owszem, pod żartobliwością, z jaką mówił, dźwięczała w jego głosie nuta więcej przyjazna niż kiedykolwiek. Toteż dość swobodnie odpowiedziała:

– Doprawdy, nie potrafię panu tego wytłumaczyć. Ale to nie podobna... myśmy nigdy, ani mój ojciec, ani ja... Przecież można nie być bogatymi, a jednak...

– Wystarczać sobie – dokończył.

Stał dość długo zamyślony, ale nie chmurny; owszem, zmarszczka jego była daleko mniej głęboką niż zwykle, prawie zniknęła. Po chwili zaczął znowu:

– A dłaczegóż pani przyjmuje różne rzeczy od pani... pani wdowy po weterynarzu?

– Ależ to zupełnie co innego! – z przejęciem się zawołała Klara. – Pani Dutkiewiczowa kocha nas i my ją kochamy! A od tych, których kochamy i którzy nas kochają, wszystko przyjąć można...

Po sekundzie zastanowienia dokończyła z rozwagą:

– Nawet trzeba, bo nieprzyjęcie znaczyłoby, że uważamy ich za obcych...

Przyjemski wpatrywał się w nią jak w tęczę. Potem zapytał z wolna:

– A od obcych nie przyjmuje się nic wcale?

– Nic! – patrząc na niego, odpowiedziała śmiało.

– Ja zaś dla pani jestem obcym, co? Złotawe źrenice jej zamigotały, w linii ust drgnął żal, wnet powściągnięty.

– Tak – szepnęła.

Stał jeszcze chwilę oparty o sztachety, patrząc nie na nią już, ale kędyś daleko. Potem wyprostował się, odstąpił o krok od sztachet i podnosząc trochę kapelusz wymówił:

– Będę miał przyjemność złożyć dziś wizytę ojcu pani!

Idąc powoli aleją cienistą myślał:

„Voilà, ou la fierté va se nicher!” „Od tych, których kochamy i którzy nas kochają, wszystko trzeba przyjąć, bo nie przyjmując okazalibyśmy, że uważamy ich za obcych...” Bardzo delikatnie uczute, bardzo delikatnie! A co za święta wiara w kochanie! Kochamy, kochają! Voilà, ou la foi se niche! Foi de bûcheron! Ale jakie to szczęście mówić: „Kochamy, kochają...” i nie śmiać się! Gdybym mógł jeszcze... choć raz w życiu powiedzieć: „Kocham, kocha” i nie zaśmiać się, ucałowałbym, idylko moja, stopki twe... w dziurawych trzewiczkach!”

Wielkim to było szczęściem dla Klary, że jeszcze w obecności Przyjemskiego nie klasnęła w ręce i nie podskoczyła z radości. Uczyniła to wbiegłszy do domu, zarumieniona, rozpromieniona, zdyszana. Więc nie obraził się, ale przeciwnie, obiecał być u jej ojca dziś jeszcze... dziś jeszcze! O, dobry, dobry!... Zrozumiała pobudkę obietnicy niespodziewanej. Gdy zaznajomi się z jej rodziną, zacznie bywać w ich domu, przestanie być obcym dla niej, będzie mogła uważać go za bliskiego znajomego, może za przyjaciela. Miała serce pełne wdzięczności. Zarazem, przypominała sobie każde słowo, które dziś wymówił, każde poruszenie, które uczynił. Ogromnie śmieszył ją sposób milczący i poważny, w jaki spełnił jej życzenie biorąc od niej kosz z owocami i umieszczając go na trawie, po drugiej stronie sztachet. Było to bardzo zabawne; tak poruszał się i wyglądał, jak gdyby spełniał czynność nadzwyczaj uroczystą, a jednocześnie uśmiezek prawie niewidzialny błakał się mu po wargach cienkich i trochę filuternych. Śliczne ma usta, a także oczy i czoło... Sama nie wie, co w nim najpiękniejsze. Chyba profil zarysowany delikatnie, z wypukłymi brwiami rozdzielonymi zmarszczką, w której jest tyle smutku i tyle rozumu... Nie, ani profil, ani usta, ani oczy nie są w nim najpiękniejsze, tylko dusza, dusza piękna, wzniosła i taka jakaś smutna! Najpiękniejszą ze wszyst-

kiego jest w nim dusza, pewno, niewątpliwie! I serce złote, które nie rozgniewało się na nią za to, że podarunku przyjąć nie chciała, ale owszem zapragnęło jeszcze więcej zbliżyć się do niej...

Myśląc o tym wszystkim, śpiesznie oszywała brzeg stanika białą jak śnieg szlarczką, a potem dobywała z komody pasek skórzany, ozdobiony klamerką stalową.

W małej bawialni, która zarazem była jadalnią, spożywanie obiadu miało się ku końcowi. Pokój nieduży, którego część znaczną zajmował piec z zielonych kafli, miał sufit niski, podtrzymywany przez kilka grubych belek, podłogę pomalowaną farbą czerwoną i miejscami już spelzłą, ściany oklejone papierem błękitnawym w czerwone cętki. Pomiędzy dwoma oknami otwartymi na zieloną ścianę fasoli Teofil Wygrycz siedział na wąskiej kanapce z poręczami jesionowymi, przy stole zasłanym ceratą, zastępującą obrus. Na ceracie stało kilka talerzy z resztkami jada, karafka z wodą, solniczka, słoik szklany z chrzanem. U ściany przeciwległej, na starej komódce, obok niedużej lampy, wychylał się ze szklanki spory pęk rezedy. Dwoje młodszych dzieci siedziało po obu stronach ojca; Klara przyniosła z kuchni talerz z kilku gruszkami i stojąc zaczęła jedną z nich obierać.

– Doskonale gruszki kupiłam dziś tateczce... Frania i Staś dostaną też po jednej.

– A drogie? – zapytał Wygrycz.

Twarz kancelisty, dobrze już podstarzałego, była długą i kościstą, miała cerę żółtą i wyraz na wpół kwaśny, na wpół apatyczny, właściwy ludziom chorym chronicznie i spełniającym zajęcia nielubione. Oczy tylko, takie jak u Klary, piwne i z długą rzęsą, patrzyły niekiedy spod czoła bardzo pomarszczonego, rozsądnie i łagodnie. Obok niego siedząca dziewczynka piętnastoletnia, blondynka, sucha i niedokrwista, z rysami jak u ojca wydłużonymi i wargami wąskimi, zagadała z żywością wielką:

– Czegoś się ty, Klarcu, tak dziś wystroiła?

Klara miała na sobie swoją codzienną suknię perkalową w paski, tylko świeżą szlarczkę u szyi i pasek z klamerką stalową. Nie była nawet uczesana jak należy, bo włosy nieposłuszne za nic w świetle nie chciały leżeć gładko ani trzymać się w więzach szpilek podwójnych. Pełno też było na czole i na karku pasemek ich kruczych i kędzierzawych, spośród których wyglądała różowa lewkonia. Usłyszawszy uwagę siostry nachyliła się dla podjęcia z ziemi kawałka łupiny od gruszki, a wyprostowując się odpowiedziała spokojnie:

– Wcale się nie wystroiłam, tylko oszyłam stanik świeżą szlarką, bo tamta była już brudną.

– I pasek nowy włożyłaś! – z przekorą zauważyła znowu Frania.

Klara nie odpowiadając siostrze, która miała w sobie ducha przekory i kłótni, położyła przed ojcem gruszkę obraną i nożyk z trzonkiem drewnianym.

– Będziemy dziś mieli gości, tateczku – rzekła.

– Gościa! – zadziwił się stary – któż to taki? Może pani Dutkiewiczowa?... ale to nie gość.

Klara zaczynając obierać drugą gruszkę spokojnie mówiła dalej:

– Parę razy spotkałam w ogrodzie pana Przyjemskiego, sekretarza księcia Oskara, i rozmawialiśmy z sobą dość długo. Dziś powiedział mi, że będzie z wizytą u tatki.

Wygrycz wykrzywił usta.

– Potrzebna mi ta wizyta!... spać po obiedzie nie da... zmęczony jestem i trudno mi rozmawiać...

Mówił tonem gderliwym; czuł istotnie zmęczenie ciągłe i odzwyczyił się od ludzi obcych.

Frانيا zaś z żywością zdradzającą ostrość języczka zagadała cienkim głosem:

– To ty, Klarko, w ogrodzie znajomości robisz z kawalerami! Jakimże to sposobem?...

– Cicho bądź i nie dokuczaj siostrze! – ofuknął Wygrycz młodszą córkę, która też umilkła natychmiast.

Za to mały chłopak w bluzce i pasku skórzanym prędko trzepać zaczął:

– A ja wiem, kto to teki ten pan Przyjemski, bo syn ogrodnika księcia jest w jednej klasie ze mną i opowiadał, że księżę przyjechał i przywiózł z sobą takiego sekretarza, którego bar-

dzo lubi... gra z nim na fortepianie i na czymś tam jeszcze... ten sekretarz nazywa się Przyjemski, bardzo jest wesoły i ile razy zachodził do ogrodnika, bawił się zawsze z dziećmi...

– Cicho, Staś! – syknęła Frania – już kawaler Klarki idzie!

Za fasolą słyhać było powolne, równe kroki; w minutę potem otworzyły się drzwi od sionki, tak niskie, że wchodzący przez nie człowiek wysoki musiał pochylić głowę. Wszedł i jednym rzutem oka objął wszystko: pokoik z niskim sufitem, zielonym piecem i cętkami czerwonymi na błękitnawych ścianach, trochę nie dojezdzonej kaszy na talerzach, cztery osoby przy stole zasłanym ceratą, pęk rezedy na komódce. Klara z różowym obłokiem na twarzy, ale dość rezolutnie rzekła do ojca:

– Tatku, pan Juliusz Przyjemski, mój znajomy.

A do gościa:

– Ojciec mój...

Wygrycz wstał i wyciągając do przybyłego długą, kościstą rękę wymówił:

– Bardzo mi przyjemnie... Niech pan będzie łaskaw usiąść... bardzo proszę...

Klara zaś, już bez rumieńca, spokojnie, z uśmiechem trochę rozchylającym usta, zdjęła ze stołu naczynia i ze stosem talerzy w rękę wyszła do kuchenki, wzrokiem ukazując siostrze, aby zabrała karafkę z wodą i ceratę. Spod zdjętej ceraty ukazał się stół jesionowy okryty siatką z białej bawełny. Staś postawił na nim szklanę z rezedą, zdjętą z komody.

Kiedy Klara po upływie kilku minut wróciła z kuchenki, uradowało ją ożywienie, z którym ojciec rozmawiał z gościem. Musiał to być czarodziej prawdziwy, skoro potrafił w czasie tak krótkim zetrzeć z twarzy człowieka zmęczonego i chorego wyraz apatii i skwaszenia. Zapytywał go był o miasto, w którym stary kancelista spędził całe życie, i tym sposobem dotknął od razu przedmiotu najprawdopodobniej dobrze znanego mu i nieobojętnego. Wygrycz mówił obszernie o ludności miasta, różnych jej warstwach, stopniu zamożności każdej z nich. Mowa jego, zrazu powolna i trudna, jak bywa z ludźmi odzwyczajonymi od prowadzenia rozmów, stała się po kilku minutach dość ożywiona; przy tym w ciemnych oczach był wyraz rozsądku, a kościste ręce czyniły niekiedy gest energiczny. Z takim gestem, wytłumaczywszy gościowi stosunki wewnętrzne miasta, rzekł:

– Bieda w górze, bieda pośrodku, bieda na dole. Wiele brakuje do dobrego wszędzie i każdemu. Ale niech mi pan dobrodziej wybaczy, jeżeli powiem, że wina w tym po trosze takich ludzi możliwych i pewno rozumnych, jak ksiązę Oskar...

Urwał, zawahał się.

– Niech pan dobrodziej będzie łaskaw przebaczy, bo może nie powinienem tego mówić przed sekretarzem i podobno przyjacielem księcia...

– Ale owszem – z niejaką żywością przerwał Przyjemski – owszem! jestem przyjacielem księcia i dlatego właśnie nadzwyczaj interesuje mnie opinia, której ksiązę tu używa. Będę nawet prosił pana bardzo o wytłumaczenie, w czym pan widzi tę winę?

Wygrycz uczynił na wąskiej kanapce poruszenie żywe.

– W czym wina? – zawołał – ależ panie dobrodziej, to rozumie się samo przez się! Przeważna część dóbr ksiązęcych znajduje się w tych stronach; w samym mieście posiada on pałac zbudowany przez jego dziada czy pradziada... Jest on tak możliwym, posiada takie imię, że gdyby żył pomiędzy nami, gdyby nas znał, gdyby wchodził w stan rzeczy i – ludzi, każde jego słowo mogłoby być poparciem, oświeceniem, każdy czyn błogosławieństwem... Przepraszam pana dobrodziej, ale sam rozkazałeś mi mówić... Ksiązę buja po świecie...

Przyjemski wtrącił z cicha:

– Od pięciu lat tylko nie był tu wcale. Przedtem mieszkał dość długo w dobrach swoich tutejszych, a po części w tym pałacu...

Wygrycz rozkładając ręce zawołał:

– I jakby go nie było!... Wtedy także było tak, jakby go nie było!...

Oczy mu świeciły, na wąskich ustach wyraz ironii zastąpił poprzednie skwaszenie. Czuć w nim było teraz coś gorzkiego i ciężko przecierpianego; może niechęć pomiędzy klasową, milczącą zawsze i która wybuchała, może urazę do ludzi możliwych, mającą naturę głębszą. Przyjemski siedział na krzeselku jesionowym, z głową trochę pochyloną i z kapeluszem w spuszczonej ręku. Postać jego, w czarnym półfraku wykwiniona i zgrabna, profil z wypukłymi brwiami i cienkimi wargami pod złotawym wąsem odbijały w sposób zadziwiający od tła pokoju błękitnawego z wielkim piecem zielonym. Ze spuszczonej oczyma i bardzo powoli mówić zaczął:

– Pozwoli pan, że stanę trochę w obronie księcia... tylko trochę, bo sam należę do tych, którzy najmniej wierzą w doskonałość człowieka... jakiegokolwiek. Chciałbym tylko powiedzieć, że książę nie jest wyjątkiem. Jeżeli posiada jakie wady, nie spełnia jakich obowiązków i różne tam inne rzeczy... nie jest wyjątkiem. Każdy człowiek jest istotą marną, samolubną, zmienną w tym znaczeniu, że przelatuje po różnych odmianach złego, jak motyl po kwiatkach...

Wygrycz niespokojnie kręcił się na kanapce, aż wybuchnął:

– Ależ przepraszam pana dobrodzieja, nie każdy! nie każdy! Są na świecie ludzie uczciwi i którzy nie latają po grzechach jak motyl po kwiatkach. Ja panu dobrodziejowi bardzo dziękuję za takie motyle! Przez takie motyle źle jest na świecie! A komu wiele zostało danym, od tego także wiele będzie wymaganym! Książę wiele otrzymał od Boga, wiele też wymagać od niego muszą Bóg i ludzie... Ja pana dobrodzieja bardzo przepraszam, że mówię tu o pryncypale i przyjacielu... Ale człowiek, który zawsze milczy, potem nie może wytrzymać, aby nie wygadać tego, co się w nim nazbierało. Ublizać księciu nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem, ale zapytam pana dobrodzieja: co on na świecie robi?

Rozłożył ręce kościste i aż trochę drżące od zapachu i z oczyma bardzo świecącymi mówił dalej :

– Co książę robi ze swego majątku, ze swego rozumu, ze swojej możliwości wielkiej? dla kogo? dla czego? Co? co robi?

Z rozłożonymi rękoma, pytająco, nagle patrzał na Przyjemskiego.

Ten podniósł powieki i odpowiedział z wolna:

– Nic a nic.

Wygrycza to przyznanie mu słuszności ochłodziło nieco. Podniósł w górę długi, złoty palec.

– Widzi pan dobrodziej!... a jednakowoż książę jest chrześcijaninem, to pierwsze; urodził się i posiada dobra w tych stronach, to drugie...

W tej chwili Klara, która siedząc u okna przez cały czas rozmowy garniowała koronką jakiś biały czepiec, podniosła głowę i nieśmiało przerwała ojcu:

– Mój tateczku, mnie się zdaje, że nie powinniśmy sądzić surowo ludzi tak innych od nas, zupełnie innych...

– Jak to innych? Co za innych? Dlaczego innych? Zwariowałaś czy co? Wszystkich jeden Bóg stwarza i jedna ziemia nosi... wszyscy grzeszą, cierpią i muszą umierać, a to jest wielka jednostajność, ogromna jednostajność...

– Pan ma rację... – potwierdził Przyjemski – pan powiedział rzecz głęboką... Błądzić, cierpieć i umierać wszyscy muszą, i to jest wielka jednostajność... ale byłbym bardzo wdzięczny pani Klarze za dalszy ciąg obrony przyjaciela mego...

Patrzał na nią oczyma tak rozpromienionymi, że ona uśmiechając się swobodnie mówić dokończyła:

– Mnie się zdaje, że ludzie tak możni i tak urodzeni, jak książę, żyjąc zupełnie inaczej niż my wszyscy, muszą... muszą nabywać innych wyobrażeń, potrzeb, przyzwyczajęń, tak że później to, o czym my wiemy dobrze, dla nich jest niewiadomym, co dla nas jest obowiązkiem, im wydaje się niepotrzebnym albo zanadto trudnym. Może książę jest bardzo dobrym,

tylko nie umie żyć tak, jak my wyobrażamy sobie, że żyć powinien... Może go też ludzie zrazili albo zepsuli przez pochlebstwo czy przez udawanie przed nim różnych rzeczy dla interesu...

Twarz Przyjemskiego przybierała wyraz coraz więcej zachwycony. W dziewczynę mówiącą wpatrywał się jak w tęczę. Wygrycz, przeciwnie, słuchał córki kwaśno i niecierpliwie. Gdy przestała mówić, machnął ręką.

– Babski rozum, panie dobrodziej! Baby wszystko wytłumaczyć sobie umięją: a to to, a to owo! A to tak, a to owak! Z krupami przywykły mieć do czynienia i każdą rzecz rozdrabiają na krupy. U mnie zaś jedno prawo i jeden sąd: król albo cygan. Albo człowiek słucha prawa boskiego, służy bliźnim swoim i każdej sprawie dobrej, albo nie czyni tego. Pierwszy może sobie być nawet grzesznym człowiekiem, ale zawsze będzie czegoś wart; drugi trzech groszy niewart, i – po wszystkim.

Przyjemski z wolna odpowiedział:

– Sąd pana jest srogim i bezwzględny, ale panna Klara stanęła pomiędzy nami jak anioł wyrozumienia i słodczy... bo jest aniołem.

I natychmiast, nie dając nikomu czasu do odpowiedzi, zagadnął Wygrycza:

– Czy pan zawsze pełnił zajęcia te, co teraz, czy też, jak mi się zdaje, trudnił się kiedyś czymś innym?

Wygryczy krzywił się kwaśno.

– Zawsze, panie dobrodziej, zawsze, od osiemnastu lat życia swego pracuję w biurze. Jestem dzieckiem mieszczańskim, ojciec mój miał tu swój domek i był rzemieślnikiem. Mnie do szkół oddawał, pięć klas gimnazjalnych skończyłem i do biura wstąpiłem. A dlaczego pan dobrodziej zapytał mnie o to?

Przyjemski namyślał się chwilę, a potem z lekkim ukłonem rzekł:

– Otwarcie wyznam panu, że znalazłem nastrój myśli i mowy... wyższy...

– Niż się pan dobrodziej spodziewał! – podchwycił Wygrycz i zaśmiał się, ale ironicznie. – Widać pan dobrodziej przebywając w domu pryncypała i przyjaciela swego niewiele miał do czynienia z ludźmi ubogimi. Ubóstwo, panie dobrodziej, niekoniecznie znaczy to samo co idiotyzm... Che, che, che!...

Śmiał się ostro, ale znać było, że zdanie gościa pochlebiło mu i uczyniło go weselszym.

– Jednak – ciągnął dalej – co się mnie tyczy, miałem w życiu swoim pewne warunki sprzyjające... Ożeniłem się, uważa pan dobrodziej, z kobietą wykształconą, to raz, a najlepszą w świecie, to dwa. Nauczycielką była, pokochaliśmy się i pobrali, chociaż pod względem materialnym mogła być lepszą partię zrobić. Ale nie żałowała tego nigdy. Byliśmy z sobą szczęśliwi. Co do wykształcenia, stałem od niej niżej i tyle tylko miałem rozsądku, aby to uznawać i z tego korzystać. Przy pracy biurowej zawsze jest kilka godzin wolnych, więc w tych godzinach czytywaliśmy razem albo grywała mi wieczorami na fortepianie, bo ładnie grała... Ej, panie dobrodziej, mam ja w życiu dobre wspomnienia, święte wspomnienia. I na tamtym świecie mam swoją świętą, z którą pragnąłbym się połączyć jak najprędzej, gdyby nie dzieci. Ale ona mi zostawiła te dzieci i znowu człowiek do tej ziemi przywiązany. Wiele ja, panie, zawdzięczam tej kobiecie, z którą przeżyłem dwadzieścia trzy lata jak dwadzieścia trzy dni... ona także, umierając przytomnie, dziękowała mi przed skonaniem... Rozstaliśmy się w zgodzie i miłości, tak samo spotkamy się gdzieś tam... przed Bogiem...

Końcem kościstego palca otarł wilgotną powiekę, umilkł. Przyjemski ze spuszczoną trochę głową także milczał przez chwilę. Potem z zamyśleniem wymówił:

– Więc są na ziemi poematy takich związków i takich wspomnień...

Wygrycz skrzywił się ironicznie.

– Jeżeli pan dobrodziej nie doświadczył i nawet nie widział takich związków i takich wspomnień, to... przepraszam za otwartość... ale pan dobrodziej jest bardzo biednym!...

Przyjemski nagłym ruchem podniósł głowę i popatrzył na kancelistę z wyrazem zdumienia, które jednak wnet zniknęło.

– Tak, tak... – wymówił – bieda i bogactwo posiadają znaczenia różne... bardzo różne...
 Zwrócił się do Klary pochylonej nad piętrzącym się na kolanach muślinem.

– Książki pożyczonej od pani jeszcze nie oddaję i co więcej, proszę o pożyczanie drugiej w tym rodzaju, jeżeli pani posiada drugą.

– Pan chce poezji? – zapytała podnosząc głowę.

– Tak, czegoś z poezji, którą znam, ale źle, z daleka...
 Wygrycz wtrącił:

– Żona moja zostawiła córkom biblioteczkę maleńką, w której znajdują się i poezje. I grzecznie dodał:

– Klarcu, pokaż panu naszą biblioteczkę, może co wybierze...
 Klara rzekła wstając:

– Jest w moim pokoju.

Boże! Czyliż można było nazywać pokojem tę klateczkę, znowu z zielonym piecem, z jednym oknem, z dwoma grubymi belkami nad głową, z łóżkiem, stolikiem, dwoma krzesłami i małą szafką na czerwono pomalowaną, do połowy oszkloną! Jaki pokój, taki księgozbiór. Kilka półek, z dwoma setkami tomów w oprawach szarych, starych. Przyjemski stał tuż za Klarą, która palcem dotykając tomów wymieniała ich tytuły i imiona autorów.

– „W Szwajcarii”... Może to...
 – Niech będzie „W Szwajcarii”... Tyle razy byłem w tym kraju. Poemat znam; zdaje mi się, że znam... ale może nie, może i nie!

Biorąc książkę bardzo zniszczoną, ogromnie znać czytana, zatrzymał chwilę rękę jej w swojej i szepnął:

– Dziękuję za obronę przyjaciela mego... Dziękuję, że pani istnieje na ziemi...
 Wrócili zaraz do malutkiej bawialni. Przyjemski stanął przed gospodarzem domu, który wstał z kanapki, rękę z kapeluszem oparł o stół i zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale waha się i namyśla. Po chwili mówić zaczął:

– Chcę pana o coś zapytać, o coś prosić i z góry przepraszam, jeżeli w moim zapytaniu czy prośbie będzie mała niedyskrecja...
 – Owszem, owszem – skłonił się Wygrycz – niech pan dobrodziej nie robi sobie żadnej subiekcji. Jesteśmy sąsiadami i jeżeli mogę być w czymkolwiek użytecznym...
 Przyjemski przerwał:

– Przeciwnie, ja to chciałem zapytać pana, czy nie pozwoliliby mi pan być użytecznym.
 Mocniej opierając o stół rękę, mówił głosem bardzo miękkim, wprost aksamitnym:

– Rzecz się przedstawia tak: pan ma zdrowie słabe, dwoje dzieci, które jeszcze potrzebują wiele, warunki życia trochę... trochę ciasne... Z drugiej strony ja posiadam pewne wpływy, znaczne wpływy na księcia Oskara, który jest człowiekiem bardzo możliwym... bardzo możliwym... Jestem pewny, że gdy mu rzecz przedstawię, książkę poczyta sobie za przyjem... za szczęście oddanie panu wszystkich usług możliwych... Może temu małemu kawalerowi ułatwić edukację, a potem karierę... może też w dobrach swoich znaleźć z łatwością posadę, która by przy zajęciu mniej uciążliwym przedstawiała warunki... mniej ciasne... Jeżeli pan pozwoli mi pomówić o tym z księciem...

Zawiesił głos, czekał. Wygrycz słuchał zrazu ciekawie, potem z głową spuszczoną. Gdy Przyjemski mówić przestał, podniósł na niego oczy, odchrząknął i odpowiedział:

– Bardzo dziękuję panu dobrodziejowi za dobre chęci, ale z łaski księżęcej korzystać nie chciałbym... nie, nie chciałbym...
 – Dlaczego? – spytał Przyjemski.
 Wygrycz odpowiedział:

– Bo do korzystania z łask, panie dobrodziej, trzeba przywyknąć... Nie przywykłem. W warunkach ciasnych czy nieciasnych, byłem przez całe życie, panie dobrodziej, sam sobie i robotnikiem i panem.

Przyjemski podniósł głowę, z szafirowych źrenic jego strzeliła błyskawica gniewu. Więcej niż kiedy w sposób powolny i rozdzielający sylaby wyrazów mówić zaczął:

– Widzi pan... A widzi pan... Czyni pan księciu zarzut z tego, że jest on niepożytecznym dla ludzi, a kiedy zdarza się mu sposobność stania się użytecznym, okazuje się, że przysługi jego byłyby nieprzyjętymi...

– A tak, panie dobrodzieju, a tak – odrzucił Wygrycz z błyszczącymi także oczyma – bo gdybym wiedział, że księżę odda mi przysługę jak brat bratu, jak człowiek więcej obdarzony przez Boga mniej obdarzonemu, ale równemu, to bym ją przyjął, owszem, przyjąłbym i byłbym wdzięczny... Ale księżę rzuciłby mi dobrodziejstwo jak kość psu, a ja, choć niebogaty, kości z ziemi nie podniosę...

Przyjemskiemu błądy rumieniec wystąpił na policzki.

– To uprzedzenie – rzekł – fanatyzm... księżę nie jest takim, za jakiego pan go ma...

Wygrycz znowu ręce rozłożył.

– Nie wiem, panie dobrodzieju, nie wiem! I nikt tu o tym wiedzieć nie może... bo nikt tu księcia nie zna...

– W tym jądro naszego procesu – zakonkludował Przyjemski i wyciągnął do kancelisty swoją białą, długą rękę. – Proszę pana o pozwolenie zajrzenia tu jeszcze kiedy...

– Owszem, owszem – zgodził się grzecznie Wygrycz – a czy księżę i pan dobrodziej długo tu jeszcze zabawicie?...

– Dość krótko. Odjedziemy stąd do dóbr tutejszych księcia... ale może być bardzo, że powrócimy i osiedlimy się tu na całą zimę...

Przy ostatnich wyrazach patrzył na Klarę, która oczyma rozpromienionymi patrzyła nie na niego, ale na ojca.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za gościem, rzuciła się ojcu na szyję.

– Tateczku mój kochany, mój drogi, mój złoty, jak tatko dobrze zrobił!

Całowała go w ręce i w policzki. Wygrycz wykręcał głowę i krzywił się.

– No, dość już tego... daj mi szlafrok i pantofle. Spać pójdę... zmęczyła mię ta wizyta...

Klara skoczyła po przedmioty żądane i we drzwiach usłyszała ostry głosik siostry mówiący:

– Wie tatko! ten pan Przyjemski kocha się w Klarce. Uważał tatko, jak on to powiedział: „Bo panna Klara jest aniołem.” I tak na nią patrzył...

– A tobie nie pora jeszcze decydować o takich rzeczach... – zgromił ją ojciec.

Frania odgryzła się zaraz:

– Już nie jestem dzieckiem i jeżeli Klarka może mieć kawalerów, to ja mogę przynajmniej widzieć, że ich ma...

Klara podawała ojcu szlafrok rękoma drżącymi. Wygrycz obrócił się do młodszej córki:

– Przykaś języczek i przestań dokuczać siostrze, a proś lepiej Boga, abyś była do niej podobną. Ten pan, kiedy mówił, że ona jest aniołem, prawdę mówił...

W szlafroku i klapiąc pantoflami wyszedł do swego pokoju.

Frania, zarzuciwszy na głowę chustkę, wybiegła do magazynu. Klara zawołała brata.

– Przynieś kajet, powtórzymy arytmetykę... Chłopak pyzaty, ładny, z bystrymi oczyma, objął ją i z nadąsaniem mówić zaczął:

– Ta Frania taka zła! zawsze tobie dokucza, zawsze chce klócić się z tobą!...

Klara głaszcząc czoło i włosy malca odpowiedziała:

– Nie trzeba mówić, że Frania zła; ona ma serce dobre i kocha nas wszystkich. Tylko trochę prędka, powinniśmy jej to wybaczać...

Chłopak obejmując ją ciągle i ze wzniesionymi ku niej oczyma prawił:

– Ty lepsza, lepsza, lepsza... ty jesteś mamą moją, i Frani, i tatki...

Klara zaśmiała się i schylona, głośno, po dwakroć ucałowała pyzatą buzię malca.

IV

Nazajutrz, kiedy Wygrycz w szlafroku i pantoflach udał się do snu poobiedniego, Frania powróciła do magazynu, a Klara zasiadła z małym bratem nad kajetem i książką, do drzwi małej bawialni ktoś z lekka zapukał. Staś zerwał się z krzesła i w mgnieniu oka drzwi otworzył; Klara podnosząc twarz znad kajetu brata oblała się rumieńcem.

– Choćbym miał być natrętem, a rola ta jest więcej niż przykrą, bo śmieszna – w drzwiach już zaczął Przyjemski – przychodzę zrobić pani maleńką propozycję. Ale naprzód: dzień dobry! czy dobry wieczór! bo już jest prawie wieczór, i zapytanie: dlaczego pani dziś nie była w swojej kochanej altance?

– Nie miałam czasu. Chodziłam do pani Dutkiewiczowej po nowe czapeczki do garnirowania i po pewną poradę gospodarską...

– Ach, ta pani Dutkiewiczowa!... co ona kosztuje pani czasu, a mnie zgryzoty!...

– Panu? zgryzoty?

– A tak; bo drugi już raz przez nią zgryzłem się nie znalazłszy pani w altance o zwykłej porze.

Zamienili te słowa patrząc sobie w oczy tak ciągle, jakby spojrzenia ich za nic rozstać się nie mogły.

– Niech pan będzie łaskaw usiądzie...

– Wcale nie myślę siadać i przyszedłem po to, aby pani także tu nie siedziała. Widzi pani?

Pokazał książkę wziętą wczoraj od Klary, którą wchodząc wrzucił był w kapelusz.

– Propozycja moja jest taką: Pójdźmy do altanki i przeczytajmy „W Szwajcarii” wspólnie. Dobrze? Niech pani weźmie z sobą robotę. Będzie pani sobie szyła, a ja będę dla pani głośno czytał. Dobrze?

Ach, jakby to było dobrze! Ale obejrzała się na Stasia.

– Kiedy muszę powtórzyć z nim lekcję...

Malec, który z zaciekawieniem wielkim wysłuchał rozmowy siostry z gościem, objął ją i prosić zaczął:

– Idź, Klarciu, moja droga, moja złota, idź, jeżeli chcesz... Ja sam nauczę się lekcji. Wielka rzecz, jeografia! Nauczę się na pamięć i wieczorem wydam przed tobą. Zobaczysz, będę jak rzepeę gryzł!

– Pewno, Stasiu?

– Pewno! Jak tatkę kocham! jak ciebie kocham!

Radość oblewała jej twarz, ale jeszcze z zakłopotaniem szepnęła:

– A co będzie z samowarem?

– Ja samowar nastawię! Wielka rzecz nastawić samowar! – z zapalem wykrzyknął Staś.

– A jak tatko obudzi się, zawołasz mię z altanki?

– Zawołam! Wielkie rzeczy zawołać! I jeżeliby Frania wracała, to dopilnuję i także zawołałam, żeby nie zobaczyła ciebie z tym panem, bo jak zobaczy, będzie tobie znowu dokuczać...

Klara zamknęła mu usta pocałunkiem i w dwie minuty potem z koszykiem, piętzącym się od muślinów i koronek, szła przez ogród obok Przyjemskiego, który mówił:

– Pani ma bardzo miłego braciszka... Chciałem ucałować go za to, że na moment uwolnił panią od... służby. Bo pani jest sługą swojej rodziny. Ale co to mówił ten miły chłopczyk, że jeżeli siostrzyczka zobaczy panią ze mną, będzie dokuczać?

Klara zmieszała się bardzo, ale na szczęście w tejże chwili zobaczyła w ogrodzie sąsiednim grę światła tak piękną, że z zapalem zawołała:

– Widzi pan? Niech pan spojrzy, tam, w rogu ogrodu, jak po tej ciemnej alei prześlicznie ścielą się promienie słońca... zupełnie jak dywan z nitek złotych i ruchomych!

– Czy pani była kiedy w tamtym ogrodzie?

– Nie, nigdy; jakimże sposobem?

– Przychodzi mi myśl... Ze też pierwej nie przysła! Chodźmy razem obejrzyć ogród księcia! Przelekła się tej propozycji.

– O, nie! – zawołała – wstęp do tego ogrodu jest wzbronionym przez księcia... Zaśmiał się prawie głośno.

– Jeżeli ja panią wprowadzę...

To prawda; jeżeli on pozwala, to zupełnie tak samo, jak gdyby sam książe pozwalał.

Pokusa była wielką, bo ileż razy patrząc na aleje wspaniałe marzyła, aby choć raz w życiu przejść je w całej długości, posiedzieć chwilę w tym morzu zieleni falującym takimi cudnymi światłami i cieniami! Ale nie przestała uczuwać trwogi. Stała przed altanką wahając się, niepewna.

– A jeżeli spotkamy...

–Kogo?

– Księcia!

Przyjemski zaśmiał się znowu tak głośno, jak śmiejącym się nigdy jeszcze go nie słyszała.

– Nie ma go w domu... wyszedł jednocześnie ze mną... – upewniał.

– A może by lepiej w altance?

Ale on zaczął prosić:

– Ja proszę panią... Pani pewno ma od dawna chęć znajdowania się w tym ogrodzie, a dla mnie spełnienie chęci pani będzie szczęściem. Pani prosiła gwiazdy spadającej, aby móc tego lata przejść się po lesie... Może przechadzka po tym ogrodzie choć w części zastąpi tamtą, wymarzoną... Ja proszę panią...

Oparłaby się pokusie zwiedzenia miejsca, które miało dla niej urok prawie tajemniczy, ale prośbie jego oprzeć się nie mogła. Uległa rzekła:

– Dobrze, chodźmy!

– Brawo! – zawołał Przyjemski.

Wyglądali jak dzieci rozbawione, tak oboje byli weseli, roześmiani. Bardzo szybkimi krokami, prawie biegnąc przebyli przestrzeń dzielącą ich z bramką w sztachetach i weszli do alei szerokiej, w której ze stron obu stały potężne pnie drzew stuletnich, rozpuszczające na obie strony wysokie ściany gałęzi niezliczonych. Promienie słońca lały się w te zielone gęstwiny i przeświecały zza nich jak strugi złota, niektórym liściom nadając przezroczystość szklaną, inne pozostawiając w cieniach głębokich. Pas ziemi ciemnej, ciągnący się u podnóży pni grubych, zaścielała sieć, której oka były złote, nierówne i ruchome.

Klara umilkła, zwolniła kroku i uśmiech zbiegł z jej twarzy, której Przyjemski przypatrywał się z ciekawością i rozkoszą.

– Jaka pani wrażliwa!... – zauważył z cicha. Nie odpowiedziała, szła jak przez kościół, lekko, prawie na palcach, zaledwie dotykając ziemi. W milczeniu przeszli aleję równoległą ogrodowi, w którym stał domek osadzony fasolą. Dopiero kiedy skręcili w drugą, równie jak tamta wspaniała, tylko nieco krótszą, Klara jakby obudziła się ze snu.

– Nie idźmy już dalej – szepnęła.

– Owszem, idźmy! – nalegał. – Gdyby ta aleja prowadziła na koniec świata, siedłbym z panią i nie zapytywałbym o jej koniec...

– Ponieważ jednak wiedzie nie na koniec świata, ale pod sam pałac... – spróbowała zaśmiać się Klara.

– Ale nie – zaprzeczył Przyjemski – od jej końca do pałacu jest jeszcze paręset kroków, które zajmuje parter z kwiatami. Pójdziemy do kwiatów...

Klara stała. Nie potrafiłaby zdać sobie sprawy z przyczyn trwogi, którą czuwała, ale pod jej wpływem z determinacją rzekła:

– Tu usiądę... Na tej ławeczce z darniny... Jaka ławeczka miła i jakie miejsce śliczne!

Ławeczka z darniny była niska i tak mała, że tylko dwie osoby mogły się na niej pomieścić. Stała pod jednym z drzew najgrubszych i najbardziej rozłożystych, na trawie puszystej jak strzyżony kobierzec. Miejsce było nadzwyczaj ustronne; zielone ściany drzew zasłaniały pałac, ogród przyległy i inne części tego. Pomiedzy przeciwległymi pniami przeświecał kawał trawnika, na który kładły się płachty ukośnych światł słonecznych; u końca alei, dość dalekiego, wychylał się zza drzew róg parteru kwiatowego i na tle zieleni wyglądał jak plama złożona z barw świetnych i niezliczonych. Zresztą nic wcale nie było tu widać ani słysać. Drobne ptactwo świegotało w drzewach, z których niekiedy, to tu, to ówdzie, bliżej, dalej, zlatywał liść żółty lub rumiany i kładł się na ziemię bez szelestu najmniejszego. Tę ciszę przerwał wykrzyk Klary. Siadając na ławeczce spostrzegła wychylający się zza drzew róg parteru, splasnęła rękoma i zawołała:

– Boże! co tu kwiatów! i jakie śliczne!

Przyjemski wziął z jej ręki koszyk z muślinami, postawił go obok niej na ławeczce i dziwnie czegoś uradowany poprosił:

– Niech pani chwileczkę posiedzi tu sama. Ja wrócę natychmiast. Proszę tylko nie lękać się niczego i nie uciekać.. Wrócę natychmiast.

Bardzo szybko oddalił się w stronę pałacu. Klara patrzyła za nim i widziała, jak na spotkanie jego wybiegł zza drzew chłopak niedorosły, w spencerze z guzikami błyszczącymi, zapewne ogrodniczek albo mały lokaj. Przyjemski coś mu powiedział, z gestu ręki wnosiła, że wydał rozkaz, a gdy chłopak bardzo śpiesznie odbiegał, obrócił się jeszcze ku niemu i zawołał tak głośno, że usłyszała wyraźnie:

– Jak najprędzej!

Potem, wróciwszy, stanął przed nią z kapeluszem i książką w rękę. Ona zbierała już na nitkę duży kawał grubej koronki, którą miała ogarniować czepek leżący na jej kolanach.

– Czy to jest czepek pani... pani wdowy po weterynarzu?

– Pani Dutkiewiczowej – poprawiła – tak, nikt oprócz mnie od kilku już lat nie garniruje jej czepeków...

– A czy pani mi nie powie nic o tym dokuczaniu siostrzyczki, któremu ofiarował się zapobiec miły braciszek?

Zmieszana, nie podnosiła głowy znad roboty. Po chwili z przymusem rzekła:

– Frania niechętnie chodzi do magazynu, są tam z niej niezupełnie zadowoleni; chodząc sama po mieście zawiązuje stosunki, które na nią niedobrze wpływają...

Przyjemski dokończył:

– Ma wykrój ust i ruchliwość oczu osób kapryśnych i skłonnych do sprzeczek... Pani pewnie wiele cierpi od niej...

– O, nie! – z żywością wielką zawołała – ona jest bardzo dobrą, ma serce najlepsze. Tylko martwi mnie ogromnie to, że nie lubi szycia... Jednak trzeba, aby uczyła się czegokolwiek, aby potem miała jakikolwiek kawałek chleba! Obmyśliśmy z ojcem, że będzie panną magazynową... cóż innego możemy? Ale ją to bieganie po mieście psuje i nie mogę w żaden sposób zaradzić temu. Jest to dla ojca i dla mnie wielkie, wielkie zmartwienie...

Mówiła to wszystko ze spuszczoną głową, szyc nie przestając. On słuchał jej uważnie, ale nie siadał i co chwilę spoglądał w stronę parteru, jakby stamtąd czegoś oczekiwał. Zobaczył na koniec chłopaka z błyszczącymi guzikami na spencerze, wybiegającego zza drzew i niosącego w rękę wielką więź kwiatów. Szerokimi krokami poszedł na jego spotkanie. Klara podniosła głowę, gdy odchodził, i zobaczyła, jak u końca alei brał kwiaty z rąk ogrodniczka czy lokaja i trzymając ją rękę za plecy założywszy śpiesznie ku niej powracał. Pomyślała, że kwiaty te były dla niej, i uczyniła poruszenie, od którego czepek i koronki zsunęły się z kolan

jej na ziemię. Przyjemski, który znajdował się już o kilka kroków tylko od niej, przystąpił bardzo szybko, w mgnieniu oka przyklęknął na jedno kolano i jedną ręką podniósł spadłe na ziemię przedmioty drugą podał jej więź kwiatów. Jedno mgnienie oka, jeden ruch, jedno spojrzenie w głębinę jej oczu i znowu stał przed nią, a ona twarz płonąca kryła w kwiatach. Naprędce zerwane, ułożone w więź niesformą, były to kwiaty bardzo piękne, rozmaite i pachnące. Woń ich silna i barwy jaskrawe zwały się dla jej zmysłów, serca, wyobraźni w jedno wrażenie wstrząsające z sekundą, w której ten piękny człowiek klęczał przed nią i zatapiał spojrzenie w głębinach jej oczu. On, wzruszony także, prędko odzyskał swobodę. Siadając przy niej rzekł:

– A teraz zapomnijmy o wszystkich kłopotach domowych i niedomowych, o wszystkim, co złe, co małe, co boli – i pójdźmy w świat lepszy...

Głosem niezmiernie bogatym w tony i umiejętnie ich używającym zaczął czytać:

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do tej zbawionej i do tej kochanki?...

Minuty płynęły; liście żółte i rumiane padały z drzew kiedy niekiedy, tu i ówdzie; ukośne płachty światła za drzewami stawały się coraz krótsze, złote kółka na ciemnej ziemi coraz mniejsze i mniej liczne. Klara przestała szyc. Z rękoma opuszczonymi na kolana i żrenicami nalany iskrzącym się złotem słuchała. On czytał:

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie,
Głębszymi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie...

Jej oddech stawał się szybszym. Czy to sen? Czy już umarła i weszła do raj? Z więzi kwiatów obok niej leżącej rozplywa się napowietrzny trunek zapachów; z drugiej strony głos piękny i wzruszony czyta:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą...

Liście bez szelestu padały z drzew to tu, to ówdzie; aleja dyszała spokojem i zaczynała nabierać zmierzchu. On czytał:

O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą,
Jeżeli o czymś zapomnieć – zapomną!

Minuty płynęły; poemat zbliżał się do końca. Kochanka uwiedziona „zniknęła jak sen jaki złoty”; kochanek, który wierzył, że „z tęczy wyszła”, żalił się na jej utratę.

Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej – ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą...

Czytający oderwał wzrok od książki i przeniósł go na twarz towarzyszki. Z jej źrenic, nalaných iskrzącym się złotem, nieruchomych, dwie duże krople występowały i osiadały na rzęsach. Ruchem powolnym wyciągnął ramię i okrył dłonią jej rękę, której nie usunęła, tylko dwie krople spłynęły z rzęs na policzki powleczone obłokiem różowym.

– Czy to są łzy żalu, albo szczęścia? – bardzo cicho zapytał.

Po chwili milczenia, ledwie dosłyszalnie szepnęła:

– Szczęścia!

Była pełną szczęścia niesłuchanego, w sposób dziwny zmieszanego z bólem, ale uczuła teraz, że kibić jej opasuje ramię ostrożne, i obudziła się. Do szczęścia i bólu wmieszało się zawstydzenie tak silne, że je przygłuszyło. Ruchem strwożonym cofnęła się na najdalszy brzeg ławeczki i nie podnosząc powiek, prędko, bezładnie zaczęła zgarniać do koszyka muślin i koronki.

– Już pójdę do domu – szepnęła.

On siedział pochylony naprzód, z łokciem na kolanie i wspierał na dłoni czoło, tak prawie jak jej twarz zarumienione. Delikatne jego nozdrza szybko rozdymały się i ścisnęły, ręka mięła szmatkę muślinu ruchem gwałtownym. Trwało to krótko; opanował się i znowu dłoń położył na jej rękę, ale tym razem z siłą prawie rozkazującą:

– Pani nie pójdzie jeszcze, bo jeszcze nie skończyliśmy czytać poematu.

Pierwszy raz, odkąd go знаła, w głosie jego zabrzmiały tony despotyczne. Trzymając dłoń na jej rękę i patrząc w ziemię zamyślił się, z lekka przygryzał dolną wargę. Po chwili cofnął rękę i daleko łagodniej przemówił:

– Płacze mi się po myśli nuta, która wśród cudnego poematu „W Szwajcarii” wygląda jak zgrzytnięcie zębami wśród pieśni anielskiej. Cóż robić? Muszę ją pani zakomunikować. Razem słuchaliśmy pieśni anielskiej, razem usłyszymy zgrzyt. Dlaczego ja jeden mam go słyszeć?

Usta jego przybierać zaczęły wyraz ironiczny, zmarszczka pomiędzy brwiami stała się bardzo głęboką. Po chwili milczenia mówił dalej:

– Kilka dni temu znalazłem w pokoju przyjaciela książkę, tłumaczenie polskie pieśni miłosnych Heinego. Nigdy ich przedtem w tłumaczeniu nie czytałem. Przez ciekawość zacząłem przeglądać, czytać. Tłumaczenie bardzo ładne, bardzo ładne. Pamięć mam nadzwyczajnie lokalną. Kilka wierszy zapamiętałem. Jeden powiedziałem pani wczoraj; drugi powiem teraz. Niech pani uważnie słucha.

Pochylony, z twarzą na dłoni i wzroku nie spuszczać z jej twarzy, powolutku wypowiedział piosnkę Heinego:

Oboje czcili się bardzo,
Miłości wyznać nie śmieli,
Patrzyli na się z ukosa,
Chociaż miłością płonęli.

A gdy się wreszcie rozstali
W najgrubszej serca żałobie.
Pomarli od siebie z dala,
Nie wiedząc nawet o sobie...

Uważa pani... kochali się szalenie i „pomarli od siebie z dala, nie wiedząc nawet o sobie!” a to dlatego, że „czcili się bardzo”. Są to zgrzyty i dysonanse. Miłość wzniosła wykwita ze czci; cześć nakłada kaganiec na miłość wzniosłą. Nic na świecie nie jest prostym i łatwym, tylko wszystko skomplikowanym i trudnym. Czy pani już nie chce uciekać? Może skończymy czytać „W Szwajcarii”? Jakim ja wdzięczny pani za poznajamianie mię z takimi rzeczami! Większą część życia spędziłem za granicą, w towarzystwie literatur zagranicznych. Jednak i ta jest wspiania!... Ja się wiele nauczyłem od pani...

Pomimo wzruszeń różnorodnych zaśmiała się serdecznie.

– Pan? ode mnie? o Boże! Czegóż ja kogokolwiek mogę nauczyć? Tylko Stasia czytać i pisać nauczyłam...

– A czego pani mnie nauczyła, wytłumaczę może później... teraz kończmy poemat.

I zaczął znowu czytać:

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować...

Minuty płynęły; ona teraz szła słuchając, ale źle, powoli i krzywo.

Głos czytający umilkł; na trawniku za drzewami już prawie nie było płacht złotych i z ciemnego pasa ziemi w alei zniknęły oka złotej sieci. Natomiast światła zachodu błędząc po drzewach zapalały u ich szczytów różowe pochodnie i świeczki. Na dole zmierzchało; plama parteru, przedtem jaskrawa, zszarzała i tylko kwiaty białe wyraźnie na niej majaczyły.

Klara wyprostowała w rękach czepek ogarniowany.

– O Boże! – zawołała – jakże ja ogarniowałam ten czepek?

– Cóż? – uśmiechnął się Przyjemski – krzywo?

– Zupełnie krzywo! Widzi pan? W tym miejscu mnóstwo zmarszczek, a w tym prawie wcale ich nie ma; tu przysunięte do brzegu, a tam odsunięte...

– Katastrofa! pani to pewno sporze?

– Naturalnie, wszystko spruć trzeba; ale bieda niewielka, w pół godziny przegarniruję na nowo.

– Dwom panom służyć nie można. Pani chciała służyć zarazem poezji i prozie; proza się nie udała...

Zastanowiła się chwilę.

– Kiedy ja o tym inaczej myślę. Mnie się zdaje, że w każdym zajęciu, nawet najprozaiczniejszym, może być poezja. To zależy od zamiarów, z którymi robimy...

– Od pobudek – poprawił. – To prawda. Pani ma rację. Ale dla jakiej pobudki garniruje pani czepek pani Dutkiewiczowej?

– Dla tej, że ją kocham, że jestem jej bardzo wdzięczną, że kiedy ubierze się w taki wygarniowany czepek, robi się taką ładną, milutką staruszką.

– Jakie to szczęście kochać panią Dutkiewiczową! – zauważył z westchnieniem.

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo panią Dutkiewiczową można szanować i zarazem powiedzieć, że się ją kocha. A w rozmaitych innych wypadkach tak bywa: trzeba szanować i milczeć, albo mówić i uchybiać szacunkowi: „Oboje czcili się bardzo...”

Nie dokończył, bo z daleka, z ogrodu przyległego dało się słyszeć wołanie Stasia:

– Klarcu! Klarcu!

Nie znalazłszy siostry w altanie nie wiedział, gdzie być mogła, i wrzeszczał coraz głośniejsze na całe dwa ogrody. Klara z koszykiem w ręku zerwała się z ławeczki.

– A moje biedne kwiaty? – przypomniał Przyjemski – czy pani ich nie weźmie?

– Owszem, dziękuję panu – odpowiedziała biorąc bukiet, który on razem z jej ręką na chwilę zatrzymał w dłoni. Błyskawice strzeliły z szafirowych oczu, nozdrza ruchome znowu

rozdeły się szeroko; ale po kilku sekundach opuścił ręce i szedł obok niej aleją, w oddaleniu paru kroków. Na zawrocie alei zapytał:

– O której godzinie wieczornej pani kończy już wszystkie zajęcia domowe?

– O dziesiątej – odpowiedziała – ojciec i Staś zawsze śpią już o tej porze, i Frania najczęściej.

– Więc kiedy oni zasną i pani będzie wolna od... służby, niech pani wyjdzie do ogrodu posłuchać muzyki. Ja i mój przyjaciel zaczniemy grać dla pani od dziesiątej... Dobrze?

– Dobrze, dziękuję! – odpowiedziała i stanęła przy bramce w sztachetach, w cieniu drzew już dość gęstym.

– Dobranoc panu.

Wziął obie jej ręce w swoje i czas jakiś wpatrywał się w nią ze spuszczoną twarzą.

– Grając – szepnął – będę myślał, że pani tu stoi gdzieś koło sztachet i słucha mojej muzyki. Tym sposobem dusze nasze będą razem.

Szybko podniósł do ust jej ręce i z kolei pocałował obie. W godzinę potem Wygrycz siedząc na wąskiej kanapce i zwolna pijąc herbatę bawił się z uczuciem przyjemności widocznym pięknymi kwiatami, stojącymi na serwecie siatkowej w dużym dzbanku glinianym. Formalnie pieścił się z nimi, wachał je, gładził dłonią. Szczególnie zachwyciły go werbeny.

– Jak gwiazdy! – mówił z uśmiechem, który na tę chwilę cały kwas swój utracił.

Klara zapalała lampę, przyrządzała ojcu herbatę, Stasiowi dawała mleko, krzątała się gawędząc, prawie szczebiocząc. Opowiadała, że była w ogrodzie książęcym, że czytała tam z panem Przyjemskim „W Szwajcarii”, że on dał jej te kwiaty, że widziała z dala parter znajdujący się pod pałacem i jak on wyglądał z daleka na tle ogromnej zieleni ogrodu. Biła z niej całej radość promienna; ruchy stały się zwinne, nerwowe. Widocznym było, że nie mogła usiedzieć na miejscu, że czuła potrzebę chodzić, biegać, mówić, wyrzucać z siebie nadmiar życia wezbranego. Niekiedy milkła w połowie wyrazu i stawała nieruchoma, oniemiała, ze wzrokiem i duszą odbiegłymi gdzie indziej. Wygrycz nie przypatrywał się jej bardzo, słuchał tego, co mówiła, czasem zamyślał się o czymś, ale nie kwaśno ani ponuro, owszem, jakby cień filuterności błdził mu po żółtych wargach. Frania, która od kilku minut powróciwszy z miasta słuchała opowiadań siostry, ozwała się nagle głosikiem ostrym i z oczyma biegającymi:

– Et! A mnie zdaje się, że nic z tego nie będzie. Ten pan Przyjemski kocha się w Klarce, ale żeby się z nią ożenił, to wątpię. On jest dla niej za wielkim panem... Tacy panowie tylko bałamuca biedne dziewczyny, a potem porzucają!

Wygrycz zatrząsł się cały.

– Cicho bądź, jęzdo! – krzyknął – zawsze musisz kłuć siostrę. Kto ci tu mówił o jakim kochaniu się albo żenieniu?...

Zaczął bardzo kaszleć, obie córki rzuciły się do niego z wodą, herbatą, pastylkami, ale chociaż atak prędko minął i Frania skruszona stała się pieśczośliwą dla ojca i siostry, wesołość Klary zgasła jak świeca zdmuchnięta.

Przecież wiedziała o tym, że młode dziewczęta, jeżeli kochają i są kochanymi, wychodzą za mąż. Ale myślała o tym bardzo rzadko zawsze, a w stosunku do Przyjemskiego nie pomyślała ani razu. Dotąd widzieć go i rozmawiać z nim było dla niej szczytem pragnienia i szczęścia. Siostra brutalnie zerwała gazę dziewiczą z tego, co działo się w jej sercu. W mózgu jej, jak mucha w pajęczynie, uwięzły słowa Frani: „To za wielki pan dla niej.” Zawsze czuła wyższość jego nad sobą, wyższość rozumu i elegancji. Teraz przybyło stanowisko. Jakkolwiek tylko sługa książęcy, wyższego rzędu, był w porównaniu z nią wielkim panem. Nazywał księcia przyjacielem swoim, rozporządzał się w domu książęcym jak we własnym; kto wie? może był bogatym. Ostatnie to przypuszczenie zabolalo ją najmniej. Na dnie przecież miała to uczucie, że chociaż w porównaniu z nim była dziewczyną ubogą i skromną, nie dzieliło ich jednak nic nieprzewycięzonego. „Jeżeli kocha...” – myślała. W sercu jej śpiewało słowo cza-

rodzieskie: „Kocha! kocha!” Gdy tylko ojciec jej odszedł do swego pokoju z gazetą pożyczaną od kolegi biurowego i po której przeczytaniu wnet usypiał, Staś już usnął i Frania zaczęła przybierać się do snu, wybiegła na ganek.

Wieczór był ciepły, ale pochmurny, i gwiazd wcale nie było widać; tym goręcej wśród ciemności żarzył się szereg oświetlonych okien pałacu. Wiatr zrywał się spod chmur chwilami dość silny, chwilami ustawał zupełnie. Raz zerwał się i rozniósł po obu ogrodach wielką falę tonów muzycznych. Zza okien wysokich, wąskich, żarzących się od świateł fortepian i wiolonczela zaczęły lać w ciemność ogrodu muzykę wielkiego stylu, poważną i spokojną. Klara przebiegła ogród i stanęła przy sztachetach, tuż u altanki bzowej. Oparta o sztachety, słuchała i nie myślała już o niczym, tylko czuła rozkosz niewymowną, rozplywającą się po całej jej istocie. Było w tej rozkoszy uczucie piękna, złożonego z nocy chmurnej, z okien wysoko świecących w ciemności, z westchnień wiatru, z opływającego to wszystko morza muzyki prawie uroczystej. Ale najwięcej było w niej rzewności, wdzięczności, namiętnego wzbijania się duszy ku tym oknom, podobnym do otworów rajy, przez które wylewała się jasność i harmonia rajska. Z oczyma wzniesionymi ku szeregowi punktów świecących patrzyła i słuchała. W pamięci jej zaszepotały słowa: „Dusze nasze będą razem!” i z mocą ogromną uczyła ich prawdę. Muzyka była duszą jego, która zlatywała do niej z góry i wchodziła w nią z pieszczotą palącą i słodką. Zakryła twarz dłońmi i oddychając szybko brała w siebie tony muzyczne jak powietrze; oddychała nimi myśląc, że oddycha jego duszą.

Kwadrans upływał, po czym na minut kilka stało się cicho, w pałacu grać przestano, ale po kilku minutach znowu ozwała się muzyka cichsza, jakby więcej oddalona bo wiolonczela umilkła i tylko fortepian śpiewał. Śpiewał dość długo, wiolonczela milczała; natomiast w alei, u samych prawie sztachet, ozwało się przyciszone stapanie. Klara wyprostowała się, jakby prądem elektrycznym uderzona. Za sztachetami, tuż przed nią stanął mężczyzna wysoki i w ciemności nawet zgrabny, wziął w dłonie obie jej ręce i szeptem przemówił:

– Musiałem koniecznie dziś jeszcze panią widzieć. Grając myślałem ciągle: „Pójdę do niej!” Przestałem grać i przyszedłem. Powiedziałem jemu: „Graj dalej, graj ciągle!” bo chciałem rozmawiać z tobą przy wtórze muzyki!... Jaka noc chmurna i jak wiatr szumi! Prawda, że tony muzyki na tle tego szumu tworzą jakiś haft napowietrzny? Posłuchajmy razem.

Coraz mocniej ścisnął jej ręce w swoich, głowę przybliżył do jej głowy. Chwilę stali słuchając. Pieśń tęskna i namiętna spajała się z szumem wiatru, który powiał spod chmur i razem z nią uleciał pod chmury. Muzyka lała się dalej w ciemność ogrodu zupełnie cichą.

– Czy dobrze, że przyszedłem? Musiałem cię widzieć i pożegnać na cały dzień jutrzejszy. Dziś, zaraz, stryj mój przyjedzie i zabierze mię do siebie na całe jutro... Zobaczę cię aż pojutrze. Czy dobrze zrobił przychodząc dziś jeszcze, na chwilkę? Czy dobrze?

Upojona, prawie nieprzytomna, szepnęła:

– O, dobrze!

Pociągnął jej ręce tak, że cała pochyliła się ku niemu, i zaczął znowu szeptać:

– Idź do bramki w sztachetach, ja tam pójdę, spotkamy się, pójdziemy do naszej alei, na naszą ławeczkę... dobrze?

Ona przecząco wstrząsnęła głową i zaszepotała błagalnie:

– Nie... Niech mię pan nie prosi... o, niech mię pan nie prosi, bo pójdę...

Ruchem gwałtownym odsunął jej ręce, ale po sekundzie znowu przyciągnął je ku piersi.

– Tak! nie idź! Dziękuję, żeś nie poszła! niech rozdzielają nas te sztachety. Ale nie odchylaj główki... przybliź ją... pochyl... tak! o, moja droga!

Głowa jej leżała na jego piersi. W ciemności to wietrznej, to cichej... fortepian śpiewał, tęsknił, kochał... Z twarzą przy jej twarzy, z oczami w jej oczach zapytał:

– Kochasz mię?

Kilka sekund milczała, potem jak powiew najcichszy z ust jej, rozchylonych w upojeniu, wyszedł szept:

- Kocham!
- O, droga!

Lecz w tejże chwili stało się coś nadzwyczajnego. Przed paru już minutami wychyliła się była z ciemności postać ludzka i kilka razy to zbliżała się na palcach do pary rozmawiającej, to znowu trwożnie się oddalała. Był to człowiek mający ubranie z guzikami metalowymi, które białą mu u piersi i rękawów, ilekroć znalazł się w cieniu mniej głębokim. Szeptu pary stojącej u sztachet nie mógł słyszeć, może nawet nie widział kobiety, którą zasłaniała wysoka postać męska; ale tę ostatnią rozpoznawał dobrze i przez parę minut krążył za nią w niepewności, co ma uczynić.

U sztachet mężczyzna pochylony nad głową kobietą u piersi jego zwieszoną szeptał:

- Spójrz na mnie!... nie uchylaj mi ust... daremnie... wynajdę... wezmę!...

W słowach tych, jakkolwiek bardzo cichych, brzmiał gwałt namiętności i woli człowieka nawykłego do zwyciężania. Ale o kilka kroków za nim zabrzmiał głos pełen uszanowania i nieśmiałości, jednak wyraźny:

- Jaśnie oświecony książę!...

Mężczyzna drgnął od stóp do głowy, ręce opuścił i odwracając twarz, machinalnie zapytał:

- A co tam?

– Jaśnie oświecony książę stryj przyjechał i rozkazał szukać wszędzie jaśnie oświeconego...

Teraz dopiero ten, do którego stosowały się te słowa, opamiętał się i ogarnął go gniew ogromny. Z gestem gwałtownym i głosem drżącym krzyknął:

- Precz!

W alei zaszeleściły kroki oddalające się, bardzo pośpieszne. On obrócił się znowu ku dziewczynie, która stała za sztachetami wyprostowana, zeszywniała, jak w ziemię wryta. Próbując uśmiechnąć się, zaczął mówić:

– Wydało się wszystko!... przekłety fagas!... nie gniewaj się, bo uczyniłem to z obawy, abyś nie pierzchnęła...

Ona z szeroko otwartymi oczyma zaszeptała:

- Pan... książę?

Było w tym szepcie coś prawie obłąkanego.

On zaczął znowu:

- No, tak... ale cóż stąd? Czyż dlatego...

I próbował wiaść znowu jej ręce. Ale ona podniosła je ku głowie, zatopiła we włosach i z ust jej wypadł krzyk bez słowa... tak głośny, że rozległ się po dwu ogrodach. Jednocześnie odwróciła się i jak w przestraszu śmiertelnym biegnąc zniknęła w ciemnościach

V

Książę Oskar powrócił z wycieczki na trzeci dzień około wieczora. W godzinę po powrocie szedł aleją ogrodu, tak chmurny, że aż posepny... Przy ławeczce darniny stanął, patrzył na niskie siedzenie i dokoła. Była to chwila poprzedzająca zmierzch. Na trawniku przeświecającym zza pni grubych leżały ukośne płachty światła złotego; na ziemi, w alei, drgały koła i kółka złote. W niskiej murawie ławeczki wiewało kilka kwiatów zapomnianych. Wszystko tu było zupełnie tak samo, jak zawczoraj o tej porze.

Książę ruchem porywczym usiadł na ławeczce, kapelusz zdjął, czoło na dłoni oparł i półgłosem wymówił:

– Nieszczęście!

Przed godziną, gdy tylko powrócił, znalazłszy się sam na sam z kamerdynerem Benedyktem krótko zapytał:

– Cóż... tam?

Sługa dawny, ulubieniec, odpowiedział z niskim ukłonem:

– Żle, jasnie oświecony książę!... Wynieśli się...

– Kto wyniósł się? – zawołał książę.

– Wygryczowie.

– Skąd się wynieśli?

– Z domku w tamtym ogrodzie.

– Kiedy?

– Dziś raniutko.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem, ale jeżeli jasnie oświecony książę rozkaże...

Chciał powiedzieć: „dowiem się”, uznał jednak za lepsze nie dokończyć myśli. Czekał. Książę nie mówił nic. Stał twarzą do okna i nie odwracając się zapytał jeszcze:

– Nie widziałeś jej?

Owszem, Benedykt ją widział. Chcąc mieć ciągle na oku domek osadzony fasolą, wczoraj wieczorem, trochę po dziesiątej, szedł aleją graniczącą z tamtym ogrodem. Idąc usłyszał płacz. Zbliżył się ostrożnie, po cichutku i zza drzewa zobaczył ją klęczącą za sztachetami, z rękoma i czołem opartymi o sztachety. Bardzo płakała. Raz podniosła głowę i patrzyła na pałac. Potem znowu wybuchnęła płaczem i tak pochyliła się ku ziemi, aż jej ręce i czoło zatopiły się w trawie. Ale kiedy pan Przyjemski zaczął grać w pałacu, zerwała się i jak strzała pobiegła do domu. To było wczoraj, pomiędzy dziesiątą a jedenastą wieczorem. Dziś o siódmej z rana Benedykt poszedł do tego znajomego swego, który mieszka na tamtej ulicy, naprzeciw ich parkanu, i dowiedział się, że Wygryczowie wynieśli się stąd prawie o wschodzie słońca, a na ich miejsce wniosła się jakaś staruszka ze służącą i z kotem.

Wszystko to Benedykt opowiedział tonem relacji zupełnie obiektywnej. Książę nie odwracając twarzy od okna rzekł:

– Możesz odejść.

Kamerdynerowi zdawało się, że wymawiając te dwa wyrazy miał głos bardzo zmieniony.

Teraz książę Oskar siedział na ławeczce z darniny, z czołem w dłoni, ogromnie smutny i zamyślony.

„Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty...” Zniknęła! Ale to bagatela. Nic łatwiejszego jak ją znaleźć. Słowo tylko powie Benedyktowi i jutro albo za dwa dni będzie wiedział o jej nowym mieszkaniu. Ale – czy szukać? Uciekła. Niewieści instynkt zachowawczy pchnął ją do ucieczki. Taki jest porządek świata. Samica ucieka przed samcem, jeżeli nie ma założyć z nim

gniazda. A ona – taka rozsądna i tak szlachetnie dumna – zrozumiała, że tu mogło być dla niej szczęście krótkie, a nieszczęście wielkie. Uciekła z płaczem ogromnym, ale uciekła! Jaka wola silna w tym dziecku! Jednak dla niego była słabą i on bywa – w wypadkach podobnych – bardzo słabym; kto wie, co by się stało? Dobrze, że się nie stało. Nigdy potem nie darowałby sobie tego. Więc czy należy szukać i znowu zaczynać?... wystawiać ją znowu na niebezpieczeństwo? Ją, bo dla niego... ach, dla niego uśmiechnęło się w niej zbawienie, odnowiona wiara w możliwość istnienia na ziemi wielu rzeczy, o których by już zwątpił. Przez te dni kilka czuł się wskrzeszonym... Szalonym szczęściem byłoby posiadać tę istotę przeczystą i tak pełną ciałem i duchem. Szalonym szczęściem byłoby już tylko w tej chwili ją widzieć... Gdyby ją zobaczył, prosiłby o przebaczenie za to, że zmałił jej spokój, że wygnał ją z jej skromnego kątku, że przez niego płakała tak ogromnie... Tak; ale po prośbie o przebaczenie jaki ciąg dalszy? „Oby cię Bóg zachował tak piękną, czystą, powiewną!” Nie zachowałby! Gdyby spotkali się znowu, nie zachowałby pewno! Szkoda tego kwiatu!... A jednak...

Wstał i poszedł dalej. W alei równoległej z ogrodem zaniedbanym stanął znowu. Przypartywał się domkowi w fasoli, mianowicie małemu gankowi, który nie był pustym. Na wąskiej ławce siedziała tam staruszka w czarnej sukni i w białym czepku. Robiła pończochę, której druty w promieniu słońca migotały dokoła rąk jej jak iskierki stalowe.

– Pewnie pani Dut...kiewiczowa!

Namyślał się chwilę, potem otworzył bramkę w sztachetach i wszedł do ogrodu przyległego.

Staruszka siedząca na ganku, widząc nadchodzącego, podniosła się z siedzenia i gdy on witał ją uchyleniem kapelusza, zagadła pierwsza, z uśmiechem dobrodusznym na ustach szerokich.

– Czym mogę służyć księciu panu? Niech książę pan będzie łaskaw usiądzie na moim ganeczku... będzie to dla mnie wielki honor... proszę księcia pana!

Przy tym dygała nie raz, ale dziesięć razy, co nie było łatwym z powodu małości ganeczku, którego część zajmował jeszcze kot opasły, leżący na dużej poduszce. Ona jednak pomimo ciasnoty robiła dygi posuwiste i razem przysiadające, przy czym spod spódnicy krótkiej ukazywały się nogi w białych pończochach i prunelowych trzewikach.

– Niechże książę pan zrobi ten honor mojej chacie i usiąść raczy... Czym służyć mogę?

Jeszcze raz dygnęła pokazując spod czarnej sukni białe pończochy i usiadła na uprzednim miejscu z drutami i niemi na kolanach. Książę nie usiadł, tylko wszedłszy na ganeczek odkrył głowę i grzecznie zapytał:

– Czy państwo Wygryczowie już tu nie mieszkają?...

– Nie mieszkają... nie mieszkają... – potakująco trzęsąc głową potwierdziła staruszka – dziś z rana przenieśli się gdzie indziej i ja teraz jestem sąsiadką księcia pana... che, che, che...

Książę głosem aksamitnym zapytał:

– Czy z panią Dutkiewicz mam przyjemność?

– Tak, książę panie, Dutkiewiczowa, do usług księcia pana...

– A czy można wiedzieć, dokąd przenieśli się państwo Wygryczowie?

Teraz z dużej i rumianej twarzy staruszki uśmiech dobroduszny i przymilony zniknął, a zastąpił go wyraz żalości połączonej z powagą. Oczy błękitne jak niezapominajki podnosząc ku niemu i głową w obie strony poruszając odrzekła:

– Nie można! nie można!

Palec pomarszczony do wysokości ust podniosła i raz jeszcze powtórzyła:

– Nie można!

Ale od tego ruchu kłębek bawełny spadł z kolan i potoczył się po dziurawej podłodze ganeczku. Próbowwała przyciągnąć go ku sobie nicią, ale to nie pomagało. Książę podniósł i podał jej kłębek. Zerwała się z siedzenia i znowu uczyniła dyg posuwisty i przysiadający.

– Dziękuję księciu panu... Książę pan fatygował się... bardzo dziękuję...

Plecami oparty o słupek ganku, ze zmarszczką bardzo głęboką na czole i rumieńcami na bladych policzkach, książę zapytał:

– Czy pani myśli, że byłoby mi trudno znaleźć nowe mieszkanie państwa Wygryczów... gdybym poszukał?

Splotła palce krótkie, pulchne i zawołała:

– Dla księcia pana wszystko łatwo... Mój Boże, z takimi środkami i stosunkami co może być trudnego? Książę pan znalazłby w moment ich mieszkanie, ale...

Uśmiechnęła się filuternie.

– Ale książę pan nie będzie szukał.

Był znać ciekawym wszelkich zjawisk świata, bo i babinie tej przypatrywał się z niejakim zajęciem. Przy tym czepek, który miała na głowie, gęsto ogarniowany koronką sztywną, wiele mu przypominał. Dwa razy widział go w rękach Klary. Nie zmieniając postawy stojącej skrzyżował tylko na piersi ramiona i znowu zapytał:

– Dlaczego pani mówi tak na pewno, że ja nie będę szukał państwa Wygryczów?

Babina patrząc na niego zamrugła powiekami już nie mającymi rzes i odrzekła:

– Bo książę pan jest dobry... ja to widzę. Ehe, nie z jednego pieca chleb jadłam i niejednego księcia albo hrabiego widywałam, służąc w młodości za pannę służącą po dworach wielkich. Odgadnę wszystko, choćby z bagateli. I książęta, i ludzie pospolici bywają różni. Ale książę pan jest dobry. Odgadłam z bagateli. Książę pan podniósł mi kłębek z ziemi; starość moją uszanował. Wiele jest książąt i nawet ludzi pospolitych, co to tylko imainują sobie, że są książętami, którzy by tego dla starej, prostej kobiety nie zrobili. Książę pan ma dobre serce i umie szanować to, co Pan Bóg i ludzie szanować rozkazali. Już ja to widzę i z oblicza godnego, i z mowy przyjemnej, i z tego kłębka...

Zaśmiała się dobrodusznie, przyjaźnie.

Książę Oskar stał z głową pochyloną.

– Opinia pani bardzo mi pochlebia... Ale chciałbym wiedzieć, jakim sposobem stało się to *chassé-croisé*? Z czyjej przyczyny? Na czyje żądanie?

Staruszka prędko trzęsła głową.

– Rozumiem, rozumiem: Na jej żądanie... na jej własne żądanie! Przybiegła do mnie wczoraj z kościoła, w którym modliła się cały ranek, przypadła mi do kolan i wszystko powiedziała... Komuż miała powiedzieć? Matkę jej i ją samą na ręku nosiłam... Kolana moje ścisnąc prosila: „Przenieś się tam, babuniu, a my przeniesiemy się do twego mieszkania... na ten czas, dopóki...” Rozumie książę pan? „Tylko – mówi jeszcze – ja z ojcem mówić o tym nie będę, bo nie mogłabym spokojnie, a jemu trzeba powiedzieć najspokojniej...” Poszłam tedy i sama panu Teofilowi rozpowiedziałam, wytłumaczyłam, zaproponowałam. To człowiek rozsądny. Zrozumiał, zgodził się i jeszcze mi dziękował. Córkę, kiedy przyszła do domu, uściśnął, trochę też i wygderał, trochę... W nocy podobno bardzo kaszłał, ale przejdzie mu to, przejdzie... Ja zaś dziś raniuteńko, łapu capu, manatki i graty swoje kazałam tragarzom przenieść tu, ich tam, i już! Powiedziałam księciu panu wszyściuteńko, jak było, bo to się należało... Serce nie sługa, a czy książęce, czy chłopskie, to wszystko jedno. Kiedy boli, to boli... Więc pozostawić serce bolejące w niespokojności to okrucieństwo. Wszyściuteńko powiedziałam księciu panu...

Książę milczał długo, był teraz blady i surowy. Po paru minutach podniósł twarz i zapytał:

– Czy nie uzna pani za możliwe, abyśmy zobaczyli się z panną Klarą raz jeszcze, ostatni, tu, w obecności pani?

Błękitne oczy staruszki oszklify się łzami. Z podniesioną ku niemu twarzą różową i pomarszczoną szepnęła:

– Książę panie, to sierota i opiekunka sierot... chociaż uboga...

Tu, najniespodziewaniej, kot w białe i żółte łaty, który przed chwilą obudził się i leniwie wyciągał na poduszce, skoczył na kolana pani swojej i zrzucił tam psotę wielką, bo pończochę z kłębkim na ziemię zrzucił i sam łapy w nicie zaplątał.

– Psik! – zawołała Dutkiewiczowa – psik! na poduszkę! A na poduszkę!

Chustką, wydobytą dla otarcia oczu mokrych, trzepnęła kota, który zeskoczył z kolan ciągnąc za sobą pończochę, druty, nici, wszystko, co tam było. Ale nikt nie zwrócił uwagi na losy pończochy ani wplątanych w nią łap kocich. Książę Oskar stał teraz tuż przed babina, która chciała kończyć zdanie przerwane.

– Chociaż uboga, książę panie, ale...

– Niech pani nie kończy... wszystko, co by pani mogła mi powiedzieć o pannie Klarze Wygryczównie, wiem sam i może jeszcze więcej. Czy pani zechce powiedzieć ode mnie kilka słów pannie Klarze?

Dutkiewiczowa przez chwilę patrzyła na niego oczyma mrugającymi.

– Czy książę pan nie będzie jej szukał?

Ze schyloną twarzą milczał, aż podniósł głowę i odpowiedział:

– Nie będę.

– Słowo książęce? – zapytała jeszcze.

Stał się bardzo bladym. Palił mosty za sobą; bardzo cierpiał. Znowu po milczeniu chwilowym odpowiedział:

– Słowo człowieka uczciwego.

Babinie twarz zajaśniała radością.

– Słucham teraz księcia pana. Owszem, powtórzę. Serce nie służy kiedy boli, to boli. Jeżeli można wylać na nie kroplę balsamu to czemuż tego nie zrobić? Co książę pan rozkaże jej powiedzieć?

– Niech pani powie pannie Klarze, że to, com jej okazywał, nie było żartem ani kaprysem, lecz z początku sympatią a potem miłością i czcią – czcią dla jej czystości nieskalanej i dumy szlachetnej. Niech jej pani powie, że przez tę cześć poświęcam miłość swoją, że żadne rozstanie – a Bóg jeden wie, ile już przebyłem rozstań – nie wstrząsnęło mną tak do głębi, że pragnę, aby wspomnienie o mnie..

Głos załamał mu się w gardle, w oczach zamigotało srebro wilgotne. Z głębokim ukłonem rzekł:

– Żegnam panią!

Babina zerwała się i dwa razy jeszcze dygnęła posuwisto i przysadzisto, błyskając spod krótkiej spódnicy pończochami białymi. Potem usiadła na ławce, przyłożyła chustkę do oczu i rozpłakała się. A kot w żółte łaty, nie mogąc wyplątać łap z nici, siedział razem z .pończochą, drutami i kłębkim na drugim końcu ganku i żałośnie na nią patrząc miauczał.

W pałacu szereg salonów był już oświetlonym lampami i kandelabrami. Książę Oskar wchodząc do gabinetu wspaniale urządzonego obejrzał się na Benedykta, który szedł za nim.

– Czy pokojowiec Józef już odprawiony?

Kamerdyner zmieszał się.

– Nie jeszcze, jaśnie oświecony książę! Chłopak płacze i prosi...

– Pozostawić go na służbie!

W myśli dodał: „Co on winien?”

Benedyktowi wydał rozkaz:

– Poproś tu pana Przyjemskiego...

Szybko przebiegał pokój obszerny i rześcicie oświetlony, do którego po kilku minutach wbiegł mężczyzna trzydziestoletni, brunet, wzrostu małego, z oczyma rozumnymi, ruchami żywymi, z wyrazem twarzy śmiałym i wesołym.

– Książę mię wezwał. Czy będziemy grali albo pisali?

Książę stanął naprzeciw niego.

– Dobry sobie jesteś, mój kochany! Mnie wściekłość ogarnia od pięt do mózgu, a ty mi proponujesz granie albo pisanie... Chcę ci to powiedzieć: jutro wyjeżdżamy na wieś... bądź łaskaw porozumiej się dziś jeszcze z plenipotentami, adwokatami i wszystkimi tymi figurami, niech do mnie na wieś przyjeżdżają, kiedy im czego będzie trzeba. Ja tu teraz nie wytrzymam! Ja potrzebuję ruchu, zmiany, zapomnienia i tego, aby ona mogła powrócić tam, gdzie jej było zdrowo i przyjemnie... Poświęć ty już dla mnie swoje Perkowskie i jedź ze mną, bo gdybyś nie chciał jechać, to bym cię zostawił, ale chyba bym tam sam jeden oszalał z desperacji...

Przyjemski siadł na fotelu i trochę żartobliwie wymówił:

– Czy desperacja księcia tak wzrosła?

Ten stanął przed nim i rzekł chmurnie:

– Nie żartuj, Juliuszu. Zabrnąłem głębiej, niżem się sam spodziewał. Cierpię jak utrapienie.

Przyjemski spoważniał.

– W takim razie boli mnie to niewymownie. Panny Perkowskie są to peronele głupie i pretensjonalne, które z rozkoszą poświęcam, i jutro z księciem jadę. Ale się nigdy nie spodziewałem aby chwile, które księżę spędzał pod moim nazwiskiem w sposób zapewne bardzo przyjemny, mogły skończyć się tak tragicznie.

Księżę wybuchnął.

– Mój Juliuszu, ty jeden wiesz, co myślę o ludziach. Albo pochlebcy, albo wietrznicy, albo niewdzięcznicy...

– Słyszałem już to nieraz – wtrącił Przyjemski.

– Kobiety także: albo głupie i nudne, albo zabawne i rozpustne, albo mieszczące w jednym ciele dwa duchy: z których jeden jest niebieskim, a drugi piekielnym...

– I to słyszałem.

– Życie jest jednym wielkim bezsenssem. Dopóki człowiek wierzy, ufa, dopóty czuje się szczęśliwym, ale jest dzieckiem. Są tacy, którzy do śmierci nie wyrastają z iluzji. Ale temu, kto z nich wyrośnie, co pozostaje? Skoro wszystko jest fałszem, cieniem zwodniczym, puchem nietrwałym...

– To słyszę bardzo często...

Księżę stanął.

– Otóż widzisz! Znalazłem to, w co wierzyć przestałem. Znalazłem w niej i nawet w jej otoczeniu to... w co już nie wierzyłem. Nawet w tej wdowie po weterynarzu jest coś, coś takiego...

– W jakiej wdowie? po jakim weterynarzu? – zadziwił się Przyjemski.

– O tym ty nie wiesz i mniejsza o to! Ale że też między takimi ludźmi bywa coś takiego!... przez nią dowiedziałem się, że bywa...

Z nowym wybuchem zawołał:

– Wiesz, Juliuszu... to dziewczę sypało mi perły do duszy! A przy tym śliczna!... pięknoscią skończoną nie jest, ale oddałbym sto piękności skończonych za jej wdzięk prosty, skromny... za jej oczy złote... za jej uśmiech słodki...

Opuścił ręce, rzucił się na fotel.

– Cóż, kiedy „zniknęła jak sen jaki złoty!”

Zakrył ręką oczy, umilkł. Młody brunet z wesołą i śmiałą twarzą zasepił się, myślał.

– Więc to jednak tak na serio! – rzekł półgłosem i więcej jeszcze spochmurniał.

Po chwili wstał, zbliżył się do swego dostojnego przyjaciela i tonem pocieszenia mówić zaczął:

– Więc niech ją księżę odnajdzie! Nic łatwiejszego... w mieście tak niedużym.

Księżę podniósł głowę i zatopił w nim spojrzenie ostre, twarde.

– Po co? – rzekł – to taka, której za milion nie można kupić ani milionem pocieszyć...

Przyjemski spuścił oczy.

– Niech mi księżę przebaczy. Rada moja była złą. Podyktował mi ją... naprędce... żal obudzony widokiem żalu księcia.

Teraz on zaczął szybko biegać po pokoju; targał czarnego wąsika, myślał, aż znowu stanął przed przyjacielem.

– Więc cóż? – zaczął wahającym się głosem. – Cóż? Innej rady nie ma. Księżę daremnie dotąd szukał na świecie uczucia prawdziwego, szczęścia, celu i różnych tym podobnych rzeczy. Zdaje się księciu, że je znalazł w tej dziewczynie, którą we dwa dni odszukać można. Biorę to na siebie. Odszukam ją i niech się księżę z nią ożeni!

Księżę Oskar podniósł głowę i spojrział na powiernika takimi oczyma, jakby uszom własnym nie dowierzał.

– Co powiedziałeś? – zapytał.

Przyjemski śmiało powtórzył:

– Niech się księżę z nią ożeni!

Twarz księcia zaczęła szybko zmieniać wyraz, aż nagle po gabinecie obszernym i wspinałym rozległ się wybuch śmiechu:

– Cha, cha, cha, cha! cha, cha, cha! cha, cha, cha!

Głosem przez ten śmiech przerywanym księżę Oskar mówił:

– Paradny jesteś, mój Juliuszu, paradny! Cha, cha. cha! Myślałem, że zginę z żalu, ale, cha, cha, cha! ty byś mógł rozśmieszyć umarłego, cha, cha, cha, cha!

Wydobył z kieszeni chustkę, przyłożył ją do oczu i śmiał się tak, że aż śmiech przechodził w łkania.

– Cha, cha, cha! cha! cha! cha!